



REKIN I BARAN

ŻYCIE W CIENIU ISLANDZKICH WULKANÓW
MARTA I ADAM BIERNAT







MARTA BIERNAT
zdjęcia **ADAM BIERNAT**



WYDAWNICTWO
PODIAŃSKIE

Copyright © Marta Biernat, 2017

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Sylwia Smoluch

Redakcja: Malwina Błażejczak/panbook.pl

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Maciej Majchrzak

Projekt okładki: Ula Pągowska

Fotografie na okładce i logo bloga biteoficeland.com: Adam Biernat

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

eISBN 978-83-7976-671-0

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@wydawnictwopoznanskie.com

www.wydawnictwopoznanskie.com

Spis treści

Wstępu słów kilka, czyli jak to naprawdę jest z tą Islandią

Sezon na czkawki

– Zdjęcia –

Opowieść o czymś, co zdarzyło się naprawdę

W stronę słońca

Tak samo, ale inaczej

Bardzo długi piątek

– Zdjęcia –

Goście, goście jada!

Co wychodzi z wody

Owca na szydełku

Królestwo za skyr!

Hak do mięsa

– Zdjęcia –

Kminek wieczorową porą

– Zdjęcia –

Kot policjanta

Księżycowe konie

Pragnienie drugiej strony

O dźwięku, który kruszył trawy

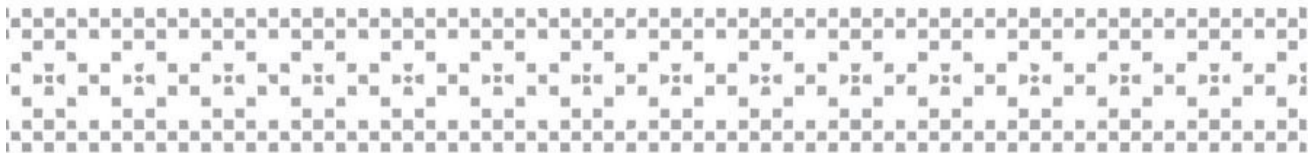
Chętka na północ

Podręczny słowniczek islandofila

Dla zainteresowanych

Podziękowania

Wstępu słów kilka,
czyli jak to naprawdę jest
z tą Islandią



Podróże fascynowały mnie, odkąd sięgam pamięcią. Dawniej były to jedynie dziecięce fantazje podsycane kultowym programem „Pieprz i wanilia” Elżbiety Dzikowskiej i Tony’ego Halika oraz obsesyjnym przeglądaniem wszelkiej maści atlasów. To właśnie od pierwszego kartograficznego wejrzenia rozwinęła się u mnie przypadłość powszechnie zwana islandofilią, czyli inaczej mówiąc: obłędne zauroczenie Islandią. Już sama jej mapa obiecywała niesamowitą przygodę. Przecież tylko przygodą można nazwać obcowanie z tak finezyjnie pętłącymi się fiordami, połaciami naznaczonymi tysiącami gór, pagórków, setkami wulkanów i rzek oraz złowrogimi, pojawiającymi się w najmniej oczekiwanych momentach przepaściami. A wszystko to ulokowane na samotnej wyspie oblewanej przez hektolitry lodowatych fal. Marzyłam o Islandii przez długie lata, tak że prędzej czy później musiałam na nią trafić.

Okołoarktyczne szkolenie odbyłam jeszcze przed wyjazdem na wyspę. Udałam się na nią już niejako zaprawiona w kontaktach z daleką Północą, bo tuż po ukończeniu studiów mieszkałam niecały rok w norweskiej Laponii. Przyszło mi wówczas rezydować w przepięknej, raptem dziesięcioosobowej osadzie, położonej prawie pięćset kilometrów za kołem podbiegunowym. Tak, północne krańce świata to było moje miejsce na ziemi. Przeskakując z lapońskiej atmosfery do standardowych norm europejskich, na nowo próbowałam się wdrożyć w rytm dużego miasta. Ponownie jednak w mojej duszy zaczęła odzywać się pożądliva, północna gorączka i pragnienie znalezienia się w miejscu, gdzie za hałas można uznać bicie własnego serca. Naszła mnie tak wielka chęć na pobyt w głuszy, że bilety lotnicze zostały wnet zakupione. Ledwie raczkującą wiosną 2014 roku spakowałam się i wyruszyłam na spotkanie z wyspą marzeń.

Okazało się, że zostałam na niej wcale nie planowane trzy tygodnie,

lecz... ponad pół roku. Wtedy to już bez walki poddałam się przeświadczeniu, że mam po prostu wybitnie północny charakter oraz wrodzone warunki do zaprzyjaźniania się ze wszelkiego rodzaju pustkowiami. Tak jest, właśnie ze szczerym polem, gdzie diabeł wieczorową porą złowieszczo zwykł szeptać wyjątkowo upiornym półgłosem *góða nótt* i od którego normalnym jednostkom niechybnie chce się uciekać w siną dal. W poprzednim wcieleniu musiałam być chyba Islandką, gdyż nie da się inaczej wytłumaczyć faktu, że tętno najbardziej przyspiesza mi właśnie na widok podobnych ustroni. Oglądając z zapartym tchem islandzkie wspaniałości, nie byłam w stanie rozstać się z wyspą. Zupełnie mnie zahipnotyzowała.

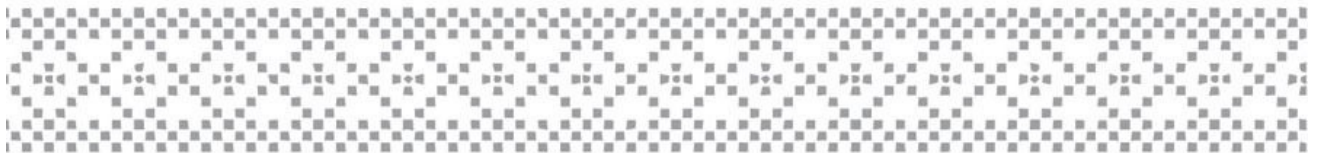
Podobnie jak w Laponii, znów zapragnęłam zżyć się z terenem, który w tak niesamowity sposób na mnie działał. Chciałam choćby połowicznie ujarzmić tę nieznaną przestrzeń, by odnaleźć w niej nowy dom – na jak długo, tego nie umiałam do końca sprecyzować. Zauroczyły mnie pozbawione żywego ducha, wielkiej urody, niemalże nierealnie piękne plenery, dzikość nieskażonej cywilizacją i do tego jedynej w swoim rodzaju przyrody oraz ten niezwykle tryb życia, który wydawał się romantycznie niezmienny chyba od zarania dziejów. Właśnie o tym marzyłam, choć pomysł wydawał się co najmniej szalony. Znów miałam porzucić dawny model wygodnej egzystencji, zerwać wszelkie zawodowe zobowiązania i po raz kolejny rozpocząć nowy etap życia, w którym wszystko póki co w nader figlarnej pozie stało na głowie. Teraz wiem, że idąc ku finalizacji marzeń, opłaca się stawiać wszystko na jedną i wyjątkowo wahliwą szalkę, nawet gdy wygina ją gnający na łeb, na szyję wiatr. Warto.

Przygód, jakich wówczas doświadczyłam, mam na koncie mrowie. To było to! Przez kolejne miesiące przemierzałam zarówno rekomendowane przez wszystkich, jak i te najbardziej niedostępne islandzkie zakątki, zajrzałam na niejednen lodowiec, nagminnie przemierzałam bezkresne pola lawowe porośnięte tonami puchatego jak plusz i niewyobrażalnie zielonego mchu oraz upajałam się niezwyklej aromatem łąk, które zwykły tu pachnieć raczej nietypowo, bo... ginem. Żywiłam się też najdziwniejszym pożywieniem, na jakie w życiu natrafiłam, a pałaszowanie tych przekąsek przebiło nawet proceder kosztowania kaczych embrionów w Wietnamie. Zdarzyło mi się również w popłochu zwiewać przed erupcją potężnego wulkanu

i namiętnie walczyłam z huraganowymi wiatrami. Krótko mówiąc, chłonięłam atmosferę tego niezwykle ciekawego miejsca na wszelkie możliwe sposoby. W międzyczasie pracowałam. Islandia jako kraj należący do grona tych kosztownych bywa bardzo żarłoczna i podczas dłuższego pobytu na niej oszczędności ulatniają się w zastraszającym tempie. Po sześciomiesięcznym prawdziwie ekstatycznym pobycie na wyspie upiornie gęstych mgieł wróciłam do Trójmiasta. Nadszedł czas, by ochłonać.

Islandia jednakże jest nieskora do kompromisów; jeżeli już człowieka pochwyti, to swego mocarnego chwytu rozluźnić nie zamierza. Nie da się jej ot tak porzucić – wspaniali, tylko na pozór niedostępni ludzie, spektakularne widoki, tajemniczy, wydający się niemożliwym do opisu aromat tundry, tupot wszędobylskich owiec i przedziwna, trudna do wytłumaczenia, niemalże mistyczna wyspiarska atmosfera nie dają o sobie zapomnieć. Wkrótce potem stało się to, czego właściwie niechybnie się spodziewałam. Po kilku miesiącach w Polsce ponownie wróciłam na Islandię. Tak to właśnie z nią jest; jeżeli trafi się w jej obrzeża, to jednoznacznie wślizguje się w zastawione przez nią z wirtuozerią i sprytem sidła. Ja wpadłam i nie chciałam się z nich wyswobodzić; ot słodka, islandzka niewola. Spodziewałam się tego już lata temu: koniec końców, zakochałam się w Islandii po uszy i w rezultacie wracam na nią każdego roku, by spędzić tam kilka miesięcy.

Sezon na czkawki



Islandia jest krajem dość nietypowym, gdyż na dobrą sprawę nie ma prawie wcale mieszkańców. Brzmi to jak abstrakcja, jednakże nawet mój rodzinny Gdańsk liczy ich sobie więcej aniżeli cały islandzki naród. Okazuje się bowiem, że już dawno temu Islandczykom w bardzo niecodzienny sposób poukładały się stosunki z samą Islandią. Mieszkańcy wyspy, jak żadni inni europejscy obywatele, na własnej ziemi wydają się mistrzami drugiego, ba!, nawet trzeciego planu i dalszych. Co ciekawe, z owej sytuacji nieprawdopodobnie się radują. Przejeżdża się więc przez wydające się nie mieć końca połacie i nieustannie zastanawia, czy ktoś w ogóle tę pełną uroku ziemię zamieszkuje. Na pierwszy rzut oka Islandia wydaje się krajem widmo. Tylko gdzieniegdzie poza stolicą natrafimy na ludzki ślad; wszędzie indziej szarżuje niczym nieposkromiona natura. O tak, wiatr ma tu gdzie hulać, bo w którym kierunku by nie spojrzeć, tam bezkres. Przeistaczając się z prędkością znacznie szybszą niż w przysłowiowym kalejdoskopie, dosłownie co rusz wyspa serwuje coraz to nowsze, lecz za każdym razem olśniewające panoramy. Ale tylko czasem przywodzą one na myśl swojską Ziemię. Reszta natomiast wydaje się do niej tak wizualnie nieprzynależna, iż ma się poczucie odwiedzin w innej galaktyce.

Takiego wrażenia nie odnoszą jedynie mieszkańcy wyspy. Wszystko dlatego, że Islandczycy Islandią się nie dziwią – lub też dziwią się rzadko kiedy. Po prostu są ludźmi, którzy rzadko dziwią się czemukolwiek. Nie sposób wprawić ich w osłupienie doniesieniami o porywach wiatru tak silnych, że przesuwają samochody. Nie da się zaskoczyć ich nawet oświadczeniem, iż dosłownie za moment znajdą się w oku rozszalałego i na dodatek śnieżnego cyklonu. Z ich strony rodzinna wyspa to kraj prawie w stu procentach normalny, raczej banalny. Niekiedy nawet zatrważająco nudny, zwłaszcza latem. Tak,

dla niektórych latem bywa najgorzej.

Wedle najmłodszych pokoleń na lipiec i sierpień najlepiej wyjechać, by ujrzeć lato takim, jakim być powinno, ma się rozumieć – gorącym. No to jadą. Podążają najczęściej w wymarzonym kierunku Półwyspu Iberyjskiego bądź na równie słoneczne Wyspy Kanaryjskie, tyle że już po niecałym tygodniu zaczynają marzyć o powrocie. Hiszpańska fantazja o wakacjach idealnych przeradza się nader często w koszmar przegrzania, gdy z optymalnych dwudziestu paru stopni nagle robi się ponad trzydzieści. A nie tylko temperatura gnębi Islandczyków. Palmy, owszem, piękne, tyle że ludzi wkoło zdecydowanie za dużo. Po przyjeździe wciąż więc powtarzają, że wyjazdów jak na razie mają dość. Lepsza bywa dla nich ostatecznie Islandia, bo ją znają przynajmniej gruntownie i komfortowo, bo na wylot. Zagłębiwszy się w islandzki charakter, od razu można stwierdzić jedno – gdy coś jest już znajome, to jest to zaleta ogromna. Dla zainteresowanych Islandią tkwi w tym jednak pewna niekorzyść. Islandia dla wszystkich Islandczyków pozostaje bowiem tak oczywista, iż często nie chcą oni o niej nawet rozmawiać. W związku z tym w rozmowach z wyspiarzami przewija się taki oto zwrot: „Ach, Islandia to Islandia. Lepiej opowiedz nam o Polsce, ależ to musi być ciekawy kraj!”. Co poniekąd dopiero po wielu miesiącach przyjaźni zaczyna się w kwestiach narodowych opinii rozwiązywać język, a do tego czasu kwitują oni temat swojego domu kilkoma zdawkowymi zdaniami.

Inna to sprawa dla człowieka, który trafia na wyspę po raz pierwszy. Najczęściej bywa z nim tak, iż mógłby dniami i nocami prowadzić dysputy na tematy islandzkie. Z jego perspektywy to wszystko naturalnie prezentuje się zgoła inaczej, ponieważ typowa przygoda z Islandią zaczyna się dość zaskakująco. Z banałami do czynienia mieć się tu nie będzie, co to, to nie. Swą północną gościnę przybysze rozpoczynają od poczęstunku doznaniem naprawdę sporego kalibru, a to dlatego, że Islandia nie pozwala na powolne przyzwyczajanie się do zaistniałych warunków. Bach! Ona, nie znając litości, od razu oszałamia, gorąco krwiście elektryzuje. Nawet jeżeli widziało się już wiele i miałyby się na swym podróżniczym koncju mnóstwo państw, to widząc po raz pierwszy Islandię, można sobie zagwarantować, że oczy rozszerzą się ze zdziwienia. Śmiało można również zaryzykować tezę, iż w większości przypadków w podobnym stanie trwać będą już do końca

pobytu. Islandzkie początki prezentują się zaś mniej więcej tak.

Jeśli chodzi o statystycznego przyjeźdnego, to Islandia zaczyna go zadziwiać jeszcze zanim dotrze on na miejsce. Po pobudzeniu swej wyobraźni oglądem setek zdjęć wyspy publikowanych w przewodnikach, czasopismach oraz w internecie, w końcu w życiu człowieka nadchodzi chwila, gdy zaczyna on myśleć o ujrzeniu słynnych kamieni otulonych kolorowymi porostami. Czekają ot tak, na nowe, lecz dziwnym trafem to przedpodróżne oczekiwania mijają inaczej niż kiedykolwiek, gdyż w dotąd niespotykanym napięciu. Taki to kierunek, że mimo wszystko trzeba by coś zaplanować, pokusić się o jakikolwiek, choćby skromny wywiad. Namiotu wszędzie się rozstawić nie da, kwatery co krok się nie znajdzie, podobnie wygląda kwestia gastronomiczna, a przetrwać przecież trzeba, jeśli raptem zaskoczy nas, dajmy na to, jakiś islandzki żywioł. Czas nagli, a w głowie tymczasem roi się setka pytań. No bo jak to będzie, czy naprawdę tak dotkliwie zimno? I co by tu ze sobą zabrać, by oszukać ciało w ów klasycznie chłodny, świdrujący słońcem i wiatrem, a przecież na dobrą sprawę wakacyjny dzień? I kolejna rzecz: Czy da się w ogóle spać? Przecież nocą będzie jasno jak w polskie południe (prawie nie do uwierzenia). W końcu nadchodzi termin odlotu, jest się zatem – jak na wyspiarskiego nowicjusza przystało – uradowanym, ale i odrobinę zaleknionym.

Na wstępie trzeba powiedzieć, że nad Islandią niezmiernie porywająco się szybuje – tak nieziemsko, iż mogłoby się to robić bez końca. Trudno uwierzyć, że nad innym krajem mogłoby się latać jeszcze wspanialej, nic więc dziwnego, że wielu Islandczyków marzy o posiadaniu awionetki – aniżeli niektórym z nich udało się już to marzenie spełnić. Większość ludzi trafia na wyspę właśnie drogą powietrzną, dzięki czemu przy szczęśliwej i umiarkowanej zamglonej aurze mają oni szansę skonfrontować się z islandzką, podniebną sytuacją przestrzenną. Co więcej, szanse na ujrzenie nieprzeciętnych plenerów rosną, gdy postanowi się Islandię pozwiedzać, rozpoczynając na przykład z drugiego końca wyspy, a nie standardowo ze stolicy, i z tejże okazji zaserwuje sobie lot wewnętrzny. Z okienka samolotu świat przybliżyła się i za chwilę znów oddala, to akurat nic nowego; ale nad tym konkretnym terenem po prostu dzieją się cuda.

Nie dość, że ogląda się niespotykane nigdzie indziej elementy

krajobrazu, to jeszcze układają się one w zaskakujące, abstrakcyjne dzieła. Nie sposób tu wyłapać jakikolwiek błąd kompozycyjny, ot perfekcja Matki Natury tak niezwykle dla Islandii hojnej. Choć tkwi się w sferze realności, wszystko zdaje się nierealne. Tymczasem w nienaturalnie szeroko otwarte oczy zaczynają uderzać pierwsze zupełne pustki. Wokół trochę więcej aniżeli nic, lecz mimo to pięknie. Jedyne, co przychodzi wówczas do głowy, to to, że chyba właśnie tak musiałoby się latać nad Narnią, słynną, baśniową krainą znaną z książek autorstwa C.S. Lewisa. Wszelkie grunty okazują się zupełnie różne od tych dotychczas oglądanych z góry; wydają się wręcz fantastyczne i to już od pierwszego spojrzenia. Hipnotyzują, garbiąc się i układając w setki tysięcy niemal identycznych kopczyków. Tak właśnie przebiega pierwsze spotkanie z polami lawowymi, równie urokliwymi także z bliska. Islandia z góry to kolejne odrębne dzieło i niesamowity przedsmak tego, co kryje się na dole. Tak więc jest się już pod wielkim wrażeniem tego, co nas czeka na lądzie.

Kolejną rzeczą, która zaskakuje po przybyciu na miejsce i od razu po opuszczeniu pokładu samolotu, jest powietrze. Powietrze inne, wspaniale czyste, choć początkowo dziwne. Zimne, ale mające w sobie niebywałą świeżość, która w kilka minut potrafi orzeźwić umysł i uporządkować pogmatwany ciąg myśli. To przyjemnie chłodny powiew i niejako zapowiedź islandzkiej przygody. Jego zalety od pokoleń doceniają wszyscy Islandczycy, zwłaszcza ci, którzy niedawno przywitani na świecie swego potomka. Owa admiracja powietrza ze strony świeżo upieczonych rodziców często wiąże się również z posiadaniem dwóch wózków: jednego spacerowego, a drugiego – równie ważnego – balkonowo-ogrodowego.

Wózki spacerowe występują najczęściej w najnowszych modelach. Balkonowe zaś to urokliwe pamiątki z dzieciństwa rodziców lub dziadków malucha. Brzmi to dość kuriozalnie, jednakże na Islandii niemowlaki w najlepsze ucinają sobie drzemki na dworze, co więcej – w warunkach, w których polscy rodzice pod żadnym pozorem nie wytknęliby z nimi nosa z domu nawet na moment. Nikogo nie powinny także zdumiewać wózki poustawiane przed kawiarniami oraz sklepami, w których aktualnie znajdują się opiekunowie dzieci. Zdarzały się przypadki, iż turyści, strwożeni pozycją jakoby zaniechanych bobasów i niemogący spokojnie patrzeć na rzędy

spacerówek pozostawionych samym sobie podczas niemałych wichur, bohatercko próbowali interweniować. Rozjuszeni wchodzili do kawiarenek w poszukiwaniu lekkomyślnych ich zdaniem rodziców i zaczynali ich wyjątkowo srodze napominać.

Reakcje na to były zazwyczaj bardzo podobne, mianowicie wewnątrz lokalu czy też butików zaczynał wtedy wypełniać gromki śmiech, na co turystom jeszcze bardziej rzedły miny i opuszczali je oni wyraźnie stropieni. Wedle Islandczyków, sen na wolnym, cudownie rześkim powietrzu, niezależnie od panującej temperatury, to samo zdrowie, coś, dzięki czemu organizm zyskuje niewiarygodną wręcz odporność. A wracając do tego, jak na powietrze reagują przyjezdni – przez premierowy arktyczny wdech nie można się potem czasem pozbyć donośnej, okołopolarnej czkawki! Na szczęście w ciągu zaledwie kilku kolejnych godzin zaczyna nam się oddychać lepiej niż kiedykolwiek. Osobliwie intensywne, w sposób niewytłumaczalnie odmienny niż dotychczas, chłodne powietrze staje się dość prędko uzależniające. Wszelkie czkawki mijają jak ręką odjął, pozostawiając umysł chłonnym na nowe islandzkie doznania i ich niuanse.

Do takowych arcyciekawych szczegółów z wyspiarskiego życia wziętych z pewnością należy pogoda, albowiem jest to coś, nad czym na Islandii ożywczo się debatuje. Podobnie jak na nie tak znowu odległej sąsiadce, czyli Wielkiej Brytanii, konwersację zaczyna się często właśnie od oszacowania warunków meteorologicznych. W przypadku Islandii ma ona jednak zdecydowanie większy rozmach. Krótka, nieco kurtuazyjna pogawędka niespodziewanie przerodzić się może nawet i w ponadgodzinną, zażartą dyskusję. Jeśli chodzi o kwestie pogodowe, to jak najbardziej jest o czym rozprawiać, ponieważ położenie Islandii sprawiło, iż pod względem klimatycznym dzieją się na niej rzeczy wręcz szalone. Pogoda jest praktycznie nieprzewidywalna, lecz mimo to jej prognozy studiuje się w tym kraju z niepohamowaną namiętnością.

Mieszkańcy wyspy wręcz nałogowo sięgają po podobne informacje; dotyczy się to także odwiedzających wyspę turystów. Choć prognoza pogody jest przekazywana w mediach jako pewnik, to tak naprawdę nierzadko okazuje się szaloną zgadywanką. Wszyscy o tym wiedzą, ale mimo to sprawiają sobie przyjemność nieustannym dociekaniem, jak to będzie dnia kolejnego i czy prognoza nazajutrz sprawdzi się choćby

w nieznacznym ułamku. Nadzieja na podobno w stu procentach pewny słoneczny dzień rozplywa się jednak często w nawiedzającej okoliczne doliny mżawce. Zarówno Islandczykom, jak i przybyszom pozostaje więc tylko kiwanie z rezygnacją głową, wzruszanie ramionami oraz pełne cierpliwości powiedzenie: „ach, jeśli nie dziś, to może jutro!”.

Na Islandii, srogo zwanej lądem lodu, panuje mimo wszystko klimat umiarkowany. Latem jest więc umiarkowanie ciepło, a zimą umiarkowanie mroźnie. Od stuleci właściwie wciąż to samo. Czasem błoga cisza, o wiele częściej atmosferyczne „szorstkości” i niezmienna surowość klimatu: kurzawa, orkan i huk. Suche i zimne masy powietrza z północy ścierają się z wilgotnymi i ciepłymi napływami z południa. Wskutek niebywałej burzliwości tych zmagających prognozy na wyspie nie sprawdzają się prawie wcale. Islandia, tkwiąc na środku oceanu, przyciąga wszelkie pojawiające się w pobliżu fronty. Innymi słowy, działa niczym magnes, gdyż to, co się dzieje na oceanie, na pewno uderzy też w wyspę. Nie można więc się tutaj nudzić i biorąc przykład z rdzennych mieszkańców, trzeba w końcu docenić zmienną pogodę, nadając jej po prostu status rozrywki. Planując odwiedzin na wyspie, tak jak tubylcy należy wziąć pod uwagę to, że każdy dzień na Islandii jest stosunkowo pochmurny, i zacząć określać pogodę nie mianem złej, lecz interesującej. Nie należy się także przejmować, gdy podczas zwiedzania okolicy nagle zacznie wiać wiatr, który niekiedy, gdy ma taki kaprys, może przewracać traktory.

Całe to pogodowe zamieszanie sprawia, że miejsca nawet kilkakrotnie odwiedzane i pozostawiające wrażenie nienadszarpniętych przez ząb czasu, podczas kolejnej tam wizyty jawią się jak nigdy dotąd niewidziane. Islandia to iluzjonistka doskonała. Dlatego też ponowna konfrontacja z przestrzenią niegdyś już efektywnie schodzoną, której wyraźny obraz ma się w głowie, zapewne wywoła spore zdumienie. Zadziwi nas z pewnością, gdyż w każdym kolejnym wcieleniu Islandia prezentuje się inaczej; dlatego zawsze odkrywa się ją na nowo. A to zaskoczą nas niewidziane wcześniej, prowokatorsko nisko nadchodzące, oniryczne kłęby chmur lub twory im podobne, a to napotkamy kolejną z kilkudziesięciu metod przecieków serwowanych przez wyjątkowo pomysłowe islandzkie niebo. Niewykluczone, iż zdarzy się to wszystko naraz bądź jeszcze więcej, i to w niecałą godzinę,

łącznie z niezaplanowanym, niestandardowo wspaniałomyślnym i nawet kilkuminutowym występowaniem słońca wychylającego się zazwyczaj nie wiadomo skąd.

Do wyspiarskich atrakcji dochodzą jeszcze niesamowite kolory, w jakich niekiedy występuje tu firmament: ma w zwyczaju z obojętnością pąsa przeistaczać się w okamgnieniu w roziskrzoną ultramarynę. Tak więc z rozrywek właściwych wszystkim słowiańskim porom roku na Islandii skorzystać można w ciągu zaledwie jednego dnia, i to nie pokonując wcale pokaźnych dystansów. I jednego tylko można się na Islandii spodziewać: najprawdopodobniej nie zaskoczy nas tradycyjna burza z piorunami. Należy ona niestety do grona nielicznych atmosferycznych rarytasów, jakie na wyspie zwykle nie występują. Można za to zawsze liczyć na burzę śnieżną.

Gdyby nie pewien szczęśliwy przypadek, islandzki klimat mógłby być jednak o wiele bardziej zatrważający. Mimo szalonej zmienności tutejszej aury trzeba powiedzieć jasno, że na tle innych, bardzo dalekich północnych przestrzeni wypada on naprawdę dobrze. A wszystko to dzięki cudownemu zjawisku, jakim jest brzmiąca groźnie tylko z nazwy cyrkulacja termohalinowa. To nic innego jak globalna wymiana wód oceanicznych, którą powodują zmiany gęstości wody morskiej, zależnej od aktualnego stężenia soli oraz charakteryzującej ją temperatury. Dzięki takiemu obrotowi sprawy na Islandii panuje o wiele wyższa temperatura, niż względnie panować powinna. Ciepłutkie i beztrudne wody Morza Karaibskiego wędrują dziarsko i zapewne w rytmach reggae przez tylko pozornie niewzruszony Atlantyk, który tak naprawdę jest bardzo podatny na wpływy i pozostaje swoistą kuźnią światowego klimatu. Przy udziale Prądu Zatokowego, czyli Gólfströmu, karaibskie wody kierują się na północ, aby ostatecznie otulić znajdującą się w trudnym klimatycznie położeniu Islandię. Islandczycy bardzo sobie cenią zaistniałą sytuację, choć rozprawiają niekiedy fatalistycznie o tym, że gdyby nie dobrodusznym wymiana wód w otaczającym ich akwenie, to wyspa nie byłaby wcale ich wyspą, gdyż najzwyczajniej w świecie nie dałoby się na niej osiedlić.

Niektórzy, słysząc o Islandii, zastanawiają się, cóż takiego magnetycznego jest w tej chłodnej krainie, że przyciąga tak wielu

obieżyświatów. Co sprawia, że tylu ludzi nachodzi nagle chęć odkrywania zamarzniętych w wiecznym lodzie zagadek. Odpowiedzi jest wiele, lecz wyobraźnię z pewnością musi kusić doświadczenie zjawiska dni polarnych, ujrzenia zorzy oraz odbycia wędrówek po tundrze, czyli tego, co składa się na pakiet atrakcji Północy. Islandia to bowiem taka „Arktyka dla początkujących”, muskająca polarne zwieńczenie naszej planety. Stosownie daleka i odpowiednio bliska, kosztowna, ale nieprzerazająca cennikiem, jakim charakteryzują się wyprawy na inne podbiegunowe tereny. To piękna wprawka do obcowania z nieczułą północną przyrodą, idealna, aby wdroić sobie techniki obchodzenia się z podobną surowością. Na Islandii, od kiedy tylko pojawili się na niej ludzie, to właśnie natura nieprzerwanie kieruje każdym istnieniem.

Dla Islandczyków natura żyje własnym życiem; niegdyś traktowano ją jako osobny byt. Czczono ją tu podobnie jak pozostałe bóstwa, odkąd tylko pojawili się tu pierwsi osadnicy. Wszystkim wulkanom, dolinom, górcom, gejzerom, jeziorom, strumykom i rzekom przypisywano cechy ludzkie, nadawano charaktery, by później nauczać mniej roztropnych Islandczyków tego, w jaki sposób postępować, aby nie doprowadzić do ich rozzłoszczenia. Pełen szacunku stosunek do natury pozostał jednak niezmienny, mimo że koniec końców na Islandii pojawiło się chrześcijaństwo. Z poszczególnymi jej elementami nadal obchodzono się jak z pełnoprawnymi mieszkańcami wyspy, wierząc, że wszystkie one posiadają zaklęte, tajemnicze dusze. Do dnia dzisiejszego mieszkańcy Islandii darzą naturę niezwykłym szacunkiem i jak chyba żadna inna nacja dbają o kwestie ekologiczne. Islandia pozostaje jednym z najmniej zanieczyszczonych krajów na świecie, a blisko 75% zużywanej na wyspie energii pochodzi ze źródeł geotermalnych oraz wodnych.

Z naturą od zawsze był związany islandzki kalendarz. Przy określaniu dat czy też podczas dyskusji o używanym na przestrzeni dziejów Islandii systemie kalendarzowym często dochodziło do wielu nieporozumień. Podczas gdy Kościół islandzki posługiwał się kalendarzem juliańskim, mieszkańcy używali własnego, opartego na porach roku i związanego z czynnikami klimatycznymi. Islandzki rok dzielono na dwie części – zimę oraz lato. Dawno temu ludzi nie

podliczano tradycyjnie, w latach. Nie rozprawiano nawet po europejsku, ileż to dana osoba liczy już sobie wiosenek, gdyż zgodnie z prastarym zwyczajem wiek podawano w zimach. Natomiast jeśli chodzi o początek nowego roku, to kiedyś nie kojarzył się on Islandczykom z zimą, gdyż za jego odpowiednik uznawano początek każdego lata. Ponadto każdy rok dzielił się na miesiące księżycowe, od jednego księżycyca do kolejnego, a zatem od jednej pełni do drugiej.

Poza tym Islandczycy nie zajmowali się skrupulatnym odliczaniem dni. Na bardzo ogólne podejście do sprawy pozwalali sobie szczególnie w lecie, gdy noce jaśniały tak, iż trudno było dostrzec Księżyc. Skoro więc mowa o datach, to ustalano je szacunkowo. System ten ulegał w ciągu wieków wielu różnorodnym modyfikacjom, ostatecznie jednak zdecydowano się przyjąć podział na tygodnie siedmiodniowe. Rok złożono wówczas z pięćdziesięciu tygodni, co potem dodatkowo podzielono na dwanaście miesięcy. Większość miesięcy miała po trzydzieści dni, zaś cztery z nich po trzydzieści jeden. Dawało to ostatecznie trzysta sześćdziesiąt cztery dni, czyli jeszcze odrobiny do stosownej juliańskiej liczby brakowało. Problem rozwiązano następująco: co pięć lub sześć lat należało dodać do kalendarza jeden dodatkowy letni tydzień, który nosił nazwę *sumarauki*, czyli „nadprogramowe lato”.

Mimo że mamy już XXI wiek, to na Islandii nadal są miejsca, gdzie tak naprawdę – prócz możliwości korzystania z kilku przydatnych urządzeń – nic się nie zmieniło. Od dawien dawna to właśnie Słońce pozostaje niezwykłym królem na nieboskłonie. Przed wizytą na Islandii wielu ludzi zastanawia się, jak wygląda życie w tak zaskakujących warunkach i czy można przyzwyczaić się do podobnej, często nieprzychylnej aury. Z odpowiedziami na te pytania śpieszyło mi wielu Islandczyków. Zdania jak zwykle są podzielone. Niektórzy, zwłaszcza starsi, uważają zimę (*vetur*) za swą ulubioną porę roku i nigdy nie daliby się, jak młodsze pokolenie, namówić na zimowe wakacje w tropikalnym czy śródziemnomorskim klimacie, bowiem na mroczną i surową zimę z utęsknieniem czekają. Już zawczasu szykują specjalne łańcuchy na gigantyczne opony potężnych jeepów, wyglądających swoją drogą nie jak normalne samochody, lecz jak fantastyczne pojazdy rodem z filmów z gatunku science fiction. Powiadają też, że nie ma na świecie nic bardziej poetyckiego

i bajkowego niż Islandia otulona płaszczem śnieżnobiałego puchu. Islandia, która wydaje się wówczas jeszcze cichsza niż zazwyczaj, oczywiście w momentach, gdy nie szaleją nad nią wichry zaopatrzone w potężny śnieżny arsenał. A najpiękniej milcząca i najbardziej liryczna jest tuż po przejściu niemożliwej do wyobrażenia burzy śnieżnej trwającej przynajmniej cztery doby.

Jak od pokoleń powtarzają Islandczycy, zimą nudzić się nie sposób. Wyspiarze kochają ją za dostarczanie rozrywki, niekiedy robiąc nawet osobliwe zakłady, z których najpopularniejszym jest ten o czas trwania śnieżnych huraganów. Często nieżyczliwa dla innych ludzi pora roku, na Islandii posiada niezwykłą moc. Myśli, choć niezbyt ochoczo, zawsze ostatecznie podążają za coraz mocniej uszpiętą naturą, spowalniając swój bieg. Przebywając na wyspie zimową porą, ma się często przedziwne wrażenie, jakoby zima wchłaniała troski i dawała wspaniałe wytchnienie. Oprócz tego *vetur* zaprowadza w całym kraju, zwłaszcza na bezkresnych przestrzeniach i w niewielkich osadach, piękne porządki. Oczyszcza figlarną przestrzeń z detali, a myśli z niepotrzebnych bagatelek, tworząc nad ludzkimi głowami niemal aureolę. Jeśli kogoś trapią życiowe problemy, a zima właśnie się zbliża lub trwa w najlepsze, Islandczycy mają w zwyczaju mu doradzać, aby póki co nie podejmował ważnych decyzji. Są zdania, że lepiej zimę przeczekać i ujrzeć wszystko w innym świetle. Morał z tego taki, iż zamiast się zamartwiać, lepiej poddać się losowi i wprowadzić się w stan kojącej hibernacji. Zadymka bez trudu przysłoni, a w odpowiednim momencie nawet i usunie wszelkie życiowe mankamenty.

Przenikający do szpiku kości oddech zimy czasami czuć już w sierpniu. Przypominają się historie z islandzkiego życia wzięte. Niektóre wyspiarskie zjawiska już od początku wydają się nieprawdopodobne, dlatego czasem aż trudno uwierzyć w istnienie aż tak nieokiełznanej aury. Zaczyna się jak typowa zima, ot, śnieżnobiały puch z niebywałą gracją zaczyna wirować nad ziemią. Z godziny na godzinę zjawia się go coraz więcej i więcej. Już nie wiruje, a mknie z zawrotną szybkością, w wyniku czego znikają ze świata kolory, bledną wszystkie intensywności. Po nocy widzimy już tylko biel. Biel ostateczną, majestatyczną i wyjątkowo zaborczą. Srogą, skutą lodem, porośniętą na metr wysokimi soplami, które, choć wydają się

niezłomne, z łatwością łamią się pod uderzeniami skrzydeł szalonego wiatru. Bywają tu jesienie oraz zimy tak bezduszne i furiackie, że zasypane drzwi wejściowe, ba!, zasypane aż po pierwsze, a nawet drugie piętro, uniemożliwiają oddech czy wyjście po zakupy. Na dobrą sprawę jeśli zapomni się o tym, by przygotować się do zimy, można się znaleźć w bezprecedensowych domowych opałach. Gdy wielkie połacie bez wyjątku zagarnia łakomy śnieg i nieznający umiaru, spokrewniony z nim lód, dom musi stać się twierdzą doskonałą.

Komunikat za komunikatem, wszyscy radzą, iż lepiej nie ruszać się dziś z domu, oczywiście gdy nie ma takiej potrzeby, a ta zazwyczaj jest. Nerwy szybko puszczają i ma się dość zimy po czubki przemarzniętych nosów, choć to dopiero jej faza wstępna. Trudno utrzymać na wodzy pragnienie odbycia najzwyczajszego krótkiego spaceru, tym bardziej że cała sytuacja trwa już od niemała kilku dni. Naturalnie to początek sezonu i cóż za szczęście, że to nie nieokiełznana zima, na przykład taka, jaka zdarza się zazwyczaj. Do sklepu po prowiant niestety się nie wyskoczy, a i o opiekę lekarską dosyć trudno. Grunt to mieć w posiadaniu na oko wystarczające zapasy oraz odrobinę szczęścia, dzięki któremu organizmowi nie zachce się w tym nieprzychylnym czasie zaserwować jakichś niezbyt przyjemnych niespodzianek. Pocięsza tylko wizja medycznego helikoptera lądującego gdzieś w zaspach nieopodal, bo w nagłych i ciężkich przypadkach na bezdroża dolatuje lekarz. A jeśli nadciąga zamieć śnieżna, to wcześniej po przyjacielsku daje znać, gdyż jej wyjące utyskiwania słychać już z bardzo daleka – jeszcze zanim zdąży się ze swym opresyjnym hukem pojawić w pobliżu naszego domostwa.

Gdy Islandia owija się wietrznym szalem, na scenie krajobrazu niewiarygodnie szybko zaczyna rozgrywać się oszałamiający spektakl, który najlepiej i najbezpieczniej oglądać z domowego zacisza. Czasem, gdy zdarzy się, że czujność zawiedzie i nie dosłyszysz się dość wcześnie wycia wiatru, nie należy się tym przejmować: przed mroźnym huraganem otrzymamy bowiem drugie ostrzeżenie. Islandczycy od zawsze wierzą w dobroć kruków, które podobno już od zamierzchłych czasów ostrzegają mieszkańców przed najsilniejszymi wiatrami i gniewnymi rozruchami lawin. Gdy kruk zimą rozkracze się nad którymś domostwem, wiadomo, że należy unikać rewirów, gdzie czyhać mogą na nas podstępne osuwiska, albo że należy zostać

w pieleszach, na wypadek gdyby chciał nas porwać choleryczny wiatr.

Mimo wszystko ludzi ze śniegiem i innymi mroźnymi atrakcjami łączy tutaj przedziwna zażyłość, choć chciałoby się czasem z zimowych opresji wydostać nieco wcześniej. Islandczycy uwielbiają zimą kontemplować, z satysfakcją obserwować, jak śnieg pożera wszystko naraz. Wszyscy sprawiają wrażenie, że są sobie równi; fabryki, tamy i ludzie kończą zwykle tak samo. Zatapiając życie i rzeczy przy akompaniamencie opadającego puchu, zima dodatkowo skutecznie zamraża i tak już biegnący dziwnym torem wyspiarski czas. Burza śnieżna zawsze wciąga i angażuje wszystkie zmysły do tego stopnia, iż czas jej trwania spędza się na ślęczeniu przy oknie i obserwowaniu z zapartym tchem wszystkich akrobatycznych śnieżnych poczynań. Tym sposobem można przepaść na wiele godzin. Bywa w tym coś niezwykle przyjemnego i wręcz uzależniającego.

Niezależnie od wciągającego podglądania zawieruch, człowiek nie ma wrażenia, iż czas przecieka mu między palcami. Wręcz przeciwnie, wydaje mu się, iż ma go do woli, kiedy więc tylko przychodzi ochota, może posłuchać albo nierealnej ciszy, albo równie nierealnego wrzasku wiatru. Ma również czas, by pomyśleć, ale nie o sprawach ważkich i skomplikowanych, lecz o małych zimowych przyjemnościach, które Islandczycy ubóstwiają sobie fundować. Detale dotyczące codziennego życia zwłaszcza zimą nabierają tu wielkiego znaczenia. Wszystkie napitki, czyli każdy rodzaj herbaty czy kolejnej kawy, stają się niezwykle urokliwymi rytuałami o wybornie rozgrzewającej mocy, wywołującymi uśmiech tylko na samą o nich myśl. W związku z tym każdy zimowy wypad po sprawunki przedłuża się wielu Islandczykom w nieskończoność. Okazuje się, że dobór właściwych mieszanek herbacianych, odpowiedniego imbryka i syropów komponujących się z herbatą zdaje się sprawą tak istotną, że należy poświęcić jej więcej uwagi niż zazwyczaj podczas innych zakupów. Tutejsza zima ma tajemniczy aromat skarbów tundry, czyli borówek, bażyn, jagód, jeżyn oraz nadzwyczaj upajającego wonią arktycznego tymianku, bo to z nich często pije się zimą ocieplające ducha i ciało herbaciane napary.

Zimowy dzień na wyspie trwa zaledwie kilka godzin, jednakże ciemność na Islandii nie rozgaszcza się tak zdecydowanie jak na innych arktycznych terenach. Dzień chytrze pragnie upodabniać się do nocy, lecz mimo to na szczęście można je od siebie odróżnić. Mroki

zwykle nadchodzą zniecka. Małymi kroczkami zalewają świat i ludzką świadomość, operując jednak nie dobitnymi czerniami, jak można by się spodziewać, ale szlachetnym, stonowanym granatem. Półmrok każdego dnia serwuje Islandczykom nowe wrażenia. Bywa relaksujący, jak zazwyczaj na początku sezonu, ale gdy trwa za długo, zaczyna niepokoić, budząc w organizmie dziwną duszność. Nie jest to jednak nic nadzwyczajnego; ot, zwykle północne choroby duszy nadchodzące ludzi zazwyczaj u progu lutego. Aby do nich nie dopuścić, zimie trzeba po prostu się poddać, a więc lekko uśpić swe zmysły. Poza tym noce polarne umilają Islandczykom czas regularnie odbywającymi się wówczas spektaklami z udziałem rozślawionych na całym świecie polarnych zórz, *Norðurljós*. Magicznych, fantazyjnych światłał przychodzi im wówczas na mroźne pocieszenie dosłownie multum. Przez granatowe niebo przesuwają się tanecznym krokiem świetlne i nadzwyczajnie migotliwe łuny, podczas gdy dokoła dudni zupełnie nierzeczywista cisza. Do takiego milczenia świata ani uszy, ani jaźń nie nawykły. Ale już po jakimś czasie wzmagają się na nie apetyt; tyczy się to także oglądanych w abstrakcyjnie bezdźwięcznym skupieniu zórz.

Wraz z nadejściem września odwiedziny strony internetowej Islandzkiego Instytutu Meteorologicznego stają się dla niektórych prawdziwą obsesją. Można na niej sprawdzać między innymi aktywność zórz polarnych w danym regionie, w wielu sercach budzą się więc naprawdę gorące emocje. Z potwierdzoną już na daną noc optymistyczną prognozą, z niecierpliwością czeka się na bezchmurne niebo bądź z cichą nadzieją uprasza się firmament o niezasnuwanie chmurami. Do zórz potrzebne jest bowiem niebo czyściutkie, oczyszczone z pierzastych elementów i wszelkich puchatych smug. W takich okolicznościach zorze prezentują się najefektowniej. Uświadomienie sobie tego często wprawia wielu przybywających na Islandię w wyjątkowo podły nastrój, gdyż dopiero na miejscu turyści uświadamiają sobie, iż do zórz potrzebna jest nie dość że wytrwałość, to jeszcze spora doza szczęścia. Gdy wyczekiwana zorza zaszczyci już niebo swą obecnością, syci oczy najwytrwalszych niezwykle połyskliwym tańcem, który czasem zdaje się trwać wspaniałą nieskończonością. Na Islandii na okres zórz czekają z niecierpliwością wszyscy, również Islandczycy. Zorzami bowiem nie sposób się znudzić,

nawet jeśli ogląda się je już pięćdziesiąty sezon z rzędu. Pomimo lutowych niepokojów i aresztów domowych zima zazwyczaj wszystkim bardzo się podoba i choć niekiedy się na nią narzeka, to nikt w głębi serca nie gniewa się na jej poczynania ani trochę.

Wedle starodawnego islandzkiego kalendarza pierwszy miesiąc zimy nosił nazwę *gormanuður* (krwawy miesiąc, czyli czas uboju), drugi – *ýlir* (czas „świętecznych chłopców”) bądź *frermanuður* (czas zamarzania), trzeci natomiast *mörsugur* (czas ssania tłuszczu) lub *hrútmanuður* (czas barani). Z zimowym okresem jest związany także enigmatycznie brzmiący termin *kvöldvaka*. W dawnych czasach był to swoisty zimowy antydepresant, ogólnodostępny odpowiednik prozacu, czyli po prostu cudowne antidotum na polarne ponuractwo. Trudno znaleźć dla niego odpowiednik w języku polskim czy angielskim. *Kvöld* to słowo oznaczające wieczór, *vaka* to natomiast „pozostanie w stanie najbardziej przytomnym” jak tylko się da. Najprościej rzecz ujmując, jest to po prostu wieczorne pobudzenie. Każdego zimowego dnia ciemność zapadała nie dość, że prędko, to jeszcze na długo; gdyby więc nie *kvöldvaka*, Islandczycy nie mieliby zimą co jeść, w czym chodzić i zapadliby po prostu w głęboki, zimowy sen jak mieszkańcy Doliny Muminków. Terminem *kvöldvaka* określało się między innymi wszelakie działalności, które dopomagały w utrzymaniu stanużywienia, a więc zimowe robótki, takie jak haftowanie, szycie, robienie na drutach, szydełkowanie, wykonywanie narzędzi. Jednym słowem, wszystko to, co mogło umilić ludziom ciągnące się w nieskończoność wieczory, ale i to, co było niezbędne do wykonania, ażeby mogli przetrwać zimę. Były to więc godziny przeznaczone i na uciechy, i na użyteczności.

Kvöldvaka była również czasem, kiedy to zajmowano się edukacją dzieci. Jako że latem wszyscy mieli przez całe dni masę roboty, to właśnie zimą uczono je czytać oraz pisać, oczywiście na przykładzie sag, które namiętnie podczas takich wieczorów pochłaniano. Nie wszyscy rodzice byli jednak zainteresowani przekazywaniem wiedzy; niektórych nawet nie obchodziło, czy ich latorośle będą w stanie nabyć przydatną zdolność składania liter. Mimo to jednak zajmowali się tym, gdyż nauka owych użytecznych umiejętności nie była dobrowolna, przynajmniej nie w XVIII-wiecznej Islandii. Było to zadanie obligatoryjne, narzucone przez Kościół, który swego czasu zamierzał

dostarczać Islandczykom stosownych nauk także w formie pisemnej. Zamiast satysfakcji z coraz bardziej samodzielnego odczytywania sag oraz religijnych tekstów, *kvöldvaka* przynosiła często niemałą trwogę.

Swego czasu nakazano bowiem duchownym, aby zaczęli składać wiernym regularne wizyty. Mało tego, że nakaz wypełniali, to na dodatek często przybywali w towarzystwie lokalnego ministra. Podczas takowych wizyt zamierzano sprawdzać postępy czynione przez młode pokolenie. To napawało niepokojem wielu obywateli, gdyż przedstawiciele kleru, jeśli zauważyli brak progresu w nauce u dzieci, mieli prawo odebrać je rodzicom. Na nic były wtedy lamenty i zgrzytanie zębów, niedouczzone dziatki raz-dwa miały spakować swoje nieliczne rzeczy osobiste i czym prędzej opuścić rodzinny dom. Poza chęcią wywołania dość okrutnej presji chodziło bowiem o jeden bardzo pożądany w tamtych czasach czynnik – ręce do pracy, na które kler mógł w wyniku niedostatku wiedzy liczyć. Można się także domyślać, co to oznaczało dla większości niezbyt majątnych rodzin, którym były one potrzebne jeszcze bardziej.

Większy stres przeżywano, gdy dziecko kończyło czternaście lat. Nadchodził wówczas czas ostatecznego sprawdzenia wiedzy, czyli test przed ministrem, który oznaczał niejako krok w stuprocentową dorosłość. W dawnej Islandii dzieci obarczone mnóstwem obowiązków o wiele szybciej dorastały i psychicznie, i fizycznie. Niestety w związku z tym szybciej nadciągała też starość, o ile młodemu człowiekowi szczęśliwie udawało się kolejne lata przeżyć. Domostwa po nieco stresujących wizytach duchownych, które przeszły je w miarę gładko, mogły w pełni relaksować się grupowym tworzeniem poezji. Uwielbiana na wyspie działalność poetycka była nazywana *að kveðast á*. Chodziło o to, że pierwsza osoba tworzyła pierwszy wers, druga – drugi, i tak po kolei; każdy z osobna coś lirycznego dopowiadał. Wszyscy Islandczycy uwielbiali wymyślać podobne rymowanki, często o zabarwieniu humorystycznym, wyjątkowo frywolne, bywało więc i tak, iż na wstydliwym czerwieniu się oraz na *að kveðast á* mijał im niepostrzeżenie niemalże cały wieczór.

Gdy każdy wykrzesał już z siebie ponadprzeciętną dawkę liryzmu podczas *kvöldvaka*, wszyscy jak jeden mąż zaczynali marzyć o nadejściu wiosny. Nikt nie pocieszał się jednak słowami „byle do wiosny”, lecz stosował formę „byle do lata”, jako że na Islandii

uznawano tylko dwie pory roku. Wiosna i jesień nie zostały włączone do sezonowej gry, gdyż były od zawsze tak krótkie, iż w końcu przestano je w ogóle zauważać, koncentrując się jedynie na najistotniejszych zmianach w przyrodzie. Na lato czekano kiedyś przez całą zimę z niemałą niecierpliwością, a za jego pierwszy dzień uznawano i nadal uznaje się 21 kwietnia. Zwano go *Sumardagurinn fyrsti*; był to dzień niezwykle radosny, wypełniony zabawami i festynami, jeden z najważniejszych momentów w roku, dlatego przygotowania do niego trwały długo.

Islandczycy pomimo bycia zimą za pan brat, nadal niezmiernie i żywiołowo radują się z każdego nadchodzącego lata i po dziś dzień je świętują, gdy już się zjawi. W związku z tym rząd zdecydował, iż nie można postąpić inaczej, jak tylko uznać ów dzień za wolny od pracy i święto narodowe. Z początkiem nowej pory roku związany jest też pewien przesąd. Mianowicie jeżeli zima i lato zrosną się ze sobą zupełnie nie do poznania, czyli jeśli pomiędzy końcem zimy a narodzinami lata wystąpi w nocy mróz, to lato będzie fantastyczne i nieprzeciętnie ciepłe. Mróz owej nocy częstokroć występował, tyle że jak na złość wszystkim wyspiarzom, niekiedy wróżył letnią aurę wcale nie wspaniałą, jak myśleli, a zupełnie pod psem. Nie przeszkadzało to jednak Islandczykom mieć nadziei na kolejny ciepłutki sezon.

Od maja na Islandii zazwyczaj robi się coraz cieplej, ale i bezapelacyjnie widniej. Wówczas każdego bez wyjątku dopada pewien bardzo osobliwy stan, a dzieje się to co roku mniej więcej około połowy miesiąca. Nieszkodliwego – na szczęście – bzika zwiastują coraz intensywniejsze barwy i zapach tundry oraz coraz bardziej natarczywa obecność ptactwa rozśpiewanego dosłownie przez całą dobę. Bezczesne islandzkie połacie nabierają optymistycznych odcieni, a dzięki ich soczystości umyka ciemność, każdej nocy po trochu. Każda noc jaśnieje coraz bardziej i z największego susła wychodzi ni z tego, ni z owego nocny marek. Godzina na spoczynek robi się jak najbardziej odpowiednia (dajmy na to, że jest już dawno po północy i powinniśmy przecież spać w najlepsze), a tu za oknem czary – widno zupełnie jak o poranku.

W zaczątkach tej dziwnej jasności, gdy sen nie ma zamiaru regularnie nawiedzać ciała, Islandczycy nie liczą bynajmniej owiec, zwierząt ogólnie tu dostępnych. Zamiast liczenia, a i smacznego po

nim chrapania, decydują się na biegi oraz przechadzki. W bezsennej radości odwiedzają również siebie nawzajem, przemierzają pobliskie pola lawowe, wpatrują się w okoliczne fiordy, które skrzą przedziwnym blaskiem tak odmiennym od błysku świtania. Z przyjemnością graniczącą z obłędem wszyscy patrzą, jak niezwykle intensywne, czasem wręcz rozżarzone światło oblewa cały nocny świat. Wszelkie szalone dzienne aktywności, a teraz chytrze wpełzające w nocną porę, to niechybny znak, że wielkimi krokami zbliża się lato, a na wyspie zaczyna królować dzień polarny. Błogi i niezakłócany przez pragnienie odbycia przechadzki sen na szczęście w końcu przychodzi, a owa noc na opak fortunnie powszednieje, tak że w końcu staje się czymś normalnym. Islandia znów układa się do błogiego snu.

Zarówno dzień polarny na Islandii – z racji jej położenia przed kołem podbiegunowym – jak i noc polarna przybierają odrobinę łagodniejszą formę niż w innych rejonach arktycznych. Słońce nie iskrzy tu przez całą noc, choć przez jej większość, kryjąc się za ledwie na trzy godziny. Zamiast spodziewanej w tym czasie ciemności nadchodzi lekkie zachmurzenie. Dlatego w tej przedpolarnej krainie niezawodne, grube zasłony to prawdziwy skarb. Zwiastunami lata są nie tylko promienie słoneczne w zwiększonej dawce, lecz także pojawienie się ptaszka zwanego siewką złotą. Siewka sprytnie omija doświadczenie islandzkiej zimy, spędzając ów czas na beztrudnych, śródziemnomorskich wakacjach. To dla Islandczyków ptak-symbol, a jego obecność jest uznawana za wizytówkę nowo przybyłej pory roku. Siewka wydaje z siebie ciekawy i bardzo nietypowy dźwięk, wszyscy więc z wytęsknieniem nasłuchują, co też w świeżej trawie zapiszczy. Prócz świergoczących siewek w zielonych źdźbłach zaczynają buszować również długodziobe ksyki, których obecność i przedziwne tony także wprawiają wszystkich Islandczyków w optymistycznie letni nastrój. W naturę zgodnie jak jeden mąż wsłuchują się wszyscy obywatele, a gdy śpiew siewki lub okrzyk ksyka zostanie posłyszany gdzieś pośród budzących się do życia łąk, radosna wieść natychmiast rozchodzi się po całej okolicy i donoszą o niej wszystkie krajowe dzienniki.

Islandzkie lato można jednak rozpoznać i bez świergolenia siewek. Gdy letnia aura rozgasa się na wyspie na dobre, w pewnym momencie niemal całą jej powierzchnię zalewają ogromne połacie

intensywnie fioletowej rośliny. Nagle okazuje się, że jest jej tyle, iż cały świat fioletowieje nam przed oczami, od najbliższych łąk aż po strome zbocza majestatycznych łańcuchów górskich, gdzie należałoby się raczej spodziewać uparcie zalegającego śniegu, a nie kwiecia. Tak czarują łubinowe pola. Na wszędobyłski łubin na Islandii nie ma rady, jeśli więc nawet chciałoby się przez kilka sezonów odpocząć od intensywności liliowych odcieni, to łubinowe nasiona i tak nie dadzą za wygraną, jako że mogą czekać w islandzkiej glebie na odpowiedni moment nawet i osiemdziesiąt lat.

Prócz dużej dawki radości islandzkie lato niosło niegdyś ze sobą także nieliczną obawę. Jak wiadomo, pogoda na wyspie lubi płać figle, a gdy kolejny dzień lata wciąż nie przynosił upragnionego ocieplenia, na Islandczyków padał blady strach. Nie chodziło bynajmniej o pragnienie wygrzewania się w słońcu, lecz o zgromadzenie pożywienia na kolejny ponury sezon. Brak ciepła równa się spowolnionej roślinności, a liczne stada owiec wygłodniałe wyczekują nowej porcji świeżutkich, soczystych źdźbeł. Jeśli pogoda się nie poprawiała, Islandczycy musieli pracować za trzech, a nawet czterech, by zdążyć z nawożeniem pól oraz przygotowaniem gospodarstwa do nadchodzącego powoli nowego sezonu. W oczekiwaniu na przyjazną pogodową aurę nieustannie psioczyło się na chłód, oczywiście zgodnie z aktualnym do dziś islandzkim zwyczajem, który polega na komentowaniu pogody przy użyciu bardzo rozwlekłych epitetów. Na końcu monologu kwitowało się chłody przeciągłym westchnieniem oraz frazą: *landsins forni fjandi*, czyli „wiekowy wróg narodu”. Był to znak, że kolejny z towarzyszy może zaczynać swoją wypowiedź (i oczywiście zakończyć ją identycznym westchnieniem i sformułowaniem). Gdy lato w końcu nadeszło, pobudzało wyobraźnię Islandczyków na tyle, że na letnie kwartały wymyślili oni specjalne nazwy: *gaukmánuður* (czas kszyka/siewki), *sátíð* (czas siewu), *eggtíð* (czas jajek), *stekktíð* (czas jagniąt), *sólmanuður* (czas słońca), *selmanuður* (czas wypasania), *heyannir* (czas siana), *kornskurðarmanuður* (czas zbioru kukurydzy) i *haustmanuður* (czas jesienny).

Wraz z nadejściem lata Islandczycy rozpoczynali swą największą pracę – żniwa. Wtedy to trwał *heyannir*, czas siana. *Heyannir* zaczynał się zazwyczaj w niedzielę, pomiędzy 23 a 30 lipca, gdy mlecze

z intensywnie żółtych kwiatów przeistaczały się w delikatny puch narażony na najmniejszy podmuch wiatru, czyli dmuchawce. Wszyscy mieszkańcy dzielili się obowiązkami: mężczyźni kosami ścinałi trawę, a podążające za nimi kobiety i dzieci wiązały z niej okazałe snopki. Choćby nie wiadomo, co się działo, *heyannir* nie mógł zacząć się w poniedziałek. Inaczej groziłoby to nie lada katastrofą, a cały niezwykle istotny miesiąc okazałby się kompletnym fiaskiem. Aby przyniósł owoce, żniwiarski maraton musiał wystartować w piątek lub właśnie w niedzielę. Prócz zwykłego zabobonu Islandczycy mieli na to jeszcze jedno i w tym przypadku bardziej logiczne wytłumaczenie. Jako że żniwa były żmudne i niezwykle wyczerpujące, należało się do nich przygotowywać powoli, będąc w miarę wypoczętym. Stąd piątek, aby sprawnie działać w sobotę i odpocząć w niedzielę, lub niedziela, gdy jest się w miarę wypoczętym po sobocie. Idealna sytuacja była wówczas, gdy Księżyc występował w fazie przybywającej, jako że księżycowy rogal w postaci litery C kojarzył się wyspiarzom z pustym brzuchem. A to nie wróżyło dobrze, jeśli chodzi o zbiory na zimę.

Pomyślność *heyannir* zależała od jeszcze jednej rzeczy: miejsc uznawanych za zaklęte, *álagablettir*. Islandczycy bali się ich wręcz przeraźliwie, dlatego owego określenia starano się nie nadużywać, a jeżeli nie sposób było ominąć go w konwersacji, to wypowiadano je tylko płochliwym szeptem. Terenów uważanych za *álagablettir* nigdy nie należało profanować ostentacyjną ludzką obecnością. Przenigdy nie wolno było ingerować w ich strukturę, zanim więc chwyciło się pierwszy kłos, koniecznie należało sprawdzić, w jakich miejscach można bezpiecznie pracować, bez narażania się duchom. Na zapominalskich i lekkomyślnych żniwiarzy czekało bowiem wiele przerażających rzeczy. Tym bardziej trzeba było więc uważać, aby nie rozwścieczyć okolicznych mocy (nie do końca zresztą zidentyfikowanych), niestety nie zawsze uznawanych za dobre i sprzyjające ludziom. Wielu nieroztropnym farmerom w transie koszenia zdarzyło się zapomnieć; po dziś dzień opowiada się historie o tym, jakich szatańskich wybryków doświadczyli za karę.

Domy nie raz stawały w płomieniach i to gigantycznych, a wiadomo było, że absolutnie nic i nikt pożaru wzniecić nie mógł. Za naruszenie równowagi *álagablettir* krowy przestawały dawać mleko, a te nieliczne, które jeszcze je dawały, nie przekazywały go tradycyjnie przez

wymiona, lecz ostentacyjnie pluły nim zdziwionym gospodarzom w twarz. Owce zapadały na choroby nigdy wcześniej na wyspie niespotykane. Islandczycy powiadają, że znalazły się i takie, przez które całe stado bez wytchnienia maszerowało przez pastwisko, w kółko, aż do krańcowego osłabnięcia. Pasterze próbowali wabić je jedzeniem, w końcu zatrzymywać siłą, ale nie dawało to żadnych rezultatów. Morderczy marsz trwał, a z oddali dochodził do ludzkich uszu złowrogi chichot zjaw i elfów o zatrważającej naturze, najwyraźniej bardzo zadowolonych z takiego obrotu spraw. Złowieszczy śmiech nie ustępował, a umysły mieszkańców zaczynała opanowywać apatia, jakiej dotąd nie znali, a która u co poniektórych przechodziła w przedziwny paraliż. Bywało i tak, że podczas zamachnięcia się kosą ktoś zupełnie nagle opadał z sił, a jego ciało opanowywał bezwład przypominający skamienienie. Najgorsze było to, że w takim stanie mógł trwać nawet i kilka miesięcy. Większość mieszkańców nawet mu nie współczuła, powtarzali tylko, że „nie rusza się świętych kamieni”. Mimo srogich konsekwencji niektórzy wręcz z premedytacją planowali zamach na zakłęte rewiry, nie mogąc oprzeć się pokusie rosnących tam najsoczystszych traw, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczne łąki. W taki oto sposób *álagablettir* mamify wypiarzy, aby mieć pretekst do upiornego rozrabiania.

Pracy na Islandii od zawsze było więcej niż sporo; pracowało się tu długo i często. Co więcej, pracowali wszyscy, łącznie z najmłodszymi dziećmi, które dziś nazywamy przedszkolakami. Do pomocy przy żniwach zaganiano już cztero- oraz pięcioletki. Zimą także nie pozwalano im na zbyt częste drzemki, towarzyszyły więc dorosłym przy *kvöldvaka*, przędąc, robiąc na drutach, czyszcząc buty, noże, fajki i spluwaczki, czy też doglądając zwierząt. Gdy rodzice w przytłaczająco ciemne, mroźne wieczory nie zamierzali już wyściubiać nosów z dość nagrzanego domostwa, a na zewnątrz była do wykonania jakaś pilna praca, zawsze wybierali do niej któreś z pociech. Latem to właśnie dzieci pilnowały licznych owczych stad; wysyłano je na pastwiska, gdy osiągały wiek siedmiu lub ośmiu lat. Dziś trudno sobie wyobrazić podobną sytuację i zwizualizować tabuny samotnych dzieci spędzających nocę na nawiedzonych uroczyskach, których na Islandii jest pod dostatkiem. Potomstwo przez wieki wychowywano niezbyt konwencjonalnym sposobem opartym na żelaznej wojskowej

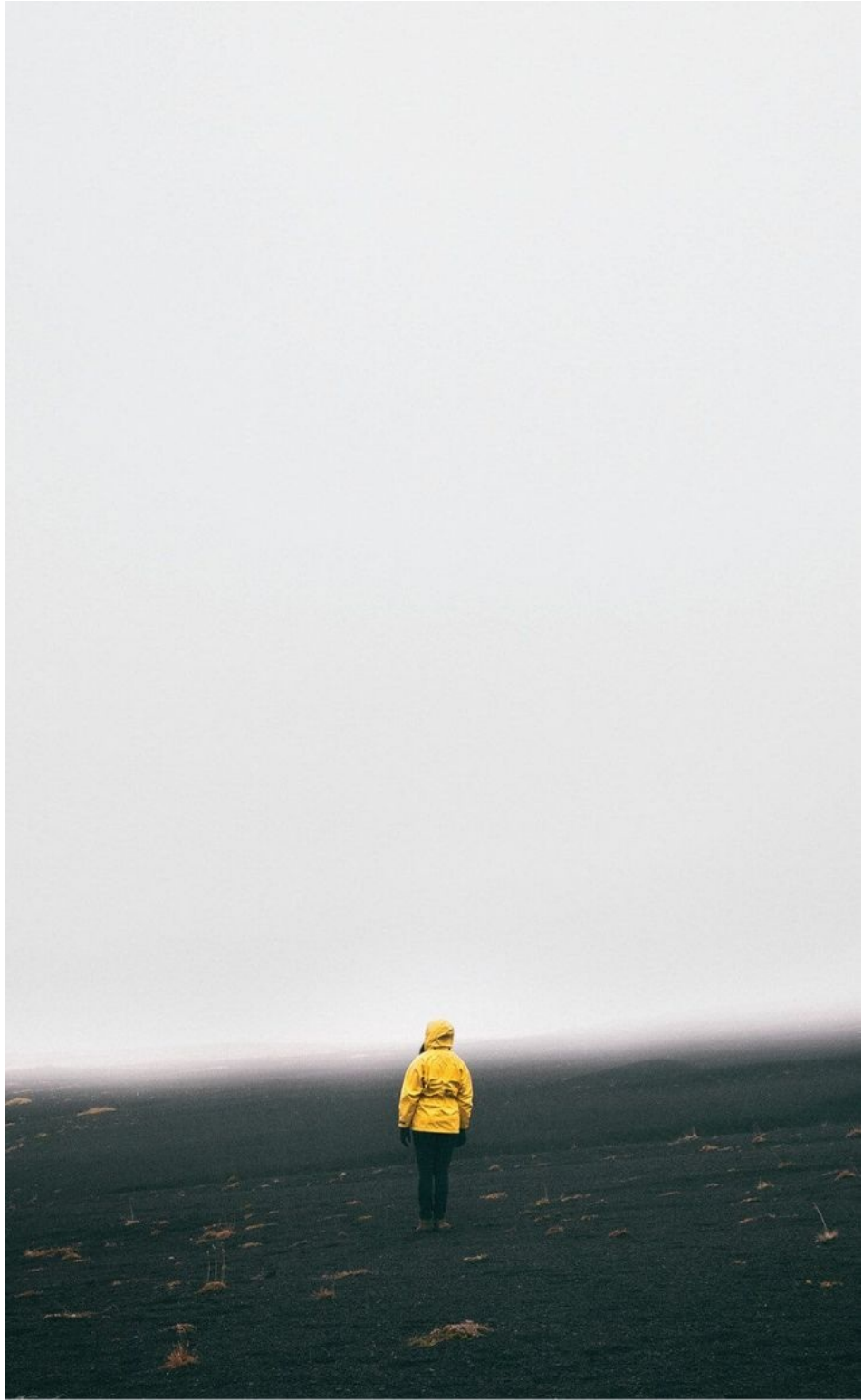
dyscyplinie, dlatego dzieci na nadawaną im wolność wcale nie narzekały, nawet jeśli przed zaspanymi oczami kręciły im się widma, elfy oraz trolle. Prócz wielu zaklętych mocy i tabunów fantastycznych istot, na Islandii żyły niegdyś także żaby, lecz tylko do pierwszej połowy XIX wieku. Na całej wyspie mówi się, że z racji uporczywego klimatu płazy te Islandii wręcz nie znosiły i po prostu nie chciały tam już dłużej mieszkać.









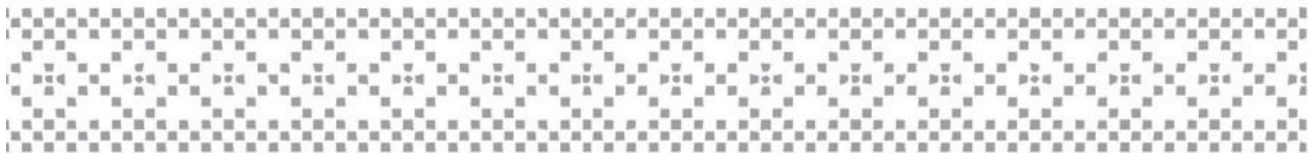








Opowieść o czymś,
co zdarzyło się naprawdę



Islandia jest położona na wyspie o takiej samej nazwie. To kraina o zasłużonej renomie, gdyż jak powszechnie wiadomo, przestrzenie islandzkości prezentują się naprawdę zacnie. Gdy zaczyna się o Islandii myśleć, jednym z pierwszych skojarzeń jest niezwykle charakterystyczny krajobraz. Jak na Skandynawię przystało, okazuje się więcej aniżeli ładny. Mało tego – jest nie tylko niesłychanie piękny, lecz także... cudaczny, a bo przedziwnie ukształtowany, jakby ręką szaleńca. Jedynie w połowie klasycznie skandynawski, ma w sobie coś, czego nie sposób znaleźć w innych zakątkach świata. To bowiem plener doskonale nadający się na szczególny plan filmowy, jakby żywcem wyjęty z pradawnych legend, fantastycznych powieści lub obłądnie pięknego snu, z którego żaden człowiek nie chciałby się przebudzić. Trudno oddać magię Islandii w słowach, zwłaszcza gdy przechadzamy się na przykład po smoliście czarnych, aksamitnie piaszczystych i ciągnących się po horyzont plażach – plażach tonących w przepastnych, wyjątkowo ruchliwych mgłach, lśniących od zraszającego je nieustannie deszczu i z widokami na majaczące w oddali, dramatycznie ukształtowane skały, o które rozbijają się nieokiełznane fale przybrane w wojownicze, śnieżnobiałe bałwany.

Przebywając w takim miejscu, nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż za moment wydarzy się coś niepodważalnie niesamowitego. Niemalże słychać kuszący syreni śpiew i już prawie wyłaniają się z przepastnych głębin legendarne morskie stwory o niewiarygodnych kształtach i kolorach. Ślady na piasku przywołują na myśl odciski krasnoludzych stóp, a każdy pulsujący nad głową dźwięk bierze się za nic innego, jak tylko za trzepot mocnych smoczyczych skrzydeł. W wielu zakątkach wyspy leżą gigantyczne głazy, stąd teren całego kraju prezentuje się tak, jakby słusznych rozmiarów trolle z namiętnością oddawały się tu swej wariacji na temat francuskiej gry w bule. Nic więc dziwnego, iż

zaskakującym krajobrazem Islandii inspirował się J.R.R. Tolkien, kreując Śródziemie i Mordor. Autor „Władcy Pierścieni” był jej gorącym wielbicielem, lecz ku swemu wielkiemu ubolewaniu nigdy na wyspę nie trafił. Zamiast tego z uwielbieniem przeglądał wykonane na Islandii fotografie i doskonalił umiejętność posługiwania się językiem staroislandzkim – zarówno w rozmowach ze swymi studentami, jak i z piastunkami jego dzieci, islandzkimi au pair. Ponadto przybyłe z wyspy opiekunki nieustannie raczyły Tolkiena oraz jego pociechy intrygującymi opowieściami o elfach i skrzatach. Podobnie było z Juliuszem Verne’em, który mimo że również nie przybył na Islandię z wizytą, tak się nią zafascynował, że umiejscowił część akcji „Podróży do wnętrza Ziemi” w potężnym islandzkim wulkanie Snæfellsjökull.

Podczas pobytu na Islandii trudno nam czasem zaakceptować fakt, że to nie sen, że obiema nogami stąpamy po jak najbardziej rzeczywistej ziemi. Ziemi strudzonej poryciami, pełnej ustępów, szczelin, gigantycznych rowów, które mogłyby odzwierciedlać piekielne czeluści, ciągnących się hen w dal i na dodatek dokładnie tyle samo w głąb. Mrowią się na wyspie fantazyjnie wymodelowane góry, nietypowe jamy usytuowane w jeszcze mniej typowych miejscach, przedziwne grotty, bulgocące piekielnym wrzątkiem bajorka i wiele, wiele innych tym podobnych „rarytasów”. A kiedy zapuścić się w osławione islandzkie tereny, powszechnie znane jako geotermalne, naszym oczom ujawniają się kolejne atrakcje, śmiało można rzec, że jeszcze bardziej zaskakujące. Okazuje się bowiem, że Islandia to geologiczny raj, a potęga Ziemi rzadko kiedy i rzadko gdzie wydaje się aż tak namacalna jak tu. W tej niepokojącej krainie przybysze szukający upragnionego spokoju raczej go nie zaznają. Nie sposób jednak nie ekscytować się, gdy nagle z wnętrza ziemi zaczynają wybuchać dymiące słupy pary, które ostatecznie sięgają niemal chmur.

Islandia to miejsce, w którym ziemia żyje i jakby od niechcienia także wybrzmiewa. Wszystko to widać oraz słyszeć bardzo dokładnie; oczywiście jeżeli wcześniej w ten sposób się o życiu ziemi nie myślało, zwyczajnie o nim zapomniało lub podobnym twierdzeniom nie dowierzało („ale jak to? Przecież to czysta abstrakcja!”), można być mocno zaskoczonym. Tymczasem islandzka ziemia istnieje sobie nadzwyczaj swobodnie i jest kompletnie nieświadoma, że poświęca się

jej – zazwyczaj robią to turyści – baczna uwagę. Nazwa wyspy przeszywa chłodem; ale sama Islandia okazuje się lądem podobnym do wulkanu w nagłym przyptywie furii. Bywa, że pomimo powszechnej opinii o jej beznamiętnym, arktycznym charakterze wydaje się wręcz wrząca. Wszystko przez to, iż Ziemia w obrzeżach Islandii zachowuje się nadzwyczaj ekstrawagancko; jak gdyby nigdy nic i zgodnie ze swym odwiecznym zwyczajem raz po raz rozjusza się i dymi, czasem nienachalnie kopci, a gdzieniegdzie bucha szalonym wrzątkiem i przejmująco syczy i bulgoce, czyniąc w glebie siarczasty skwar. Aparycję ma wówczas bezsprzecznie wyjątkową, dlatego zachwyt nad nią rodzi w głowie zasadne pytanie: O co tak naprawdę chodzi z tą Islandią? Jak to się stało, że nie można jej porównać z żadnym miejscem na świecie, no, może oprócz wyraźnie siostrzanych Wysp Owczych?

Nasza planeta, choć istnieje już cztery i pół miliarda lat, wciąż się zmienia. Tyczy się to również Islandii, która jest jedną z najmłodszych ziem naszego świata, a zarazem największą wulkaniczną wyspą globu. Niewielu bowiem ma świadomość, że od lat zaborczo i wyjątkowo łapczywie przechowuje aż jedną trzecią światowej lawy. Pola lawy na Islandii tłoczą się obok siebie, zajmując ponad trzynaście tysięcy kilometrów kwadratowych jej powierzchni. Islandia jest kwintesencją geologicznej młodości – spoglądając na tę wyspę, możemy sobie wyobrazić, że cofnęliśmy się o miliony lat wstecz w historii Ziemi i właśnie mamy okazję rozwikłać zagadkę trapiącą już starożytnych filozofów – zagadkę powstania wszechrzeczy. Badając początki tej niezwykle interesującej przestrzeni, pod lupę bierzemy jednak cały glob, ponieważ wszystko to, co dziś dzieje się na Islandii, przydarzyło się już niegdyś Ziemi. Przez nieposkromione działania, jakie odbywają się w tym miejscu pod skorupą, a które dosyć często dają o sobie znać na jej powierzchni, islandzki świat nabrał wspomnianych już cech baśniowych. To właśnie one sprawiły, że krajobraz wyspy jest tak nietypowy.

W Islandii grunty szarżują – dosłownie. Szturmem przeprowadzają atak na każdego, kto tylko znajdzie się w pobliżu. Przyciągają spojrzenia zarówno swymi odcieniami o różnym nasyceniu, jak i ukształtowaniem; szarżółte, gołębioszare, miedziane, brunatne, kasztanowe, a gdzieniegdzie rdzawe i smoliste, ziemie karbują się

usilnie i marszczą. Podobnie jest z żywiołami, które nie zaprzestały swych wysiłków i po dziś dzień Islandię niestrudzenie próbują kształtować. Bez ustanku, z wielkim apetytem, ale też na próżno – rzeźbią już od dawien dawna zniewalający islandzki świat.

Na owej szalonej wyspie nic nie trzyma się porządków ustanowionych we wszystkich innych miejscach; zawirowaniom ulega nawet... kwestia geograficzna. Kolejną sprawczynią islandzkich kłopotów jest – prócz sztubackiego wieku – jej lokalizacja. Splot przeróżnych zdarzeń w dziejach naszej planety, który spowodował, że kontynenty zostały ukształtowane tak a nie inaczej, nie ominął też Islandii. W położeniu tak nietypowym jak jej znaleźć się doprawdy trudno. Mając do dyspozycji wielkie i bezkresne wody, Islandia postanowiła ulokować się dość nieroztropnie – na nieobliczalnym styku płyt tektonicznych. Choćby ze względu na swój wiek mając zadatki na impulsywną, w związku z powyższą sytuacją otrzymała jeszcze większą, wręcz awanturniczą aktywność wulkaniczną. Na przeprowadzki już niestety za późno, dlatego wyspa od wieków niekiedy dość hucznie daje o sobie znać. Tym samym Islandia śmiało może służyć za żywy podręcznik zjawisk geograficznych. Nic więc dziwnego, że przyjeżdżają tu ludzie z całego świata, aby zgłębiać tajniki geologii, gdyż setki przykładów na historię ziemskich przeobrażeń ma się tu na wyciągnięcie ręki.

Aby zobrazować jedną z oznak islandzkiego nieokiełznania, przytoczę taki oto przykład. Źródło – w naszym mniemaniu raczej gorące i początkowo dość spokojne – w nagłym przypiływie mrukliwej furii przeraża się ni z tego, ni z owego w wysoki słup wody. Początkowo z dozą nieśmiałości, lecz już po chwili całkiem asertywnie zaczyna królować nad krajobrazem. Teraz wiadomo już na pewno, że wybucha temperaturą wrzenia, wlatuje, nie zważając zupełnie na nic. Wysokość każdego takiego wystrzału zależy wyłącznie od źródlanego kaprysu; często jest to nawet i dwadzieścia metrów, ale bywa też niekiedy zdecydowanie więcej. Majestatyczna fontanna zastyga na kilka sekund w dolnym pasie przestworzy, po czym znów wraca do swej mniej krewkiej postaci, pozostawiwszy wokół chmury pary wodnej.

Mowa tu o Geysir, najsędziwszym gejzerze na wyspie; śmiało można zaryzykować stwierdzenie, iż plasuje się on na podium najbardziej

znanych gejzerów na świecie. Od nazwy Geysir ukuło się zresztą w geologicznej terminologii hasło dla tego niezwykle interesującego zjawiska. Pochodzi ono od słowa *gjósa*, czyli „tryskać, wybuchać”, a gejzer to z islandzkiego właśnie *geysir*. Geysir pamięta co nieco z dziejów wyspy, ponieważ był aktywny przez około dziesięć tysięcy lat, od XIV wieku aż do lat sześćdziesiątych wieku XX. Zbyt wielka popularność musiała go widocznie nużyć, gdyż obecnie pozostaje w stanie dziwnego letargu, tryskając – ku rozpaczy Islandczyków – jedynie na licze kilka metrów, a i to niezbyt regularnie, gdyż co jakieś czterdzieści osiem godzin. Ale jego sława nie wzięła się oczywiście znikąd. Geysir znalazł się na ustach wszystkich wskutek swych niecodziennych talentów, albowiem potrafił wytryskiwać wyżej niż ponadprzeciętnie, bo na wysokość ponad osiemdziesięciu metrów. Czasem przydarzały mu się wpadki w wybitnie nonszalanckim stylu, jak na przykład w roku 1845, gdy zanotowano jego popisowy wystrzał na, bagatela, sto siedemdziesiąt metrów.

Geograficzne serce kraju pulsuje dokładnie na współrzędnych 65°N, 18°W, a koło podbiegunowe ledwo co ociera się o położoną na północy wysepkę Grímsey. Islandii zostało przyznane sławetne miano najbardziej wysuniętego na zachód kraju w Europie, lecz równie dobrze można by ją ochrzcić osadzonym najdalej na wschód punktem kontynentu amerykańskiego. Okazuje się bowiem, że przez sam środek Islandii przebiega Grzbiet Śródatlantycki, który stawia wyspę w nietypowej sytuacji podziału pomiędzy dwa kontynenty. Co też kryje się między nimi, można zaobserwować na własne oczy, bo... można tam zanurkować. Reykjavík usadowił się na Płycie Północnoamerykańskiej; wystarczy jednak zaledwie godzina drogi, by znaleźć się na Płycie Eurazjatyckiej.

Teoretycznie więc wszyscy wracający z Islandii, którzy są spragnieni pochlebstw, mogą chełpić się złożeniem wizyt na dwóch kontynentach, i to nawet bez nurkowania. A wracając do islandzkich metamorfoz, można się tylko głowić nad tym, co też tu się jeszcze może wydarzyć. Wyspiarskim przemianom nie będzie końca, tak się bowiem składa, że Islandia już od początku swego istnienia ma naprawdę wilczy apetyt. Z tejże wygłodniałej racji rośnie aż kilka centymetrów wszcz na rok, a są tacy, którzy powiadają, że za trzysta pięćdziesiąt milionów lat będzie naprawdę dużo większa i pewnie tak duża, jak duża jest

Ameryka, lecz ta Północna.

Islandia w swych latach szczytów była niezmiernie skryta, w związku z czym w dobie antyku nikt o niej nie słyszał. Trudno w to uwierzyć, lecz żaden zachłanny Rzymianin nawet nie pomyślał o tym, by przygarnąć ją do swych ziemskich włości. Nie dość, że jest to ląd najmłodszy w Europie, to na dodatek zasiedlono go chyba najpóźniej, gdyż dopiero w IX wieku. Zasiedlono raczej niegęsto i tak też zostało do dziś. Głównym źródłem informacji o migracji na nielitościwe islandzkie grunty jest *Landnámabók*, czyli Księga Osadnictwa, w której w wiekach średnich pieczołowicie i ochoczo spisano całą historię. Ze skatalogowaniem napływu ludności zmierzono się w wieku XII. Podobno jako pierwsi do markotnych brzegów Islandii dobili dawno temu irlandzcy mnisi, na pewno brodaci norwescy wikingowie oraz ich krewniacy z normańskich kolonii na Wyspach Brytyjskich, a więc trochę jakby Szkoci, lecz bez kiltów. Niewykluczone, iż doбили do niej zupełnie przypadkowo, po czym rozpoczęli prężną jak na swoje możliwości kolonizację wyspy. Koniec końców, zakonnicy islandzki ląd po jakimś czasie opuścili, a pozostali przybysze zdani na łaskę wiecznej chimerycznej wyspy mimo wszystko zostali na niej trochę na dobre i odrobinę na złe.

Kiedy myśli się o historii Islandii, od razu przychodzą do głowy wikingowie. Pędzące w dzikim szale masywne postaci zaopatrzone w nieznaną litości topory, machające nimi prawie na oślep, nie odgarnawszy nawet długich kosmyków opadających na naznaczone gniewem twarze. Albo podobne figury, tym razem wspomagane szalonym wichrem. Gnające na statkach o tajemniczych, smoczyc kadłubach, w zapalczym pragnieniu zemsty, władzy lub krwi. Srogi lud Północy. Za jednych z pierwszych takich osadników znanych z imienia, a nawet i nazwiska są uznawani Ingólfur Arnarson wraz ze swą żoną o imieniu Hallveig. Ingólfur był wodzem norweskim i bardzo majątnym właścicielem ziemskim, który przybył na Islandię na długo przed tym, zanim została spisana *Landnámabók*. Pojawił się z brawurą, bo oprócz małżonki i licznej rodziny przywiódł za sobą równie licznych podwładnych i ich familie. Ingólfur zdecydował się wyruszyć na podbój świata, gdyż swego czasu w wyniku własnego dość niepokornego i chwackiego charakteru wdał się w pewien krwawy zatarg. Przez ten postępek stał się we własnym kraju wyrzutkiem

i stracił swój dobytek na rzecz rodziny mężczyzny, którego uśmiercił.

W norweskich kręgach krążyły słuchy, że istnieje pewien zupełnie nieodkryty ląd, położony nie tak znowu daleko od Norwegii, w swojskich rejonach północnych. Dlatego wkrótce po tamtym niefortunnym zdarzeniu Ingólfur wybrał się na krótki rekonesans i w efekcie trafił na teren islandzkich Fiordów Zachodnich. Zjawiskowa ziemia zauroczyła go i zaintrygowała niezmiernie; poza tym figlarne, układające się niczym fiordy finezyjne połacie, tak czule przywodzące mu na myśl rodzinną Norwegię, pozostawały nietknięte przez żaden inny lud. Nadawały się znakomicie na cichy podbój. Wiking pożegłował z powrotem do Norwegii, by zasięgnąć rady wyroczni. Ta potwierdziła bez najmniejszego wahania, że jego przeznaczeniem jest osiąść na Islandii. I tak w 874 roku Ingólfur opuścił rodzinną Norwegię na zawsze. Gdy w ponownej drodze na Islandię dostrzegł już jej majaczący mgliście brzeg, zgodnie z obyczajem pionierskich przeprowadzek bezceremonialnie wyrzucił za burtę kolumny podpierające jego dawny tron i przysiągł bogom, iż osiedli się tam, gdzie mu wskażą, czyli w miejscu, gdzie fragmenty tronu po kąpielii wypłyną. Gdy cała załoga dobiła do brzegu, wódz nakazał swym poddanym, aby odnaleźli kolumny. Poszukiwania trwały trzy lata i były naznaczone fanaberiami Islandii i nieznaną nawet w Norwegii pogodową ekstrawagancją.

Gdy rzeźbione kolumny zostały w końcu odnalezione i tym samym wskazały miejsce wyznaczone przez bogów, wikingowie zaczęli się tam osiedlać na stałe. Ingólfur postanowił zbudować swą osadę dokładnie w miejscu, gdzie spoczęły targane przez fale kamienie; niemniej zauroczyły go tam także najbardziej niesamowite i najgęstsze mgły, jakie kiedykolwiek było mu dane ujrzeć. Owym wyjątkowym miejscem okazały się tereny obecnego Reykjavíku, którego nazwa w dosłownym tłumaczeniu znaczy tyle, co „dymiąca zatoka”. Tak właśnie nazwał tę krainę Ingólfur. Widział przed sobą Reykjavík taki, jakim i dziś można go oglądać, czyli wiecznie tonący w owych gęstych mgłach i otulony urzekającymi śnieżnymi usypami.

Miejsce na kolejną osadę wybierano sprawdzonym sposobem: wrzucając do lodowato nieżyczelnej wody zabrane sprzed norweskich domostw pale z wyciosanymi nań wizerunkami bogów. Poszczególne familie osiedlały się w miejscach, w których zirytowana uciążliwymi pluskami woda pozbywała się z niejaką ulgą licznych i wyjątkowo

brzydkich w jej mniemaniu belek. Co tu dużo mówić, nie była specjalnie religijna. Granicę przyszłego majątku wyznaczano, wędrując z cichą nadzieją oraz zapaloną pochodnią, dopóki obie nie zgasły; a wędrowało się dość krótko, gdyż zazwyczaj paskudnie wiało.

Pierwotnie Islandię porastały nieokiełznane, bujne lasy brzozone, o czym zaświadczały kroniki z XI oraz XVI wieku. Pewnego razu zdarzyło się jednak tak, iż przyszłość leśnego bytu stanęła pod znakiem zapytania. Wszystko wskutek tego, iż na terenie Islandii pojawił się bzik z rodzaju tych wyjątkowo potężnych oraz nad wyraz podstępnych. Ujawnił się on między innymi w makabrycznej formie, której rozsądek nie mógł pohamować: maniakalnej wycince drzew, jak dotąd największej w historii świata. Ci, którzy przetrwali bez uszczerbku na umyśle tę przedziwną epidemię, powiadali, iż żądza niektórych do wsłuchiwania się w upadające z hukiem konary była właściwie nie do opanowania i nie pozwalała im zmrużyć oka przez wiele nocy, które czarci ciąg zamienił ostatecznie w całe tygodnie. Drzewa ścinano i porywano przez wiele miesięcy, a co rezolutniejsi przechwytywali je na opał, by ulżyć zziębniętym kościom czy zbudować łodzie. Wkrótce ku zdziwieniu wszystkich dotkniętych drzewnym bzikiem okazało się, że nie ma już czego wycinać. Ostatecznie doszło do tego, że brzozy obraziły się na dobre i z własnej woli już nie odrosły, a zirytowany tą przykrą sytuacją wiatr zaczął wiać jeszcze mocniej. Bez dostępu do leczniczej kory brzozowej awanturniczy wikingowie znacznie wolniej leczyli swe rany, których po szalonych bijatykach mieli sporo.

Wkrótce tajemnicze słowo „las”, czyli *skógur*, stało się na wyspie ledwo widmem, gdyż blade wspomnienia drzew zaczęły się urzeczywistniać jedynie w poziomie. Do dziś ciekawie się na te leśne połacie patrzy, choć niektóre mają ledwie po kilka centymetrów, a ich rodowód bywa przecież sędziwy, niekiedy nawet osiemdziesięcioletni. Drzewka „ołówki” dokleiły się do tundrowych mchów i od stuleci udają, że ich nie ma. Tym samym las w tradycyjnym jego rozumieniu stał się jedynie odurzającym marzeniem, a wspomnienia o jego bujnym, osobliwym zapachu przekazywano sobie z pokolenia na żadne mocnych doznań pokolenie. Tak oto w rozsądny, a czasem mniej rozsądny sposób wikingowie, a także przybysze z normańskich kolonii na Wyspach Brytyjskich stawali się mieszkańcami Islandii. Pewnego

razu, ażeby omówić nurtujące ich od dawna kwestie i wyjaśnić piętrzące się w poszczególnych osadach urazy, postanowili się spotkać.

Spotkanie wyznaczyli na terenie południowo-zachodniej Islandii, a dokładnie na północnym brzegu owianego tajemnicą, największego islandzkiego jeziora o wyjątkowo zawiesistych, mrocznych wodach, zwanego Pingvallavatn. Miejsce zaczęło być wkrótce określane jako Þingvellir i od wieków uchodzi za niezwykle ważne na Islandii. Nazwa pochodzi od słowa *þing* oznaczającego parlament oraz *vellir*, czyli „równina”. Właśnie tam w 930 roku po raz pierwszy zebrał się w nieco niepokojąco i nierealnie cichej dolinie, położonej w dodatku dokładnie na styku płyt tektonicznych, islandzki parlament, Althing. Jego obrady odbywały się dorocznie w najkorzystniejszym pogodowym okresie – lecie; było to najbardziej doniosłe oraz przez każdego obywatela wyczekiwane wydarzenie. Miejsce zostało wybrane ze względu na dogodną lokalizację, gdyż znajdowało się w centrum najbardziej zaludnionej części kraju i było oddalone od Reykjavíku o jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Bez trudu można było tam ulokować więcej aniżeli kilka tysięcy ludzi, a miejsca starczyło jeszcze na pastwiska dla towarzyszących tysiącom przybyszy koni. Kolejną dogodnością była możliwość pozyskania wody pitnej. Potrzeba jej było naprawdę sporo, zwłaszcza na poranne orzeźwienie dla wikingów zawsze skorych do degustacji wysokoprocentowych trunków, a co dopiero podczas takiego sensacyjnego wydarzenia jak to.

Do Þingvellir ściągają więc każdego roku tłumy. Tabunami podążali ku niemu wszyscy Islandczycy, którzy byli w stanie się tam zjawić. Szli lub zjeżdżali się ze wszystkich zamieszkałych stron niestrudzeni kupcy, farmerzy, rzemieślnicy i wojownicy wraz ze swymi spragnionymi rozrywki rodzinami. Z niezmierną ekscytacją czekali potem na wykonywanie wyroków, na ustanawianie nowych praw. Poza tym każda taka dwutygodniowa sesja była długo wyczekiwany wydarzeniem towarzyskim. Kupcy rozstawiali się ze swymi kramikami, organizowano przeróżne zawody, tańczono, raczono się jedzeniem i gaszono pragnienie, śpiewano piosenki, recytowano poezje, przekazywano sobie najświeższe plotki i kojarzono pary.

Dolina ta nadal pozostaje dla Islandczyków miejscem niezwykłym, terenem najważniejszym historycznie, wręcz legendarnym. W 1928 roku obszary wokół niej otrzymały status parku narodowego, a 17

czerwca 1944 roku powołano tam Niepodległą Republikę Islandii. Na pamiątkę tego dnia na wyspie obchodzi się Dzień Niepodległości, czyli Þjóðhátíðardagurinn. Przy okazji trzeba wspomnieć, że ów parlament był jedną z najstarszych tego typu instytucji w historii, która funkcjonowała przez całe stulecia nadzwyczaj sprawnie mimo wielu trudnych momentów dziejowych. I tak zostało do dnia dzisiejszego, nie licząc kilku wyjątków.

Po tamtym ważnym spotkaniu w Þingvellir Islandia cieszyła się niezależnością przez parę kolejnych, eterycznych stuleci. Po tym czasie na jej drodze zaczęły pojawiać się kłopoty i mnożyć tarapaty. Pod naciskami norweskiego króla w roku 1000 Islandia zdecydowała się na zmianę z barwnego pogaństwa na bardziej dostojne w opinii niektórych chrześcijaństwo. Otóż w 981 roku pewien bardzo Rudy Eryk – również król – odkrył i skolonizował pod islandzką banderą Grenlandię, a około roku 1000 Islandczycy stali się pierwszymi Europejczykami, którzy znaleźli się na kontynencie amerykańskim. Wyprawą tą dowodził syn Eryka, również płomiennorudy Leif Eriksson, znany jako Leif Szczęśliwy, gdyż z tego i owego udało mu się nieraz fartownie wykaraskać. Na daleką eskapadę Leif zaprosił również swego ojca, jednakże ten według legendy tuż przed samą podróżą spadł z wyjątkowo spokojnego konia, co uznano za zdecydowanie zły znak. Koniec końców, Rudy Eryk pozostał w domu, doszedłszy do wniosku, że szczęścia ma jednak mniej od syna.

Na początku XI wieku Leif już na nowym kontynencie wraz z liczną gwardią głodnych przygód i nowych wrażeń wikingów postanowił osiedlić się w miejscu, które nazwali Vinland. Budząca przyjemne skojarzenia nazwa została krainie nadana nie bez przyczyny, ze względu bowiem na znalezione tam przez pewnego Niemca z ich załogi winogrona. A skoro były winogrona, to mogło być i wino; dlatego też teren bez przeszkód mógł stać się ich nowym domem. Terytorium okazało się zupełnie dzikie, przez nikogo dotąd niezdołbane, gdzieś w rejonie północnej Nowej Fundlandii. Mimo dobrych chęci, brawurowych czynów, przygodowego usposobienia całej załogi, a nawet dostępu do wyjątkowo słodkich winogron próba kolonizacji Nowego Świata nie powiodła się, jednakże plany i ambicje islandzkich wikingów są godne podziwu.

Wiek XIII w historii Islandii jest znany jako złota epoka tworzenia

sag. Sagi, z islandzkiego Íslendingasögur, to klasyka literatury średniowiecznej pisywana w języku archaicznym, jedynie nieznacznie różniącym się od staronordyckiego, którym posługiwali się pierwsi przybyli na wyspę wikingowie. Sag powstało wówczas całe mnóstwo, gdyż tworzono je niemal fanatycznie. Niestety nie do końca wiadomo, kto dokładnie je w szalonym natchnieniu spisywał. Na ten okres datuje się między innymi takie dzieła, jak „Saga o Egilu”, „Saga rodu z Laxdalur”, „Saga o Gunlaugu Wężowym Języku” oraz wiele innych. Zazwyczaj opowiadały one historie rodów islandzkich przed przyjęciem nowej religii, czyli chrześcijaństwa, i tuż po nim. Napięcie było godne najlepszych thrillerów i tworzyło wybuchową mieszankę z wysmakowanymi scenariuszami dramatów awanturnych. Były zatargi, zapętłone miłości, fascynujące żywoty i tragiczne, niesprawiedliwe śmierci. Przygoda, przygoda i jeszcze raz przygoda.

Historie opisywane w sagach były długie, oniezwyczajnie zawile fabule i zawsze opierały się na przekazach ustnych, co wyjaśniałoby ich dość luźną strukturę. Dziś wydaje się je seriami w wersjach kieszonkowych, ale na pewno nie jest to lektura, w którą można się zagłębić podczas jazdy tramwajem. Niektórzy badacze poświęcają niekiedy niemal całe życie na dogłębne studiowanie zaledwie jednej sagi (a powstało ich około pięćdziesięciu). Dziś sagi bywają bardzo chwytliwym haczykiem na turystów – na Islandii organizuje się liczne wycieczki szlakiem miejsc opisanych w książkach. Sam J.R.R. Tolkien lubił zaglądać do staroislandzkich opowieści; aż siedemnaście z dziewiętnastu imion krasnoludów pojawiających się w powieści „Hobbit” pochodzi z islandzkiego zbioru pieśni „Edda poetycka”.

Wróćmy jednak do czasów, kiedy to sagi dopiero spisywano. W kraju wybuchła wojna domowa, w której z zaciekłością zaczęły się zwalczać najmożliwsze rody – zupełnie jak w fabułach tak popularnych wówczas historii. Niekończące się spiski i kłótnie w państwie doprowadziły ostatecznie do poddania Islandii władzy króla Norwegii w 1262 roku. Kiedy w 1397 roku Dania, Norwegia i Szwecja zawarły unie kalmarską, Islandia dostała się pod władzę korony duńskiej. Na szczęście nie był to groźny dla niej manewr. Wyspa zachowała swój ustrój oraz samorządność. Po wojnie domowej nie bez konsekwencji nadeszło angielskie stulecie, czyli okres, kiedy Islandia utrzymywała z Anglią bardzo bliskie, choć nie można rzec, że dżentelmeńskie

kontakty. W owym czasie na polu handlowym toczyła się wojna między państwami europejskimi, które były pionierami w połowie ryb. Anglikom bardzo spodobały się obfite w ławice ryb wody islandzkie, w których kryły się także zastępy dziwacznych dla ówczesnych ludzi morskich potworów, takich jak halibuty czy też wszelakiego rodzaju walenie. Angielscy rybacy wspierani przez swój wyjątkowo roszczeniowy rząd coraz śmieiej wkraczali na islandzkie tereny łowieckie – ku irytacji wyspiarzy.

W 1402 roku przyszła bezwzględna, bezdennie czarna śmierć i zebrała swoje żniwo. Dżuma pojawiła się na Islandii później niż na innych obszarach, gdyż około pięćdziesiąt lat po zgładzeniu połowy populacji w Europie. Mimo że szczury dostały się na wyspę dopiero pięćset lat po tych wydarzeniach, czarna plaga przetoczyła się przez kraj, uśmiercając w ciągu dwóch lat połowę populacji. Ludzie, którzy paskudną epidemię przeżyli, doczekali się nowej ery. Życie powoli zaczynało wracać do normalności, a ludzie po traumie – do w miarę normalnego funkcjonowania. Nie był to jednak koniec potyczek z czarną śmiercią. Kolejna epidemia dżumy zaczęła dziesiątkować ludność w 1495 roku; tym razem jednak krwawe pokłosie zebrała na szczęście tylko na terenie Fiordów Zachodnich. Te wydarzenia miały niszczycielski wpływ na wszystko prócz bogactwa Kościoła, który dziedziczył po zmarłych dobytki i tym samym rósł w finansową potęgę. Trochę później wprowadzono na rynek wynalazek absolutnie obłądny: otóż biskup Jón Arason, przy okazji późniejszy bohater narodowy, zaczął popularyzować drukarstwo.

Około 1532 roku król Chrystian II, niezbyt lubiany wyznawca dyscyplinowania społeczeństwa przez szeroko rozumiany terror, obalony dziewięć lat wcześniej władca Danii i Norwegii, a do 1521 roku także Szwecji (i mimo że obalony, to wciąż wpływowy), postanowił się Islandii pozbyć. Zaproponował Anglikom dzierżawę wyspy, wyznaczając za to kwotę pięćdziesięciu tysięcy florenów, co obecnie stanowiłoby czternaście milionów dolarów. Król Anglii Henryk VIII po dłuższym namyśle propozycję tę jednak w końcu odrzucił. A potem nadeszła reformacja. Król Danii przyjął jej założenia w 1550 roku pomimo niezwykle silnych sprzeciwów katolików. Na nic się zdało ich oburzenie, gdyż wkrótce luteranizm stał się religią państwową i to z duńskim monarchą jako szacowną głową Kościoła. Niewyobrażalne

bogactwa uzbierane na przestrzeni lat przez Kościół katolicki zostały bez mrugnięcia okiem skonfiskowane i zwiezione do łapczywej Danii, a ostatni katolicki biskup, innowacyjny drukarz Jón Arason, otrzymał wyrok na szafot, ponieważ nieroztropnie postanowił wszcząć przeciw Duńczykom huczne powstanie.

Te wydarzenia tylko wzmocniły władzę monarchii duńskiej na Islandii, a Islandczycy, coraz mniej ze swej sytuacji zadowoleni, mieli jeszcze mniej do powiedzenia we własnym państwie. W tym czasie życie na wyspie szło dosłownie jak po grudzie, gdyż na domiar wszystkiego w 1602 roku Duńczycy zastąpili Hanzę i handel angielski wyjątkowo nieprzychylnym i uderzającym w dobra Islandczyków duńskim monopolem handlowym. W 1662 roku została wprowadzona monarchia absolutna, na mocy której zaborczy królowie Danii stali się dziedzicznymi władcami Islandii. W konsekwencji władza ustawodawcza Althingu została mocno ograniczona, a w coraz smutniejszym kraju wrzało. Przeniesienie całej władzy do Kopenhagi oraz monopol w handlu odbiły się wręcz tragicznie nie tylko na islandzkiej godności, lecz także na wyspiarskiej gospodarce. W XVI i XVII wieku klimat na wyspie ochładzał się coraz bardziej. Nie wystarczały mu już dotychczasowe mrozy – to musiało być coś spektakularnego. Przez zmiany pogodowe warunki życia na wyspie jeszcze bardziej się pokomplikowały. W 1770 roku sprowadzono na Islandię norweskie renifery; okazały się one jednak zbyt trudne w hodowli i udomowieniu ze względu na swe nieznośnie uciążliwe charaktery. Wkrótce potem zupełnie zdziczały.

Poza tym w życiu codziennym Islandczycy zastawiali na siebie diaboliczne pułapki; rozprzestrzeniały się dramatyczne klęski głodu; wybuchały niespodziewane katastrofy naturalne; mieszkańcy nagminnie przyprawiali sobie rogi; nękały ich niedole, wszelakie nieoczywistości, kruczki prawne, niewybacalne zdrady i herezje; niektórzy bratali się jednak na nowo, zawierali unie i rozejmy. W XVIII wieku największą tragedią dla mieszkańców był wybuch wulkanu szczelinowego Lakagigar, położonego w centralnej Islandii; jego pyły doszczętnie zniszczyły wyspę. Lawa wydostawała się wówczas z powikłanego systemu szczelin, i to ze stu trzydziestu kraterów. Było hucznie, gdyż wylała się wówczas największa ilość lawy, jaką kiedykolwiek zanotowano podczas jednej erupcji w historii świata.

Skutek tego był też taki, że na półkuli północnej obniżyła się średnia temperatura powietrza. Zmalała niby nieznacznie, bo o mniej więcej jeden stopień Celsjusza, ale w samej Islandii niestety o całe pięć. Nad znaczną częścią półkuli przez kilka miesięcy utrzymywała się najsuchsza w dziejach planety mgła. W Ameryce Północnej do ataku przystąpiła za to nagle mroźna zima, natomiast lato w 1783 roku dało się odczuć jako najchłodniejsze na świecie od przeszło czterystu lat.

Wedle teorii niektórych uczonych, klęska głodu spowodowana erupcją wulkanu doprowadziła do niemal całkowitej zagłady eskimoskiego plemienia Kauwerak żyjącego na Alasce. Wielkogabarytowy i wyraźnie toksyczny obłok spowodował, że w ciągu tej jednej dziwacznej nocy uschły wszystkie liście na drzewach rosnących wzdłuż biegu rzeki Ems w Niemczech. W caluńskiej Wielkiej Brytanii liście całkiem się pokruszyły, a warzywa ostentacyjnie zwiędły. Podobne zjawiska zaobserwowano na terenie prawie całej Europy. Zatruwającą animusz i żywotność mgłę zauważono także w Tunezji, Nowej Fundlandii, a nawet w zachodnich Chinach. Co więcej, erupcja Lakagigar była największą klęską żywiołową, jaka nawiedziła kiedykolwiek Islandię (która swoje i tak już przeszła).

Przez wieki Islandczycy próbowali także wytropić na swej wysepce mniejszego czy większego gada, o których wiele słyszeli. Ale zamiast nich wciąż napotykali któreś z tysiąca dwustu gatunków insektów, obecnych na Islandii zresztą do dziś. W międzyczasie o przyłączeniu wyspy myślały intensywnie Stany Zjednoczone, ale koniec końców uznały, że nie ma w niej nic specjalnego i do kupna nie doszło. Wiek XIX uznać można za czas odrodzenia narodowego Islandii, gdyż od pierwszych lat działało się na niej coraz lepiej. Zliberalizowano handel i krok po kroku zaczęto odzyskiwać kontrolę nad państwem, a w 1845 roku wznowiono obrady Althingu jako organu doradczego. Aż nadszedł jeden z bardziej szczęśliwych miesięcy i Islandczycy odzyskali w końcu upragnioną niepodległość, choć nadal z królem duńskim jako tytularną głową państwa. Dopiero po przeróżnych poplątanych perypetiach Islandia została ogłoszona w pełni niezależną republiką. Na wyspie powstał w końcu także Uniwersytet Islandzki.

Jeszcze później Islandia wojowała przez całe lata w sprawie nagminnie poławianych przez Brytyjczyków dorszy, sprawnej ekonomii oraz własnej przyszłości, zarówno morskiej, jak i lądowej. Obie wojny

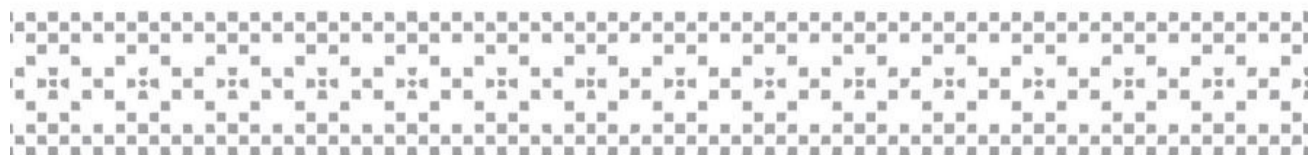
światowe zniosła raczej neutralnie. W 1968 roku o godzinie pierwszej w nocy na Islandii zaczęła obowiązywać ustawa dotycząca strefy czasowej, a od tej ważkiej chwili w całym kraju zegarki są nastawione zgodnie z Uniwersalnym Czasem Greenwich. Rok 1968 był dla Islandczyków pamiętny także dlatego, iż niezmiernie ich rozwścieczył. Dotychczas na wyspie obowiązywał ruch lewostronny, lecz w 1968 roku okazało się, że przyjdzie im przenieść się na stronę prawą. Biadoleniom nie było końca. Północny lud słynie z niechęci do wszelkich zmian, tak więc korekta czasu w zestawie z nowymi przepisami w jeździe była dla Islandczyków nie do zniesienia. Wykrzykiwano, iż przecież wikingowie nosili topory przy lewym boku i dzięki temu łatwiej im było stanąć w szranki z tym, kto nadchodził zarówno z prawej, jak i z lewej strony. Niestety, niepotrzebnie zdzierano sobie gardła, gdyż idea prawej strony weszła w życie i tam już pozostała.

A teraz kilka ciekawostek. Swego czasu zdecydowano, iż Republika Islandii nie będzie utrzymywała stałej armii, a w pewnym zakresie jej funkcję będą pełniły siły policyjne, Straż Wybrzeża, jednostka antyterrorystyczna, system Obrony Powietrznej oraz Islandzka Jednostka Odpowiedzi Kryzysowej. Ponadto przez wieki każdy islandzki fiord obrastał w liczne tajemnice, wszystkie kryją więc w sobie nie lada niespodzianki. Na przykład jest na Islandii takie miejsce, gdzie można przez chwilę poczuć się jak we Francji. Ale nie chodzi tu o jedną z francuskich restauracji czy urokliwych kawiarenek, a o pewną wioskę – Fáskrúðsfjörður (nazywaną też czasem *Búðir*, czyli dosłownie „sklepem”), której ulice noszą francuskie nazwy. Skąd wzięło się takie cudo na Islandii? Otóż pod koniec XIX wieku na wyspę przybyła grupa francuskich rybaków; zarówno Islandia, jak i sami Islandczycy spodobali się im tak bardzo, że postanowili nie wracać do swej ojczyzny. Zasiedzieli się na wyspie aż do 1935 roku.

W 2009 roku na Islandii został skonsumowany ostatni cheeseburger z sieci McDonald's, a ku zdziwieniu całego świata, nikt po nim nie rozpaczał. Nie był to jednak koniec kontaktów Islandii z Ameryką, gdyż to właśnie tu po lodowej lagunie Jökulsárlón ślizgał się niejaki James Bond w towarzystwie dziewczyny, gdy okazało się, że śmierć nadejdzie jutro. Na wyspie pojawił się również gatunek grzyba – fioletowy

Clavaria zollingeri – co dziwne, dotąd powszechny w Ameryce Północnej, Południowej oraz Oceanii, ale niezwykle rzadki w Europie i nigdy wcześniej niewidziany w dolinie Svarfaðardalur. Jak się tam zjawiał, nie wie nikt. Jeszcze jednym gościem na Islandii bywa też – od dawien dawna – niedźwiedź polarny. Zdarza mu się przyplýwać na wyspę późną zimą bądź wczesną wiosną, a co więcej, jego środkiem transportu są grenlandzkie kry. Niestety, białe misie wyspy nie zwiedzają, gdyż ich dalszy żywot kończy się marnie, zazwyczaj u doświadczonego wypychacza. Równie beznamiętnie jak niedźwiedzią obecność traktuje się tu fakt, iż kiedyś na Islandii powyrastało dobrze ponad sto dwadzieścia wulkanów, które zawsze tak samo chimerycznie smaga wiatr.

W stronę słońca



Pierwszą rzeczą, którą należy poczynić, gdy zamierza się przeświecić duszę typowego Islandczyka, jest uświadomienie sobie, jak wielkie jest jego poczucie niezależności. Swoboda ponad wszystko – ten slogan mógłby zawisnąć jako dumny transparent nad drzwiami każdego wyspiarza. Nic w tym dziwnego, albowiem Islandia pozostawała w opresyjnej pozycji przez wiele wieków, a jej mieszkańcy nie mieli prawa decydować o swoim państwie aż do 1944 roku. Od tej pamiętnej daty można być jednak pewnym, że na Islandii nie zadzieje się nic, co mogłoby odebrać Islandczykom nawet krztynę wolności. Niepodległość całkowicie zmodyfikowała bowiem islandzkie DNA, a Islandczycy, rozpoczynając nową, rewolucyjną erę jako ludzie niezależni, postanowili już nigdy więcej do niczego się nie zmuszać. Krótko mówiąc, zaraz po 1944 roku sytuacja w państwie przeobraziła się w dość nietypową.

Z racji posiadania bezdyskusyjnej swobody pewnego dnia Islandczycy zaczęli przekładać wszystko, co mieli do zrobienia, stwierdziwszy, iż na konkretne działania w danym momencie nie mają po prostu ochoty. Najzwyczajniej w świecie postanowili rozkoszować się odkładaniem, wstrzymywaniem się i niekwapieniem do czegokolwiek. Każdemu bowiem, a do tego zniechęca i w niemalże tym samym czasie, nasunęła się pewna ciekawa refleksja: Po cóż robić coś teraz, jeśli równie dobrze można zabrać się do tego potem? W ten sposób zrodziła się kolejna narodowa cecha, ponieważ również dziś Islandczycy w nieskończoność mogą odkładać różne sprawy. Jeśli chodzi o gospodarowanie czasem, Islandczyków można by nazwać skandynawskimi południowcami, tyle że hiszpańskie *mañana* to pestka w porównaniu z jego islandzkim wcieleniem *á morgun* (czyli „jutro” bądź też „rano”). Co ciekawe, Islandczycy opóźniają wszelkie działania, niezależnie od ich profilu. Daleko ulatują zarówno

przyjemności, jak i obowiązki, czyli rzeczy wyjątkowo uciążliwe. A więc od pójścia do fryzjera, odebrania spadku pozwalającego na niepodejmowanie pracy do końca swego żywota, wyboru koloru nowych zasłon do kuchni, aż po skonsultowanie u prawnika terminu rozwodu i zabranie kota do weterynarza na szczepienie. Dla Islandczyka najlepsze wakacje to naturalnie te z rodzaju zaskakujących „last minute”, a nie eskapady pieczołowicie planowane z co najmniej półrocznym wyprzedzeniem. Islandię zamieszkuje więc lud nadzwyczajnie nieobowiązkowy i niepunktualny, a wszystkie rzeczy robi się tu na relaksującą ostatnią chwilę.

Jeśliby umówić się z islandzką rodziną na kolację, albo w ogóle na posiłek, który mieliby przygotować we własnym domostwie, to lepiej nie zjawiać się na czas. Dla naszego dobra lepiej również nie przychodzić na nią z pustym żołądkiem. O umówionej godzinie dziewiętnastej zamiast obiecującego aromatu stawy przywita nas zapewne tubalny dźwięk odkurzacza krążącego po wnętrzu urządzonym zgodnie z zasadami stylu misz-masz. Zza drzwi wyłoni się odrobinę zdziwiony naszym widokiem gospodarz w odzieniu typowo domowym i to jeszcze przed prysznicem, i prawdopodobnie zapowie, że za chwilę musi jeszcze wybrać się po jeden ze składników do sklepu. Jako że punkt handlowy będzie bodajże oddalony o bagatela trzydzieści kilometrów, na wieczorne wiktuały będzie nam dane trochę poczekać. To samo dotyczy spotkań na mieście. Do kawiarni na umówione spotkanie lepiej wpaść od pół godziny do godziny później. Oczywiście jeśli nikt nie zjawi się po tym rozsądnie rozegranym spóźnieniu i nie zamelduje po przytoczonym czasie, spotkanie w ogóle może nie dojść do skutku. Oznacza to, że doszło do typowego islandzkiego przeoczenia: mianowicie z wtorku zbyt prędko zrobiła się środa bądź równie nieoczekiwanie z piątku – sobota. Dzień to przecież jak co dzień, a wszystko przez to, że Islandczykom nagminnie mylą się dni tygodnia. A jeżeli zdecydujemy się na podjęcie pracy, w której nasz przyszły szef będzie narodowości islandzkiej, to kopię umowy możemy otrzymać po kilku miesiącach, nawet jeśli podpisaliśmy ją pierwszego dnia. W związku z tym, jeśli chodzi o kontakty z wyspiarzami, doradza się cierpliwość i ćwiczenie stalowych nerwów, jako że te nieustannie będą narażane na kolejne próby wytrzymałości.

Za omyłkę i niezjawienie się w umówionym terminie nie będą na nas

czekały przeproszające telefony czy też wiadomości pełne skruchy. Wedle Islandczyków takie sytuacje nie wymagają najmniejszego wyjaśnienia. Jak gdyby nigdy nic, nasi znajomi odezwą się zapewne po tygodniu i nawet nie pamiętając o niechlubnym incydencie, zaczną nas namawiać na kolejne spotkanie, gdyż to niewyobrażalne, iż nie widzieliśmy się z nimi tak długo. Przed odwiedzinami na Islandii należy sobie wbić do głowy, że słowo „przepraszam” wymawiane w wiadomych sytuacjach w języku islandzkim, angielskim czy też w każdym innym nie będzie podczas wizyty niezbędne. W każdym innym kraju okoliczności nieszczęsnego nadeptnięcia na czyjąś stopę bądź przypadkowego szturchnięcia kogoś ramieniem zostają opatrzone przeprosinami – ale nie na Islandii. Tu wiadomo od wieków, że przecież nikt nikogo specjalnie nie potrąca oraz nie szturcha. Tak samo dzieje się w przypadku zdartego czubka dopiero co pieczołowicie wypastowanego obuwia. Przecież to było niechcący i dodatkowe potwierdzenie bezwiedności uczynku Islandczykowi wydaje się wręcz idiotyczne, natomiast szalenie popularne u turystów angielskie słowo „sorry” – kuriozalne.

O ile „przepraszam” rzadko rozbrzmiewa na wyspie, o tyle już słowo *flott* nieustannie krąży w rześkim powietrzu. Islandczycy po wiekach odcięcia od świata za wszelką cenę starają się dziś nadażać za wszelkimi światowymi aktualnościami. Gdy świat obiegnęła moda kwitowania wszystkiego anglojęzycznymi „cool” lub „awesome”, wyspiarze nie chcieli być gorsi; nie przejęli jednak za przykładem innych krajów powyższych anglicyzmów, postanowili wymyślić własne powiedzonko. Od kilku lat stosują więc *flott* – na okrągło i wyjątkowo zachłannie. *Flott* bywa więc określane wszystko, od odzienia któregoś z naszych kompanów, nowego skutera śnieżnego, obudowy czyjegoś telefonu komórkowego, aż po nową odżywkę zarezerwowaną dla końskiej sierści czy też właśnie usprawniony traktor sąsiada.

Gdy znajdziemy się w gronie Islandczyków, którzy czekają na przybycie środka lokomocji znanego jako autobus, niektóre rzeczy mogą nas zadziwić. Autobusów na Islandii jest jak na lekarstwo, a do wielu miejsc po prostu nie docierają. Jeśli będziemy mieć szczęście i autobus się pojawi, to rzecz jasna przybędzie z pewnym opóźnieniem. Spóźnialscy na Islandii bywają również kierowcy, dlatego nasze poirytowanie i tak nie zostanie zrozumiane, bo Islandczycy ze swojej

przywary kompletnie nie zdają sobie sprawy. Poza tym wszyscy korzystający z komunikacji publicznej prócz dzieci, osób mających problemy ze zdrowiem oraz emerytów bywają tutaj uważani za ofermy i dziwaków.

Niemalże każdy Islandczyk nie wyobraża sobie życia bez posiadania prawa jazdy oraz bez możliwości przemierzania rozległej głuszy na własną rękę. Jedno wyspiarzom sprzyja – och, jakże szczęśliwy to kraj, w którym zaskakująco łatwo można zdobyć uprawnienia do prowadzenia pojazdów. Zwłaszcza poza Reykjavíkiem zdawanie egzaminów idzie jak po maśle. Jazda odbywa się albo po bezdrożach, albo po miniaturowych miasteczkach, gdzie, jeśli dobrze pójdzie, na jedynym dostępnym w nich skrzyżowaniu nie pojawi się nikt poza samym kursantem. Prawo jazdy ma więc każdy, tyle że przepisów ruchu drogowego nie przestrzega prawie nikt. Mieszkańcy za kółkiem są czasem zupełnie nieprzewidywalni, podobnie jak panująca w ich kraju pogoda. Wiele islandzkich terenów obfituje w mordercze przepaści, od których nieco wrażliwszym przybyszom może zakręcić się w głowie. Na dodatek nad owymi straszliwymi przepaściami prowadzą wyboiste drogi, w wielu punktach wijące się jak serpentyny. Turyści na ich widok dosłownie bledną; na miejscowych jazda nad podobnymi otchłaniami nie robi najmniejszego wrażenia. Zupełnie codziennym widokiem są także pokonujący te trasy kierowcy ciężarówek plotkujący sobie w najlepsze na najgroźniejszych zakrętach przez telefon. Poza tym, że zasłynęli wyjątkowo niesfornym stylem jazdy, wyspiarze wpisali się w świadomość obcokrajowców w jeszcze inny sposób. Jako fani motoryzacji i niezależnego przemieszczania się, zyskali sobie miano nacji posiadającej najwięcej samochodów w przeliczeniu na głowę mieszkańca, a więc prawie dwa.

Jeżeli chodzi o kwestie relacji międzyludzkich, to wielu mieszkańców Islandii należy do grupy ludzi raczej zachowawczych. Trzeba przyznać, że już na co dzień nie są zbyt rozgadaną nacją, dlatego najczęściej postrzega się ich jako naród wyjątkowo małomówny. Komunikat, który w innym języku zająłby dwa zdania, w języku islandzkim często jest zaledwie jednym wyrazem oczyszczonym z niepotrzebnych uprzejmości, jakichkolwiek eufemizmów czy bardziej wysublimowanych gier słownych. Zgodnie z islandzkim trybem myślenia – po cóż się nad tym wszystkim rozwodzić – niechaj króluje

prostota! Jedną z uproszczonych fraz, które słyszy się najczęściej podczas wizyty na Islandii, jest *Heyrðu!*

A oto jedna z sytuacji z *Heyrðu!* w roli głównej, która powtarza się ustawicznie. Gdy Islandczycy są zajęci mniej lub bardziej mrukliwą konwersacją, a ktoś przechodzi obok i zechce ich o coś zapytać, jego „przepraszam najmocniej, czy mógłbym przeszkodzić dosłownie na chwilę?” zostanie zupełnie zignorowane. Co więcej, nie wzbudzi żadnej reakcji, niezależnie od tego, jakim tonem głosu zostanie wypowiedziane. Istnieje jednakże rozwiązanie. Jeśli chcemy, by zaabsorbowany czymś Islandczyk zwrócił na nas uwagę, musimy krzyknąć właśnie owe tajemnicze *Heyrðu*. Tak jest – nie powiedzieć, ale wręcz zahuczeć i to bez cienia nieśmiałości. Fraza ta w wolnym tłumaczeniu znaczy mniej więcej: „No słuchajże mnie!”, „Hej!” lub „Tutaj!”. Warto dodać, że do owego zwyczaju stosuje się cała nacja i poleca się go także turystom. Gdy uda się nam wtrącić do dyskusji, a przypadkiem czegoś nie dosłyszemy, nie należy silić się na grzecznościowe konwenanse czy nie daj Boże prosić o powtórzenie. W tym przypadku trzeba tubalnym tonem zapytać: *Ha?!*; wypowiedzi powinno towarzyszyć lekkie zmarszczenie brwi oraz nieznaczne przekrzywienie głowy. Tak samo postępujemy, jeżeli jakaś sytuacja wywoła w nas większe czy mniejsze zdumienie. Mamy wtedy pewność, że reagujemy jak na rodowitego Islandczyka przystało.

Islandczycy, choć na takich nie wyglądają, są ludźmi niezwykle optymistycznie nastawionymi do życia. To wręcz niepoprawni optymiści. Zwiastunem ich dobrego nastroju są wszechobecne pola golfowe, otwierane na przekór wszystkiemu i pomimo niebywale wietrznej aury. Niech nikogo nie zwiedzie mętny wzrok straceńca i niezmiernie ponure lico, często niezbyt skore do przyjęcia formy grymasu, jakim jest minimalny czy najlżejszy uśmiech. Choć Islandczyków częstokroć trawi typowa dla Skandynawów północna melancholia, to w porównaniu z pozostałymi nacjami wypadają doskonale, jeśli chodzi o pozytywne nastawienie do życia. Tak naprawdę każdy Islandczyk w głębi swego serca pragnie niefrasobliwie podążać w stronę słońca. Prędzej czy później zawsze otrząsają się oni ze swej chmurności, by w końcu rzec pewnym siebie głosem: *þetta reddast*, czyli „będzie dobrze” albo „tak czy inaczej się to rozwiąże”. To niezwykle popularne na wyspie motto, które często pada z islandzkich

ust.

Þetta reddast jest odpowiednie dla każdej sytuacji – to esencja islandzkości. Powtarza się ją na zachętę samemu sobie i na pocieszenie drugiej osobie. Na Islandii nie trzeba silić się na pokrzepiające mowy i przeciągać w nieskończoność monologów opatrzonych psychologicznymi trikami. Nic z tych rzeczy. Gdy dowiemy się, że Islandczyk stracił ukochaną pracę, spalił mu się z własnej gapowatej winy nie dość, że nowiutki samochód, to jeszcze dopiero co wyremontowany i wyposażony dom, gdy wyjdzie na jaw, że druga połówka zdradzała go co najmniej przez dwie dekady, lub gdy okaże się, że gospodarka całego kraju się zawaliła, a on został bez środków do życia, należy wówczas oświadczyć: *þetta reddast*. Po tych słowach Islandczyk odruchowo nałoży niewidzialne, landrynkoworóżowe okulary, pokiwa głową, a na jego licu zatli się dyskretny uśmiech. Mało tego, ufnie spojrzy w najbliższą przyszłość i uzna ją za świetlaną. Można się więc odważyć na stwierdzenie, że Islandczycy są największymi i najbardziej niepoprawnymi optymistami w Europie; przebijają nawet Duńczyków.

Cały świat zastanawia się, jak do tego doszło, ale nikt jeszcze nie wymyślił, czego to zasługa; jak na razie, nie udało się wytypować głównego islandzkiego antydepresantu. Na dobrą sprawę, nic lepszego ponadto w poprawie swej doli wyspiarze zrobić nie mogli. Przez prawie dziesięć stuleci Islandczycy żyli w ciągłym strachu o przetrwanie. Islandia to wyspa wulkanów, a życie upływające wśród potoków lawy i wizji wulkanicznych drak to na niej codzienność. Na wyspie oraz towarzyszących jej wysepkach rozlokowała się dobrze ponad setka wybuchowych stożków, z czego osiemnaście było już aktywnych, gdy starali się poznać islandzką naturę pierwsi przybyli na ów ląd wikingowie. Nagminnie zdarzały się w kraju przypadki małych i większych katastrof, a mieszkańcy wyspy często umierali wskutek erupcji wulkanicznych, a także z zimna i głodu. W końcu Islandczycy postanowili zerwać z życiem w paraliżującym strachu i wulkany pokochali. Na szczęście nie trzeba być geologiem, żeby zapłonąć do nich gorącym uczuciem. Islandczycy kochają wulkany, gdyż nadają one życiu szalenie ryzykowny, a przez to pociągający smak. Ich groźna obecność urozmaica wyspiarską codzienność, raz po raz wywołując pożądany dreszczyk emocji. Ku uciesze Islandczyków, media co pewien

czas grzmia i złowieszczym tonem ostrzegają przed rychłymi i zwariowanymi planami któregoś z wulkanów. Wulkany szykujące się do wybuchów to ponadto jeden z ulubionych tematów islandzkich konwersacji, oprócz pogody, rzecz jasna.

Aby znaleźć na Islandii osobę, z którą pilnie chce się nawiązać jak najszybszy kontakt, jej danych należy poszukać nie w mediach społecznościowych, ale... w książce telefonicznej. W tym kraju to wolumen nadal bardzo popularny, choć niestandardowy, mimo że po bożemu z zawartością ułożoną alfabetycznie. Nowość islandzkiej książki telefonicznej polega na kolejności, gdyż najpierw podawane jest imię i dopiero po nim nazwisko, a co więcej – i na rozwianie wątpliwości – również zawód delikwenta. Poza tym książki telefoniczne na Islandii są niczym czarodziejskie księgi zaklęć. Jeżeli chodzi o wspomniane profesje, sporo z nich mija się z prawdą, bo w książkach telefonicznych Islandczycy spełniają swoje dziecięce marzenia o zawodach. Zamiast szczerości możemy się więc spodziewać steku wysublimowanych kłamstewek. Niektóre z podanych profesji brzmią nadzwyczaj humorystycznie; w tym jedynym spisie bez konsekwencji można oświadczyć wszystkim, iż jest się na przykład: łowcą duchów, kowbojem, magikiem, zaklinaczem węży, rycerzem należącym do zakonu Jedi czy też samurajem. Niektórzy idą o krok dalej i jako imię i nazwisko podają dane postaci historycznych czy ze świata popkultury.

Przeglądając wyspiarską książkę telefoniczną, można się pokusić o swego rodzaju statystyki, opierając się wyłącznie na prezentacji islandzkich nazwisk. Okazuje się bowiem, iż osób posiadających identyczne nazwisko może być i sto, a nie są one ze sobą nawet spowinowaczone. Wszystko przez to, iż nazwisko tworzy się od imienia ojca, rzadziej matki, i nie zmienia się go po zamążpójściu czy ożenku. Zasada jest raczej prosta. Mianowicie na końcu imienia ojca wystarczy dodać odpowiednią końcówkę: *son*, czyli syn, dla mężczyzn, i *dóttir*, córka, dla kobiet (niekiedy, nie licząc wyjątków, dodaje się jeszcze końcówkę -s). Jeżeli więc ojciec nosi imię *Mýrkjartan*, to jego pociechy, w zależności od płci, nazywają się *Mýrkjartansson* oraz *Mýrkjartansdóttir*. Na drzwiach islandzkich domostw wiszą tabliczki z imionami i nazwiskami wszystkich mieszkańców – ku uciesze miejscowych listonoszy, którzy w innych okolicznościach popadliby

chyba w zbiorowe szaleństwo.

Republikę Islandii, z islandzkiego Lýðveldið Ísland, zamieszkuje około trzystu dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, co oznacza, że Islandczycy znajdują się w zdecydowanej mniejszości względem odwiedzających ich wyspę mas turystów. Więcej aniżeli dwie trzecie populacji osiedliło się w stolicy, a reszta pozostaje nieulekle rozproszona na pozostałym jej obszarze. Niespieszne życie toczy się między innymi wzdłuż postrzępionej linii brzegowej, środowiska najbardziej dla mieszkańców wyspy łaskawego, gdyż Islandia to kraj, którego blisko osiemdziesiąt procent terenów można uznać za dzikie. W samym sercu Islandii znajdują się połacie nienadające się w ogóle do zamieszkania, a panujące tam zwariowane pogodowe aury nie dają się za nic ujarzmić. Islandczycy od niepamiętnych czasów utrzymywali się z uprawy roli i rybołówstwa. Sama Islandia uchodzi za kraj nieposkromiony i można by sądzić, że teren wyspy został upstrzony farmami dość pochopnie i że nikt nie wie, ile ich tak naprawdę jest. Nic bardziej mylnego. Islandczycy od zawsze skrupulatnie zliczali swe farmy, a po podliczeniu grupowali je w jednostki zwane *hreppar*. Ażeby powstał *hreppur*, musiało zebrać się przynajmniej dwadzieścia legalnych farm, które nazywano *lögbyli*. Choć początkowo niektórzy uciekali się do podstępów, aby żyć samemu sobie i nie płacić obowiązkowych podatków, to i tak prędzej czy później musieli do farmerskiego obwodu zostać wpisani. W końcu przekonali się do tego wszyscy Islandczycy, gdyż okazało się, że przynależność do *hreppur* oprócz odprowadzania podatków daje też mnóstwo korzyści. Było to swoiste ubezpieczenie. Gdy któreś gospodarstwo zaczynało cierpieć szczególną biedę, pozostałe starały się mu pomagać; w razie licznych trudności wospiarze zawsze mogli liczyć na siebie nawzajem.

Jak można się domyślić, farmę zamieszkiwał farmer wraz ze swą rodziną. Prócz niego przebywali na niej także wolni strzelcy, farmerscy pomocnicy i włóczędzy, którzy wędrowali od farmy do farmy w poszukiwaniu pracy. Miejsce na farmie musiał znaleźć każdy – takie było prawo. Wyjątkiem od tej reguły był raczej niemile widziany kryminalista, któremu zabraniano wszelkich kontaktów ze społeczeństwem. Tym, którzy pragnęli cieszyć się wolnością i kosztować przygód w różnych zakątkach wyspy, czyli pomocnikom, już na początku farmerskiej drogi często rzedły miny. Dość szybko

okazywało się, że wolność osobista w dawnej Islandii po prostu nie miała racji bytu, a mówiąc wprost: praktycznie nie istniała.

Na czas pobytu pomocnika w gospodarstwie farmer decydował o wszystkich sferach jego życia. Niekiedy kończyło się to tak, że zamiast zdobyć upragnioną swobodę, robotnik zostawał farmerskim niewolnikiem pod całkowitą kontrolą. Zdarzało się, że ten, kto zamierzał zostać na farmie przez rok, był przetrzymywany siłą za pensję wcale nie większą od obiecaną roczną aż do końca plonów – tyle że trwających dwa lata. W łżejszych przypadkach – i takie bywały najczęściej – farmer decydował zarówno o pracy, jak i wolnym czasie swych pracowników, między innymi o tym, kiedy i na ile mogą w swoim rzadkim czasie wolnym farmę opuścić. Sprawiedliwości stało się jednak zadość; sami farmerzy także byli rozliczani z wypadów poza własne farmy przez lokalnych ministrów. Ci natomiast pilnowali, aby gospodarstwa prosperowały najlepiej jak tylko mogą, to znaczy żeby miały z czego odprowadzać podatki. Niektórzy Islandczycy nie posiadali własnych farm, ponieważ wiele połaci należało do państwa i Kościoła; wówczas ziemia była im udostępniana. Znaleźli się oczywiście i tacy szczęśliwcy, którzy z dumą mogli nazywać się właścicielami ziemskimi, i nie było ich wcale tak mało. Statystyka była całkiem prosta: połowę farmerów stanowili odnajmujący, drugą połowę – posiadający. Aby móc założyć własną farmę, trzeba było uezierać niezbędną kwotę, za którą można było nabyć trzy krowy.

Ruch pracowników pomiędzy farmami był ogromny, ale koncentrował się na przestrzeni kilku dni. Każdego roku wyznaczano cztery doby, podczas których pracownicy mieli czas na przemieszczanie się i znalezienie nowej pracy, jeżeli ze starej byli niezadowoleni albo jeśli ich pracodawcy nie zamierzali dalej z nimi współpracować. Dni te nazywano *fardagar*, czyli „dniami ruchomymi”. W XIX wieku najemnicy stanowili około trzydziestu procent społeczeństwa, można więc sobie wyobrazić, jak wyglądały islandzkie bezdroża, gdy wszyscy w jednym momencie wybiegali z farm na drogi. Gdy już zdobyło się upragnioną zgodę na opuszczenie farmy i mogło się poszukać nowej, w zamyśle lepszej, miało się na to niewiele czasu. Pewnego dnia zmieniło się prawo i na farmie nie można było gościć lub pomieszkiwać przez miesiąc bądź kilka miesięcy, w zależności od upodobania. Gdy już się nową pracę znalazło, należało trzymać się jej

przez rok, czyli od maja do maja. Najgorszą i najtrudniejszą do zaakceptowania rzeczą była ta, iż będąc najemnikiem, nie można było się ożenić. Prawo mówiło, iż przed ślubnym kobiercem można stanąć dopiero wtedy, gdy uzbiera się na założenie, a w tym przypadku najczęściej na wynajęcie farmy, a więc wówczas gdy mężczyznę było stać na kupno trzech krów. Wszystkim islandzkim romantykom było raczej śpieszno do założenia rodziny; pracowali więc od świtu do nocy, by na owe krowy zarobić i rozpocząć nowy etap farmerskiego życia. Ci, którzy pracowali tym mozolnym trybem, w ciągu roku mogli zaoszczędzić na pół krowy.

Los farmerskich włóczykijów, tyle że należących do wyższej klasy społecznej (dziś nazwalibyśmy ich freelancerami), nie licząc rzadkich niesnasek z niektórymi farmerami, był satysfakcjonujący, a co więcej, bardzo opłacalny. W przeciwieństwie do pomocników, włóczykije cieszyli się nieskrępowaną wolnością. Byli ludźmi poważanymi i współpracowali z farmerami na wyższych szczeblach, pomagając między innymi w zarządzaniu pozostałymi pracownikami. Czasem po sezonie spędzonym na danej farmie potrafili wyjść finansowo lepiej aniżeli sam farmer przez cały rok. Zarobki właściciela farmy należało podzielić przez liczbę osób w zazwyczaj wielodzietnej rodzinie i pracowników; poza tym prócz płacenia pensji farmera gnębiły nieustannie jeszcze inne wydatki związane z gospodarstwem. Status niezależnego strzelca nie był łatwy do osiągnięcia. By zostać jednym z wędrujących, należało uzbierać fundusz o równowartości dziesięciu krów. Sumka nie byle jaka, mając na uwadze fakt, iż niektóre farmy, jeśli chodzi o wypłacalność, mogły sobie pozwolić na zaledwie dwie. Wszystko przez to, że wolni strzelcy nie byli przez państwo mile widziani; rząd postanowił więc do podobnego trybu życia zniechęcić. Oczywiście przede wszystkim chodziło o finanse i możliwość sprawowania maksymalnej kontroli nad społeczeństwem.

Odrębną społeczność tworzyli włóczędzy, grupa najmniej podobająca się organom państwowym i kościelnym. Wszyscy inni nie mieli im wiele do zarzucenia, gdyż chętnie i często korzystali z ich usług, zwłaszcza że byli jeszcze tańsi od najemników. Włóczędzy z namiętnością trudnili się również obnośną sprzedażą. Również w tym przypadku celnie trafiali w gusta islandzkiej społeczności, a to ze względu na korzystne ceny oferowanych przez siebie produktów.

Sprzedawali najczęściej materiały, narzędzia, nici, noże i nożyce. Ceny we wsiach były dwa lub trzy razy wyższe, dlatego włóczędzy nie mogli narzekać na brak klienteli, a tym samym na zarobki. Inaczej niż można by sądzić, niedostateczne dochody wcale nie spędzały im snu z powiek; trapiło ich co innego. Istniała pewna grupa włóczęgów, których pozostali wręcz nie znosili.

Ci niedarzeni sympatią osobnicy nie mieli ochoty pracować w ogóle, zajmowali się więc niespiesznym wędrowaniem od farmy do farmy i narzekaniem na swój niezwykle ciężki los. Wymyślali przy tym tragiczne choroby, na jakie niedawno zapadli, i inne równie druzgocące historie wstrząsające ich życiem, dotychczas oczywiście bardzo pracowitym. Jednym słowem, lamentowali, a do ich skarbonek często trafiał grosz, jeśli nie dwa. Tymi kłamstwami doprowadzali pracowitych wagabundów do szewskiej pasji, ponieważ psuli całej grupie opinię wyjątkowo uczciwych najemników. Byli też i tacy, którzy choćby chcieli, to swych tragedii nie udawali. Na Islandii do XVI wieku nie było szpitali, do czasu, gdy król Danii i Islandii Chrystian III łaskawie zgodził się na wybudowanie pierwszej innowacyjnej placówki. Ci, którzy cierpieli na wszelkiego rodzaju choroby umysłowe, żyli zazwyczaj w tajemnicy przed pozostałymi rodami, byli odtrącani przez swoją rodzinę i zdani jedynie na łaskę obcych. O psychiatrii nikt wówczas nie słyszał, dlatego każdą podejrzaną chorobę dotyczącą ducha próbowano zatuszować siłą; bliscy wysyłali biedaka jak najdalej od domu, a sąsiadom tłumaczyli, że raptem naszła go przeogromna ochota na przeprowadzkę na drugi, wyjątkowo intrygujący koniec wyspy. Chorym umysłowo ludziom nie pozostawało nic innego, jak włóczęga i nadzieja na finansową litość innych. Co ciekawe, tacy włóczędzy otrzymywali specjalne pozwolenia na zebranie i byli wpisywani do zaszczytnej księgi, uzyskując status *kongsins flækingar*, „królewskich żebraków”.

Byli i tacy, którzy wstępowali na drogę włóczęgi ze względu na swe nieznośne charaktery, a inni uznawali ich za dziwaków. Farmerzy łapali się za głowy nawet na samą myśl o tym, że mieliby ich zatrudnić na miesiąc zbiorów na farmie, nie mówiąc już o ustawowym całym roku. Choć wedle prawa maruderzy powinni do jakiejś farmy przynależeć, czasem bywało tak, że żadną siłą nie można było zmusić właściciela gospodarstwa do podjęcia współpracy z podobnym

delikwentem. Pyskaci awanturnicy, choć w pełni zdrowia fizycznego i psychicznego, zostawali z niczym; dlatego nawet jeśli nie chcieli, to i tak musieli wędrować. Kiedy nadchodził moment skruchy i refleksji nad swarliwą naturą, spontanicznie podejmowali pracę nad swymi charakterami, przeistaczając się w wędrownych artystów i komediantów; muzykowali, recytowali poezję, żonglowali, wykonywali isticie cyrkowe sztuczki, a nawet z całkiem żartobliwym zacięciem udawali owce. Zwłaszcza po owczych występach na jakiś czas zaskarbiali sobie życzliwość spragnionych rozrywek farmerów oraz zyskiwali wikt i opierunek na kilka dni. Na Islandii wieki temu ludzi dotykała szczególna fobia objawiająca się paranoicznym strachem przed staniem się przedmiotem plotek. Niemająca w sobie ani jednego procenta prawdy, puszczona w obieg plotka, która zaczynała sprawnie szusować pomiędzy osadami, była największą potwarzą i hańbą. Robiono więc wszystko, aby do jej powstania nie dopuścić. Jeśli na farmę przybywał włóczęga złośliwy, szalony, a do tego bezczelnie leniwy, który nie dość, iż nie miał zamiaru dopomóc w sianokosach, to jeszcze nie planował za strawę i nocleg wyrecytować ani jednego wiersza, należało traktować go dobrze. Farmerzy zaciskali usta i, nie mogąc postąpić inaczej, zapraszali podejrzanego typka w gościnę, aby nie dopuścić do przypięcia im łatki skąpych i nielitościwych. Włóczędzy mieli więc większe wpływy, aniżeli mogłoby się wydawać.

Jeżeli Islandczycy nie przebywali na farmach, to wzywało ich morze, tyle że od bratania się z morskimi falami mieli małą przerwę. W początkach islandzkiego osadnictwa potomkowie wikingów, którzy zasiedzieli się na farmach, tak skoncentrowali się na uprawie trudnych gruntów, iż po jakimś czasie zaczęli zapominać o wartości niezliczonych gatunków ryb, w które obfitowały islandzkie wody. Chyba musieli sobie wziąć do serca historię Hrafna Flóki, o którym mowa w *Landnámabók*, gdyż inaczej ów dziwny proceder trudno wytłumaczyć. Można uznać, że to właśnie przypadek Hrafna spowodował irracjonalny zastój rybołówstwa na wyspie. Na Islandii Flóki znalazł się jako pierwszy z Norwegów, tuż przed Ingólfurem Arnarsonem. W odnalezieniu szlaku na wyspę dopomogły mu kruki i od tego wydarzenia wziął się jego przydomek, gdyż po islandzku *hrafna* to właśnie kruk. Ów żyjący w IX wieku wiking, w którego żyłach płynęła skandynawska żądza, bardziej aniżeli namiętnie

oddawał się połowom w rejonie Fiordów Zachodnich. W ich głębinach czaiły się niezbadane morskie bestie o szalonych kształtach, jakich nigdy wcześniej w Norwegii nie widział. Flóki wpadł w taki wir połowów, iż przestał w ogóle schodzić na brzeg. Poławiając morskie pyszności, zupełnie zapomniał o farmerskich obowiązkach i życiu na lądzie (i życiu swoich bliskich), tak że gdy się wreszcie opamiętał i w końcu zszedł na brzeg, zastał gospodarstwo na wymarcu. Jego historia była dla Islandczyków prawdziwą przestrożą, zwłaszcza że mieli w swym odwiecznym zwyczaju oddawanie się niektórym czynnościom bez opamiętania, inne zaś w nieskończoność odkładali. Temu, komu zaświeciła w głowie nawet maleńka iskierka, że może warto by zbadać ciekawe okazy wyskakujące z wody, czym prędzej przytaczano historię połowów Flókiego. Przodkowie Islandczyków, na całym świecie znani z morskich wyczynów i wytrawnego żeglarskiego stylu, zapewne łapaliby się za głowy, widząc ten morski impas i marnotrawstwo skarbów, od których roiło się w przejmująco zimnych falach.

W końcu, w jednym z kolejnych pokoleń praprapraprawnuków słynnego Ingólfura, Islandczycy opamiętali się i znów, choć z wielką obawą, zaczęli wypuszczać się w morze. Ich radość i zaskoczenie były ogromne, a na dotychczas niezbyt suto zastawionych stołach zaczęły pojawiać się rybne przysmaki. Teraz myślano już tylko o tym, aby stołom na wzmocnienie konstrukcji podoklejać po piątej nodze. Wkrótce potem władze dostrzegły ten hulaszczy i wyjątkowo łakomy tryb przyjmowania pokarmów i postanowiły coś z tym zrobić, na wypadek gdyby Islandczycy przestali dostarczać im dochodów z upraw. Prawne regulacje dotyczące rybołówstwa uległy zmianie; odtąd nie można było sobie ot tak wskoczyć na łódkę, wypłynąć na połów i wrócić ze wszystkim, co wpadło w sieci. Jeżeli Islandczyk chciał zajmować się łowieniem ryb, co zazwyczaj okazywało się zajęciem niezwykle lukratywnym, musiał posiadać na własność ziemię, a do tego graniczącą z morzem.

Ci, którzy szczęśliwie przy brzegach mieszkali i którzy wcześniej nawet nie myśleli o tym, by mieć cokolwiek do czynienia z wynalazkiem zwanym łodzią, teraz stawali się maniakami żeglowania. Wielu Islandczyków zamieszkiwało niesamowitej urody przestrzenie, z których można było podziwiać morski bezkres; linia

brzegowa szybko zarośla się od sieci. Rybackie stacje ulokowane przy farmach zwano *heimaver*, czyli „stacjami domowymi”. Gdy ktoś miał zasobny portfel, a przypadkiem nie posiadał nadmorskich gruntów, mógł dogadać się z wyjątkowo elastyczną władzą i za satysfakcjonującą kwotę nabyć stację daleko od swojej farmy. Takie jednostki nazywane były *útvær*, „oddziałem na zewnątrz”. Przebywanie z dala od domu nie należało jednak do wyjątkowo przyjemnych. Wielu Islandczyków, którzy przeznaczyli niemałe sumy na zakup nadmorskich działek, początkowo nie było stać na budowę nawet niewielkiej chatki w pobliżu swych łowisk. Często spali oni po prostu pod łodziami, czego nie można było uznać za wygodę, zwłaszcza że spędzali w *útvær* mnóstwo czasu. Połowy dawały jednakże możliwość szybkiego i dobrego zarobku, tak że niedługo potem nad brzegiem zaczęły wyrastać coraz bardziej komfortowe miejsca noclegowe i domki. Tak właśnie powstały pierwsze osady rybackie, z których dzisiaj słynie Islandia.

Kolejną rzeczą, jakiej hardzi przodkowie nie mogliby wybaczyć Islandczykom, był brak chęci do kontynuowania budowy znakomitych i niezawodnych łodzi. Przez wieki mieszkańcy Islandii wypływali na łowy w otwartych łodziach (czy raczej łódeczkach), które mieściły zaledwie po trzy, cztery osoby i byle dmuchnięcie mogło je zatopić. Ze względu na szaleńcze i zupełnie nieobliczalne warunki panujące na otwartym morzu, rybacy z wypraw często po prostu nie wracali. Północny Atlantyk mocno dawał wszystkim żeglarzom w kość; każda eskapada kosztowała wyspiarzy niemało stresu, a ich rodzinę przyprawiała o niemały ból głowy. Wypływali najczęściej mężczyźni, ale kobiety od czasu do czasu również im towarzyszyły; zdarzało się, że pełniły nawet funkcje brygadzystek. Rola kapitana wiązała się z podobnym wyczynem, jakim byłoby sterowanie ogromnym statkiem. Ani na chwilę nie można było stracić czujności. Połowy trwały wiele dni, dlatego kapitan, jeśli dane mu było powrócić do domu, wracał niezwykle wyczerpany. Jego obowiązkiem było między innymi obserwowanie chmur, które nad islandzkimi wodami zmieniały się w okamgnieniu. Najlepsze humory pomimo zmęczenia miała załoga, zwłaszcza gdy nad ich głowami pojawiały się obłoki kształtem przypominające makrele. Brzmi to dość zabawnie, jednakże skoncentrowani na połowie rybacy naprawdę chętnie kojarzyli formy

chmur z istotami z morskich odmętów. Jeśli więc makrele pędziły po niebie, szczęśliwie wiadomo było, iż wyprawa się powiedzie, a łódź objuczona kilogramami tłustych ryb ledwo dokołysze się na ląd.

Wody morskie zupełnie zawróciły wyspiarzom w głowach i wkrótce na Islandii nastąpiła zupełnie nowa era. Ci, którzy dotąd uważali się za stuprocentowych rolników, poczuli dziwną i silną więź z morzem. Ludzie obawiali się morza, ale i kochali je. Myśleli o nim niczym o przedziwnej bestii: obsypywała ich niezliczonymi podarunkami, zapewniała naprawdę godziwą strawę, ale jednocześnie była nieprzewidywalna i groźna, w przyływach furii potrafiła odbierać życie, nie okazując przy tym litości. Z rybackim życiem nieodmiennie łączyło się duże ryzyko; aby zapewnić sobie szczęście na morzu, ludzie stworzyli szereg zabobonów. Na przykład aby nie zatonać, należało zabrać ze sobą w morze odpowiedni kamień – logiczne, prawda? Kamienie te nazywano *aggarsteinar*, a zanim trafiały w ręce rybaków, były drążone w specjalny sposób. Każdej innej społeczności kamień w kieszeni kojarzyłby się z niezbyt optymistyczną prognozą na pobyt na akwenie. Islandczycy jednak wierzyli, iż *aggarsteinar* uchroni ich od złego na wodach. Gdy odpowiedni kamień spoczął już w kieszeni, należało przygotować obuwie. Powinien się w nim znaleźć *aflakló*, pazur lub łapka czapli w dorodny pazur opatrzona, która miała zapewnić wielkie bogactwo po najbliższym połowie. Rybacy spodziewali się jeszcze bardziej bajońskich sum, gdy *aflakló* przebiło but kapitana; był to znak, że muszą jak najszybciej zarzucić największe sieci, jakie tylko mieli w posiadaniu. Czapli było na Islandii o wiele mniej niż czyhających na ich pazur rybaków, dlatego problemy przed każdym wypłynięciem się nawarstwiały. Wytropić i upolować czaplę – to było dość nietypowe rybackie zadanie.

Pierwsza złowiona ryba otrzymywała świątobliwy przydomek *Mariúfiskur*, czyli „ryba Marii”. Nie należało jej trzymać z resztą zdobyczy, a z ogromnym szacunkiem złożyć w odosobnieniu, czyniąc przy okazji odpowiednie honory, na przykład odmawiając modlitwę i składając na lśniących łuskach pocałunek. Ryba miała z pomocą skrytej w niebiosach Marii Panny sprawować pieczę nad kutrem, musiała więc przetrwać w nienaruszonym stanie całą drogę. Gdy rybacy powrócili do domów, zgodnie z obyczajem winni ofiarować *Mariúfiskur* pierwszej napotkanej – i co więcej, nienależącej do zbyt

majątnych – wdowie. W obecnych czasach podczas połowów (a właściwie jedynie podczas połowów łososia) nadal nazywa się pierwszą schwytaną rybę *Mariúlox*, „łososiem Maryjnym”, niemniej jednak wdowy nie otrzymują już po powrocie rybaków żadnych podarków, a i łososiom nikt całusów nie rozdaje.

Nie trzeba było wiele, by w obawie przed nieudanym połowem zacząć sobie rwać włosy z głowy. Wiele innych rybackich zabobonów tyczyło się na przykład samych kobiet – mogły one przynieść załodze nieszczęście, a nawet śmierć. Wręcz paskudną wróżbą było napotkanie kobiety w drodze na łódkę. Nie trzeba było z nią podejmować żadnej rozmowy, nie trzeba było nawet długo na nią patrzeć. Nie musiała znaleźć się w odległości kilku kroków, mogła przebywać wiele metrów dalej. Wystarczył jedynie rzut oka na jej mglistą, przekłętą sylwetkę majaczącą gdzieś na horyzoncie i już katastrofa na morzu gotowa. Jeżeli rybakowi w noc przed wypłynięciem przyśniła się jakaś niewiasta, można było mieć pewność, iż pogoda podczas połowu będzie paskudna. Co gorsza, jeżeli w owym śnie spoglądało się w podstępne niewieście oczy, to sztorm stulecia zdarzy się na pewno, lepiej więc opóźnić połów o dzień. Winno się przełożyć go z kolei o dwa dni, jeśli owa niewiasta posiadała oczy ciemne jak węgielki, a w przypadku gdy miała jedno egzotycznie oko ciemne, a drugie jasne, lepiej było nie ryzykować i poczekać z rejsem kolejne trzy dni. Jeśli w noc przed poławianiem rybak ujrzał we śnie swą świętej pamięci babkę, czym prędzej odwoływał rejs i to na kilka dni; widok nieboszczki był bowiem największym z możliwych ostrzeżeń. Dziś większość z tych zabobonów Islandczycy traktują raczej jako ciekawostki, a nie istotny wyznacznik życiowych decyzji.

Jeśli zdarzyło się tak, że kobiety nie przeszkodziły rybakom w żaden sposób i połów mógł się odbyć według planu, zawsze mimo wszystko należało zmówić odpowiednią modlitwę. Rybacy wchodzili na łódkę, zdejmowali kapelusze, zbliżali się do siebie głowami, przyjmowali pokorny wyraz twarzy, po czym żarliwie zaczęli recytować *Sjómannabæn*, czyli „modlitwę ludzi morza”, która powinna trwać nie mniej niż pół godziny. Już ubezpieczeni duchowo, choć zawsze na nogach nieco drżących ze stresu, podkływanych przez czaple pazurki, wypływali miniaturowymi łajbami na poszukiwania oceanicznych cymesów.

Czasem Islandczyków nachodziło ogromne lenistwo albo zaczynały ich gnębić wielonocne koszmary senne z szarlatańskimi kobietami w roli głównej. Wówczas, ku swemu ubolewaniu, nie byli w stanie podjąć wyzwania i pozostawali w domu, odpuszczając sobie połów całkowicie. Przez wieki odseparowani od połowów na szerokich wodach, zaobserwowali swego czasu pewną słuszość, a mianowicie – że można uraczyć się skarbami morza, nie umoczywszy nawet palca. Frykasy, kosztowności i rzeczy pierwszej potrzeby lśniły kusząco, obmywane przez morską pianę, i były na wyciągnięcie ręki. Na brzegach czekały na wyspiarzy niechciane już w głębinach przedmioty, odrzucone przez fale zwierzęta, które nie znalazły miejsca na żadnym z podwodnych cementarzyk. Czasem był to wieloryb, innym razem – nieco mniejszy smakołyk. Bywały przypadki, kiedy wyspiarze zastawali cały brzeg zavalony setkami ryb czy delfinów, które znalazły się tam w zupełnie niewytłumaczalny sposób. W 1669 roku plaże półwyspu Snæfellsnes zaroily się od setek ogromnych sumów; do podobnego niewyjaśnionego zjawiska, tyle że z jeszcze większą ilością pomarłych gigantów, doszło wiek później. Prócz rybnej kolonii największą radością było oczywiście znalezienie na brzegu wieloryba. Jeśli ktoś dojrzał z daleka gigantyczne znalezisko, zaczynał krzyczeć na całe gardło: *Hvelreki!*. Nie sposób przetłumaczyć tego literalnie na język polski, ale w wolnym tłumaczeniu brzmiałoby to mniej więcej: „Wieloryb na plaży!”. Takie plażowe odkrycie nie tylko zapewniało wiosce roczne wyżywienie, lecz także stanowiło wielką fortunę w formie wielorybiego mięsa, kości i tłuszczu. Było więc się z czego cieszyć.

Sposobność ujrzenia któregoś z gatunków walenia podczas pobytu nad islandzkimi wodami wydaje się bardzo prawdopodobna, gdyż grasuje tam aż czternaście tych morskich stworów. Z dobrodziejstwa gatunków korzystali już pierwsi islandzcy osadnicy, którzy wykorzystywali wieloryby jako źródło nie tylko pożywienia, lecz także materiałów potrzebnych do wykonywania narzędzi. W początkach ery wielorybnictwa uśmiercano jedynie zwierzęta wyrzucone na brzeg. W myśliwych rosła jednak odwaga; w XIX wieku brawurowo zaczęli mierzyć się z oceanem, wymyślając coraz to nowe, liczne sposoby na schwytanie tych ogromnych stworzeń. Mimo że Althing w 1915 roku zakazał połowu wielorybów, to w okresie pomiędzy latami trzydziestymi a osiemdziesiątymi uśmiercano około czterystu

wielorybów rocznie, zarówno w wewnętrznych celach konsumpcyjnych, jak i na eksport. Islandzkie wieloryby przebywały potem długą podróż, kończąc najczęściej na japońskich stołach.

Kwestia uregulowania praw do połowów wielorybów od zawsze rodziła na Islandii kontrowersje i do tej pory pozostaje nieunormowana. Rząd islandzki kilkakrotnie zmieniał swe decyzje odnośnie do wielorybnictwa; wstępował do szeregów Międzynarodowej Komisji Wielorybniczej zakazującej komercyjnych połowów, po czym z nich występował. Niestety, walenie na wodach Islandii w dalszym ciągu nie są bezpieczne i serwuje się je w wielu restauracjach jako luksusowy przysmak. Dziś sezon na wieloryby może kojarzyć się dwojako; ten, o którym mowa, ma nieco bardziej pozytywny charakter i rozpoczyna się w maju, a trwa do połowy września. Choć Islandia jest jednym z państw, które pomimo sprzeciwu większości społeczeństw na świecie regularnie połowia wieloryby, nie ma nic wspólnego ze świszczącymi harpunami ani z wizją krwawej eskapady. Jedynym narzędziem w połowie waleni na Islandii jest para oczu, których czujność można sprawdzić, udając się w rejs wokół islandzkiej stolicy wielorybich obserwacji, czyli położonym na północnym wschodzie wyspy Húsavíku. Jeśli uda nam się ujrzeć grzbiet czy inną równie napawającą zdumieniem gigantyczną część wielorybiego ciała, można krzyknąć *Hvelreki!*. Obecnie owo wyrażenie nie ma już nic wspólnego z wielorybem martwym. *Hvelreki!* stosowane jest jako określenie ogromnego, niespodziewanego szczęścia i nadzwyczaj wspaniałej niespodzianki od losu. Do widoku wieloryba w doskonałej kondycji pasuje więc jak ulał.

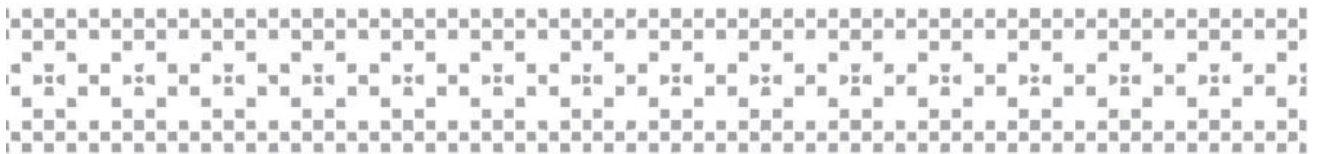
Na islandzkich wybrzeżach zawsze roiło się od ptactwa i fok. Rozleniwieni Islandczycy obierali je sobie za łatwy cel – tym łatwiejszy, iż polowali w zasadzie na pisklęta i foczki. Gdy ptaki wybywały z gniazd budowanych na klifach, wyspiarze czym prędzej zakradali się do nich, by zabrać jajka, pisklęta i pierze. Z jednej takiej eskapady mieli więc materiał zarówno na syty obiad, jak i na ciepłutką kołdrę. Z kolei małe foki zazwyczaj przebywały w *selláttur*, czyli łęgowskach. W oczekiwaniu na polujących rodziców, pozostawione bez opieki focze przedszkole stanowiło łakomy i, co najważniejsze, łatwy do zdobycia kąsek. Foczym mięsem zajadano się pomimo silnie zakorzenionej w niektórych wyspiarskich ośrodkach wiary, jakoby foki ze względu na

ich łagodne, ciepłe spojrzenie i przyjazne zachowanie są nie zwierzętami, ale ludźmi, którzy zginęli lub pozostają zaginięni na morzu. Wierząco też, że foki raz do roku, dokładnie w noc świętojańską, podpływają do islandzkich brzegów z innymi niż zazwyczaj intencjami, a to dlatego, że zdejmują wówczas swą śliską morską skórę i wychodzą po metamorfozie na brzeg, aby świętować wraz z ludźmi. Ludzie-foki, czyli *sæfólkið*, mieli być bardzo podobni do *selkie*, postaci wywodzących się z folkloru irlandzkiego i szkockiego. Na wyspie wierząco także, iż wszyscy ci, którzy sprawnie pływają bądź posiadają krótkie palce, są *sæfólkið* potomkami. Wieloryby uznawano na Islandii za istoty najpożywniejsze, ale i najbardziej uczuciowe, w czym miały dorównywać – a wedle wielu nawet przewyższać – foki. Przypuszczano bowiem, i słusznie zresztą, że wielorybie serca są największe na świecie (ważą nawet do sześciuset kilogramów).

Mieszkańcy Islandii z nadzieją zerkali na morze również z innej przyczyny niż głód. Cierpiąc na niedobór drewna po słynnym zmasowanym ataku drzewnego bzika, czekali z niecierpliwością, co też nowego i drewnianego potężne fale wyrzucą na brzeg. Od czasu do czasu morze sprawiało im nie lada niespodziankę i wypluwało masę drewna w przeróżnej postaci. Swego czasu ku uciechu całej nacji na islandzkich wybrzeżach zaczęły pojawiać się ogromne, białe kłody sosny syberyjskiej, która, jak się okazało, dryfowała kilkanaście tysięcy kilometrów z arktycznej Rosji po nadzwyczaj niesfornej ucieczce z młynów. Niezwykle piękne i wyjątkowo wytrzymałe drewno było powodem wielu swarów i bijatyk, gdyż każdy bez wyjątku pragnął stać się jego właścicielem. Na plażach zaczęły się nawet pojawiać sąsiedzkie patrole, które pilnowały, by nikt przypadkiem nie wykradł cennego surowca przed właścicielami danej nadmorskiej posiadłości. Mimo to jednak niektórym chytrym złodziejaszkom udawały się kradzieże. Na terenach niczyich próbowano wywróżyć sobie termin kolejnej ekskluzywnej dostawy i na straży stawiano ludzi, którzy mieli czym prędzej wyłowić cenne drewno, aby nie wpadło w inne spragnione ręce. Ten, kto nie miał szczęścia natknąć się na olśniewającą kłodę, często musiał ostro zacisnąć pasa i zasięgnąć języka o białym drewnie na czarnym rynku. Drewna przypominającego tytan pożądał każdy, dlatego ceny za sosnę rodem z Syberii często przekraczały zdroworozsądkowe kwoty. Żony farmerów łapały się za

głowy, dowiadując się na przykład, iż za luksusowe kłody ich szanowni mężowie wzięli pod zastaw cały dobytek, czyli farmę. Szaleństwu nie było końca; Holendrzy mieli swą słynną gorączkę tulipanową, Islandczycy natomiast – sosnową.

Tak samo, ale inaczej



Panuje powszechna opinia na temat Islandii, iż ze względu na życie w tak małej społeczności wszyscy się ze wszystkimi znają, a co więcej – są w jakimś stopniu ze sobą spokrewnieni. Jest w tym wiele prawdy; powinowactwo od wieków nastęczało na wyspie wielu kłopotów, gdyż często zdarzało się, że pary, które zapłonęły do siebie uczuciem, koniec końców okazywały się blisko ze sobą spokrewnione. Bezpośrednie sąsiedztwo na drzewie genealogicznym niestety nie wróżyło dobrze na przyszłość. Dziś podobne obawy można prędko rozwiać, sprawdzając stopień pokrewieństwa na niezwykle użytecznej stronie internetowej, która przedstawia islandzkie więzi rodzinne sięgające aż XVIII wieku. Przez fakt posiadania tak szerokich kontaktów typowe zjazdy rodzinne na Islandii nie mają za wiele wspólnego z takimi spotkaniami w innych krajach. Islandczycy poddają bowiem słowo „krewny” – *miðað* – dość swobodnej interpretacji.

Do rodziny należą wszyscy bliscy znajomi, a zatem i ich bliskim znajomym należy się miejsce zarówno w sercu, jak i przy stole. Tym samym tworzy się całkiem pokaźny „rodzinny” krąg zażyłych lub całkiem serdecznych znajomości. Na familijną wizytę wpaść może z rozbiegu, ot tak, jakieś czterdzieści osób, choć początkowo spodziewało się piętnastu. Nic zresztą nie stoi na przeszkodzie podobnym spontanicznym spotkaniom, bowiem krótkie dystanse służą szybkiemu przemieszczaniu się. Prowadzi to w dalszej kolejności do wysokiej częstotliwości wizyt (porównując zwłaszcza międzymiastowe spotkania w pozostałych państwach). Co więcej, Islandczycy podczas swych podróży po wyspie prawie w ogóle nie korzystają z baz noclegowych. Nie widać ich w zajazdach, hotelach i hostelach. Sieć przyjaciół i rodziny jest tak rozbudowana, że z łatwością mogą wybierać, gdzie i do kogo wpaść z odrobinę dłuższą niż standardowa wizytą. Ta łatwość zjawiania się w dość krótkim czasie w różnych

rejonach wyspy wynika z tego, że Islandczycy sąacją niezwykle rodzinną i starają się kontakty klanowe bardzo starannie pielęgnować. Głęboko szanują zdanie starszych członków rodziny, którzy jako poważani doradcy zawsze są w kłopotliwych życiowych sytuacjach pytani o radę. Gdy w Islandczyku zapłonie płomień miłości i gdy nadejdzie moment zapoznania się jego wybranki z rodziną, pierwszym pytaniem wcale nie będzie pytanie o imię. Gdy ukochana bądź ukochany syna lub córki usiądzie przy stole nakrytym zapewne koronkowym obrusem, jeszcze zanim zdąży uraczyć się łykiem kawy, padną na nią lub na niego liczne surowe spojrzenia. Rozmowa zacznie się zapewne od zapytania: *Hverra manna ertu?*, czyli: „Kim są twoi ludzie?”. Chodzi oczywiście nie tylko o rodziców, lecz także o dziadków, pradziadków, ciotki, wujów, nie pomijając przy tym kuzynów i kuzynek.

Rodzinne spotkania zapoznawcze wypadają najczęściej pomyślnie, a znajomości są skutecznie kontynuowane. W porównaniu z pozostałymi mieszkankami Europy, islandzkie kobiety od lat rodzą najwięcej dzieci. Ponadto wchodzi w świat macierzyństwa w bardzo młodym wieku. To jeden z utrzymujących się od stuleci elementów dziedzictwa kulturowego, gdyż wielodzietne rodziny były na Islandii zdecydowanie pożądane. Islandczycy poważnie traktują powiedzenie, iż w grupie czy też liczbie siła. Od początków osadnictwa w każdej rodzinie przychodziło na świat średnio od sześciu do nawet szesnastu pociech. Rzadszymi przypadkami było posiadanie dwadzieścioro potomków, z których zwykle jedynie niestety połowa dożywała wieku dorosłego. Z tematem narodzin od najdawniejszych czasów wiązały się liczne osobliwe przesady, a stan brzemienny nastroczał kobiecie wielu niespodziewanych trudności. Rzeczywistość komplikowała się na ten czas wręcz niesłychanie; dodatkowe utrudnienia narzucała tradycja, z którą zawsze lepiej być za pan brat, aniżeli o niej zapomnieć. Zwłaszcza że od chwili zajścia w ciążę zły omen czaił się w każdej codziennej sytuacji. Kobieta musiała mieć oczy szeroko otwarte na wszelkie liczne przepowiednie.

Jedną z nich przestrzegano złowrogo, że kobiety będące w stanie błogosławionym ani przez chwilę nie powinny zerkać na zorzę polarną, gdyż grozi to niesymetrycznym ustawieniem gałek ocznych u noworodka. Najgorzej zatem było zajść w ciążę zimą, gdyż przyszłą

matkę omijała wówczas jedna z największych islandzkich atrakcji. Tym paniom, które niebawem korciło, aby choć na moment na światła nie z tego świata popatrzeć, przewiązywano opaską oczy i nakazywano siedzieć w odosobnieniu, dopóki spektakl nie dobiegnie końca. Gdy zorze zeszły z nieba i szaleńczo głodnym przystępowało się do długo wyczekiwanego posiłku, nie należało chwycić nawet w przyptywie łakomstwa byle jakiego sztucca, a to dlatego, iż mogło to zaważyć na urodzie przyszłego potomka. Sztucce należało sobie dobierać z wielką ostrożnością, albowiem spożywanie jedzenia wyszczerbioną łyżką skutkowało pojawieniem się u maleństwa zajęczej wargi. Jeszcze gorszą opcją było skosztowanie za pomocą wyszczerbionej łyżki foczych płetw, przekąski od wielu wieków niezwykle na Islandii popularnej, a z ochotą pałaszowanej również dzisiaj. Wówczas do zajęczej wargi dochodziły jeszcze znaczące zmiany w dziecięcych kończynach, a zamiast pulchniutkich, malutkich rączek ukazywały się nagle podczas porodu kuriozalne, oślizgłe płetwy. Takie dziecię nigdy nie mogło już zaznać spokoju, ponieważ żyjąc między ludźmi, nieustannie tęskniło za podwodnym światem, a bywało i tak, że ku rozpaczy swej rodziny uciekało od niej, pędząc na łeb, na szyję ku przepastnym głębinom.

Focze płetwy nie były jedynym niebezpiecznym przysmakiem. To samo dotyczyło degustacji baranich, jak i krowich łbów. Jeżeli nie chciano, aby noworodek zamiast miejsca przy rodzinnym stole zajął je w szopie, zdecydowanie odradzano ich spożycie. Gdy czas naglił i chciało się jak najszybciej znaleźć dwie izby dalej, za nic w świecie nie można sobie było pozwolić na nawet najmniejsze przyspieszenie kroku. Od zawsze wiadomo, że gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy. Kobieta musiała chodzić wolno, gdyż szybki marsz czy niewielkie podbiegi w stanie błogosławionym były wielce niewskazane; skazywały bowiem dziecię na permanentne zawroty głowy, ciągnące się do końca życia. Najlepiej było również trzymać się z daleka od wszystkich kotów, a wręcz nieprawdopodobnie problematyczne było napotkać kotkę w rui. Nie dość, że to wydarzenie fundowało ogromnego pecha całej rodzinie, to jeszcze pozbawiało nienarodzone jeszcze dziecię umiejętności logicznego myślenia; od tej pory wszyscy w osadzie mieli maleństwo za karczemnego i niestety nieuleczalnego idiotę. Gdy księżyc ukazywał się w nowiu, należało odsunąć od siebie

potrzeby fizjologiczne, ponieważ oddawanie moczu w tym czasie skutkowało czymś jeszcze gorszym od spotkania z kotem, mianowicie urodzeniem szaleńca, niekiedy nawet o wyjątkowo perfidnych, morderczych skłonnościach. Oj, trzeba było się pilnować i uważnie studiować każdy swój krok, choćby nie wiadomo jak nieduży. Tym podobnych zasad miało się do zapamiętania setki, można by nawet stworzyć całkiem opasły poradnik dla brzemiennych. A był to jedynie początek niekiedy dość męczącej drogi ku powiększeniu rodziny.

Dajmy na to, iż kobiecie udało się ominąć tysiące czyhających na nią przeciwnostw losu i że na świecie pojawił się zdrowy, mądry, urodziwy i szczęśliwy bobas. Ale to nie był koniec szczególnej ostrożności; kolejne trudności zaczynały się bowiem piętrzyć wraz z jego przyjściem na świat. Matka po porodzie nie mogła wyrzucić łożyska, ponieważ uznawało się je za część duszy malca. A na nią skwapliwie czaiły się przecież złe moce, które chętnie by ją pochwytyły. Gdyby więc odnalazły łożysko, z wielką łatwością mogłyby uczynić z niewinnej istoty swojego wiernego sługę. Jeśli przed upiorami odnalazłby je i przypadkowo pożarł wygłodniały pies (na Islandii psy przez wieki miały prawo do narzekania, jeśli chodzi o dietę), wówczas za malcem przez całe jego życie włóczyłaby się rozszczekana horda psów. Wiadomo, że taka sytuacja przekreślałaby jego szanse na znalezienie pracy i założenie rodziny; nigdy bowiem nie słyszano, by jakakolwiek Islandka była na tyle cierpliwa, aby hałaśliwą psią bandę znosić. Dobrym pomysłem nie było też spalenie łożyska. Ten proceder nie wiedzieć czemu od wieków szalenie irytował gwiazdy, a zdarzyć się mogło, że jedna z nich zaczęłaby potomka prześladować, rażąc światłem tak, że nigdy nie zmrużyłby oka. Aby łożysko nie dostało się w niepowołane ręce, należało głęboko je zakopać, a następnie położyć na owym miejscu głaz. Łožysko zakopywali rodzice i zgodnie z przesądem nigdy nikomu nie powinni oni zdradzać, gdzie zostało ukryte.

Gdy ktoś wszedł do domostwa z workiem na grzbiecie, nie zostawiając go jak należy w progu, bo zapomniał o obecności noworodka, skazywał tym samym niewinne dziecię na potworne kalectwo. Objawiało się ono w postaci gigantycznego garbu, który zaczynał rosnać już tego samego dnia. Jeżeli zadowolenie z połowu zamgliło czyjś zdrowy rozsądek i przypadkiem wniosło się do domu

płaszczkę lub raki, nogi szkraba czym prędzej przeistaczały się w ogon lub szcypce. Jeśli tak samo postąpiło się, wnosząc do chaty więcej aniżeli dziesięć sporego rozmiaru ryb, niemowlę miało przez całe swe życie nie wypowiedzieć ani jednego słowa ani nawet nie zagaworzyć. Skąd wzięły się te wszystkie zasady i szalone zabobony, nie wie nikt, co więcej, gdy powyższe przeszły już do historii, zaczęły powstawać całkiem nowe, obecne jeszcze w XX wieku, a w niektórych miejscach również do dzisiaj. Niechaj zatem każda mateczka nowicjuszka lepiej trzyma się prawidła, ażeby nie przechodzić pod sznurem do wieszania prania. Po tej złowróźbnej sytuacji – nawet pomimo sprawowania nad dzieckiem całodobowej i nienagannej opieki – smyk prędzej czy później się udusi. A jeżeli nie zmieni się nawyku i nie przestanie sypiać pod kołdrą wypełnioną pierzem pardwy, które jest na Islandii bardzo popularne, to mimo starań najlepszych i najbardziej doświadczonych lekarzy dziecko nie urodzi się wcale.

Od 1760 roku na wyspie pojawiły się oficjalne akuszerki. Naturalnie odbierały one na Islandii porody od stuleci, tyle że od tego roku zostały formalnie przydzielone przez władze do poszczególnych parafii. Co więcej, ze względu na wysoką śmiertelność kobiet przy porodach, zaczęły uczęszczać na specjalistyczne, obowiązkowe szkolenia. Sytuacji nie poprawiło to jednakże w ogóle, ponieważ zamiast fachowej wiedzy medycznej nauczano je odmawiania nad ciężkimi przypadkami niezwykle rozwlekłych modłów oraz śpiewania pieśni mających ulżyć porodowym bólom. Gdy akuszerka opuszczała dom, zamiast przystawić noworodka do matczynej piersi, owijała go w kłębuszek z używanych szmatek (broń Boże nowych), mały kawałek jednej z nich wkładała mu do ust, po czym wynosiła go do drugiej izby, by tam w samotności „odpoczął”. W tym czasie domownicy przygotowywali dla niego dość innowacyjny rodzaj „smoczka”.

Swego czasu Islandczycy namiętnie podgryzali suszone ryby (co właściwie zostało im do dziś); taki podżuty przez któregoś z krewnych kąsek zostawał wypluty, po czym trafiał do wspomnianej szmatki jako gryzak dla niemowlaka. Po porodzie młoda mama pozostawała w łóżku przez tydzień, co było wówczas prawdziwym luksusem; ludzie, którym nie dopisywało zdrowie oraz kondycja, i tak musieli ciężko pracować. Był to więc dla niej czas regeneracji, ale i pełnienia licznych obowiązków o charakterze towarzyskim. Spragnieni rozrywki

krewniacy z bliższych i dalszych okolic, zasłyszawszy o nowym członku rodziny, gremialnie składali wizyty, przynosząc przeróżne podarki, do których należały głównie przekąski. Mogło to być masło, chleb oraz mięso, a z mięsnych łakoci najchętniej – wędzony owczy żołądek, czyli zdaniem pokoleń Islandczyków rarytas na podobną okazję najodpowiedniejszy. Noworódki tuż po porodzie bezwarunkowo musiały zacząć nosić nowe buty. Nie było to jednak związane z żadnym modowym trendem, lecz z warunkiem koniecznym dla ich dobrego zdrowia. Gdyby któraś z nieostrożności włożyła stare obuwie, jej stan zdecydowanie by się pogorszył, a tydzień w łóżku mógłby się przeciągnąć nawet na kilka miesięcy. Kobieta, która wydała na świat dziecko, była uznawana za nieczystą (nawet jeśli miała anielskie usposobienie). Potem przez jakiś czas nie powinna pokazywać się we wspólnocie kościelnej, a gdy już zdecydowano, że może wrócić na jej łono, należało przed tym odmówić specjalną modlitwę oczyszczającą ją ze wszystkich grzechów.

Noworodka należało ochrzcić w ciągu siedmiu dni od jego przyjścia na świat, a uczynić to można było jedynie w kościele. Wizyty duchownego zaopatrzonego w wodę święconą w domostwie nie uznawano za ceremonię równoważną tej kościelnej. Gdy więc rodzice nie stawili się w domu Bożym w terminie, niestety nakładano na nich stosowną grzywnę. Kościół zarabiał w ten sposób niemałe sumki, gdyż w niektórych przypadkach chrzest przekładano nawet o miesiąc lub dwa. Nieustępliwa aura, szalone wichury i tony śniegu uniemożliwiające wydostanie się z osady nawet konno, według duchowieństwa nie były należytym wytłumaczeniem. Poza nałożeniem kary grzywny Kościół straszył wiernych mrozącymi krew w żyłach historiami, jakoby nieochrzczone dzieciaki były porywane z kołysek przez szatańskie moce, które przeistaczały je potem w swych upiornych pomocników. Zanim więc potomstwo zostało ochrzczone, rodzice żyli w niemałym stresie, gdyż siedmiodniowy termin zaczynali brać sobie nadzwyczaj do serca. Nie dziwota, że wiele rodzin kończyło raczej marnie, zwłaszcza zimą, próbując się do niego dostosować.

Niektórzy pomimo dzikich wichur i siarczystego mrozu pakowali zapasy, odziewali się najcieplej jak tylko mogli i w miarę odświętnie, po czym ruszali z niemowlęciem, zapewne zaskoczonym nagłym obrotem spraw, w drogę. Bywało więc i tak, że ślad po nich ginął i dopiero

wiosna odkrywała smutne ślady w postaci ciał, pozostałe po daremnej próbie dotarcia do kościoła, często oddalonego o wiele kilometrów od miejsca zamieszkania. Jeżeli rodzinie szczęśliwie udało się dotrzeć na miejsce i powrócić, powinna ona w ramach podziękii dla Stwórcy zacząć starać się o kolejnego potomka, którego wychowa oczywiście na parafianina o nieskalanej duszy. Zabranie się do tego, podobnie jak chyba do wszystkiego w dawnej Islandii, nie należało do najłatwiejszych. Dużą rolę odgrywał w tej kwestii Kościół, który wyznaczał terminy, w jakich można było się oddawać podobnym zajęciom, a w jakich absolutnie nie należało się do nich zabierać ze względu na surowe boskie kary. W XVI i XVII wieku do zakazanych należała każda noc przed dniem uznanym za święty. Uciech cielesnych zabraniano także we wszystkie noce czwartkowe roku ze względu na nadejście po nich piątku, który był uważany za czas zadumy i upamiętnienia śmierci Chrystusa na krzyżu. Od łózkowych przyjemności należało się powstrzymać, jeśli podczas najbliższego nabożeństwa zamierzało się przyjąć komunię. Wówczas abstynencja była konieczna przez siedem dni. Niedługo potem kontakty małżeńskie zostały zakazane również przez cały czas trwania ciąży oraz przez czterdzieści dni po porodzie.

Islandzcy rodzice, jeśli już doczekali się pociech, często nadawali im imiona na czyjaś cześć. Mogło to być imię jakiejś znamienitej postaci, z której cała familia była niezmiernie dumna, bądź też imię członka rodziny, którego pozostali najbardziej lubili czy cenili. Zdarzało się i tak, że wyboru dokonywano szybko, ale jeżeli w ciągu kilku dni po tym fakcie przyśnił się rodzinie któryś ze zmarłych przyjaciół lub krewnych, należało zmienić decyzję i nadać dziecku imię osoby, która pojawiła się we śnie. Proceder ten zwano *að vitja nafns*, czyli „wizyta dla imienia”. Sprawę traktowano nader poważnie, takie senne odwiedziny nie mogły się odbyć bez ważkiego celu. Jeżeli dziecku nadano by pierwotnie wybrane imię, na całą rodzinę posypałyby się wyjątkowo nieprzyjemne klątwy, w których z pewnością maczałyby lodowato zimne palce duch nieboszczyka ze snu. Jeśli tuż przed urodzeniem dziecka familia uznała, iż nazwą dziecie imieniem zasłużonego w wielu sprawach dziadka, a on wkrótce potem zakończyłby swój żywot, to byłby znak, iż ktoś u góry się pomylił i że tym imieniem należy ochrzcić drugiego w kolejności syna, który

przyjdzie na świat.

Wychowanie nowego pokolenia było jednym z najważniejszych rodzinnych obowiązków, do którego Islandczycy niezwykle się przykładali. Zasady panujące na wyspie można by porównać chyba tylko do ośrodków szkolno-wychowawczych w antycznej Sparcie. Wyspiarskie dzieci pracowały już od najmłodszych lat, a godziny ich pracy w zasadzie nie różniły się od godzin pracy dorosłych. Wielu małych Islandczyków nie dożywało pełnoletności, a ci, którym się to udało, przekraczali próg dorosłości najczęściej jako kaleki. Wobec potomstwa stosowano żelazną dyscyplinę, oziębłą do granic psychologicznych możliwości. Każde nieposłuszeństwo podrostka było surowo karane, a kara zwykle miała wymiar fizyczny (i nie mówimy tu o naganie w postaci klapsa). Litości nie znały również kilkulatki – za bycie niegrzecznym czy inną przewinę bito je pięściami po twarzy. Popularnym sposobem karania dzieci była chłosta gałęziami; nie były to jednak ledwo co wyrosłe witki, lecz chrust. Wierzano, że kara fizyczna kształtuje charakter młodych i że dzięki niej wyrosną oni na pewnych siebie, silnych psychicznie oraz sprawiedliwych i niezwykle szlachetnych ludzi. Przez wieki na Islandii zwykło się mówić, że *enginn verður óbarinn biskup*, czyli „nikt nie zostaje biskupem bez bicia”.

Mawiano, że bić trzeba, jeśli twoje dzieci w ogóle cię obchodzą. W sytuacji, gdy sąsiedzi jak oparzeni przybiegali na dźwięk dobiegającego z czyjegoś domostwa przerażającego skowytu, nikomu nic nie trzeba było długo wyjaśniać. Mawiano tylko beznamiętnym głosem – *aga með karleika*, „karany w imię miłości”. Cięgi z troski nieustannie świszcząły w mroźnym powietrzu. Miał w tym swe zasługi także Kościół, który przedstawiał wiernym obraz Boga jako niezwykle surowego i wymagającego absolutnego posłuszeństwa sędziego. Duchowni głosili, że wszyscy bez wyjątku powinni mieć w zwyczaju całowanie różgi, którą właśnie zostali dotkliwie skarceni, a za dobroduszną naganę z wdzięcznością podziękować. Ludzie na swej domowej orbicie zaczęli więc wychowywać w ten sposób potomstwo, wychodząc z założenia, że nie ma innego sposobu na uczynienie z nich miłosiernych chrześcijan. Wszyscy rodzice jako sumienni parafianie brali sobie kościelne nauki do serca i wiecznie niegrzecznym pociechom nakazywali po reprimendzie składać pocałunki na narzędziu kary. W najbardziej niewesołym położeniu były dzieci

z rodzin nieprzeciętnie wielodzietnych, czyli na przykład z gromadki nie dziesięciorga, ale osiemnaściorga i więcej. Posiadając tak liczne potomstwo, trudno było rodzicom obdarzyć wszystkie należytą i w miarę jednakową uwagą (swoją drogą, ci, którzy doczekali się takiego dziecięcego zastępu, musieli często zapominać o zakazanych przez Kościół datach). Islandzcy rodzice wybierali więc sobie kilkoro ulubieńców, a resztę traktowali zdecydowanie gorzej niż po macoszemu. Dzieci wyrzucane poza nawias rodziny, które zwykle pełniły funkcję służących, nazywano *olnbogabörn*, czyli mało serdecznie – „dziećmi łokciowymi”, gdyż podobnie jak łokcie odrywały się od linii ciała, tak i one były odłączane od najbliższych.

Na wyspie, zwłaszcza na obszarach bardziej odizolowanych, żyje się raczej gromadnie, ale i długo; wiek zarówno kobiet, jak i mężczyzn należy do rekordowych w światowej statystyce. Islandczycy są najdłużej żyjącym narodem na świecie, pokonali nawet długowiecznych Japończyków, którzy swoje lata tłumaczą świeżymi dostawami obecnego w ich diecie mięsa z islandzkich wielorybów. Niegdyś wyspiarze nie mieli takiego szczęścia; byli raczej słabowici i podatni na choroby. Śmierć zdawała się wszechobecna; Islandczycy czuli jej oddech na plecach. Do XVIII stulecia połowa noworodków nie dożywała pierwszych urodzin. W latach 1750–1850 umieralność maluchów nadal była bardzo wysoka (trzysta-czterysta na tysiąc dzieci). Rodzice tracili więc dzieci, a dzieci rodziców, gdyż dorośli bardzo często odchodzili w młodym wieku. Śmierć była na porządku dziennym. Padali i ludzie, i zwierzęta, te ostatnie pod nieugiętym i bezlitosnym ostrzem tasaka bądź wpływem groźnej pogody. Islandia była bowiem od zawsze miejscem niebezpiecznym, jeśli chodzi o przyrodę i klimat.

Nawet w obecnych czasach, gdy trafi się na obszary odległe od cywilizacji, można zgubić trop lub wpaść w zasadzkę zgotowaną przez naturę, mimo że posiada się wszelkiego rodzaju gadżety przydatne podczas takiej eskapady. Tym bardziej łatwo sobie wyobrazić, że niegdyś ludzie byli wobec przyrody zupełnie bezbronni. Spadali z klifów, gubili się w gęstej mgle, nie mogli odnaleźć drogi do domu, a potem było już za późno. Zabłąkanych na pustkowiach dopadała nieznająca litości hipotermia oraz równie bezlitosny głód. Rozpacz po stracie bliskiej osoby była luksusem, na jaki tylko nieliczni,

a właściwie jedynie najbogatsi mogli sobie pozwolić. Na łyzy nie było czasu ani siły, trzeba było bowiem skupić się na tym, by nie stracić kolejnych członków rodziny. Trwała walka o przetrwanie. Uczucia na ogół okazywano niezbyt chętnie, dlatego każdy niezabliźnioną zadrę w sercu zostawiał tylko dla siebie. Sytuację w dawnej Islandii doskonale opisuje zdanie z pewnego starego dziennika: „Na zewnątrz mroźnie, ale spokojnie. Wczoraj w nocy zmarła moja córka. Muszę dziś przypomnieć Sibbie, żeby załatała balię, bo woda, psia krew, ciągle się marnuje”.

Islandczycy posiadli wiele zalet, a w pomysłowości zdecydowanie górują nad innymi narodami. Dawno temu wymyślili bowiem sposób na przechytrzenie nieuchronnie zbliżającej się kostuchy. Gdy dajmy na to na spotkaniu towarzyskim dwie osoby pomyślały dokładnie to samo, a jedna z nich wyartykułowała swą myśl jako pierwsza, druga otrzymywała jasny sygnał: wkrótce zakończy swój żywot. Aby uniknąć tego losu, czym prędzej musiała wypowiedzieć następujące słowa: „Pan do Nieba jeszcze nie zapraszał, więc mi też nie spieszo”. Potem można już było z ulgą odetchnąć, gdyż poirytowana śmierć musiała sobie znaleźć inną ofiarę. Niestety, nie od wszystkich śmiertelnych zasadzek można było jednak uciec podstępem.

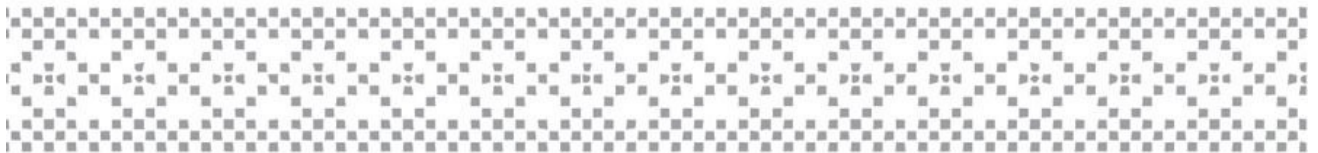
Gdy posłyszano na przykład jakiegokolwiek dziwne dźwięki w którymś z kątów domostwa, a nie daj Boże odgłos łamania się czegoś w miejscu, gdzie nie przesiadywał akurat nikt z członków rodziny, wiadomo już było, że pan domu niechybnie wyzionie ducha. Gdy mimo braku przeciągu zgasła niedawno zapalona świeca, nie mogło być gorzej: czort krył się gdzieś w pobliżu i niestety któryś z domowników za chwilę będzie musiał mu towarzyszyć. Gdy zauważono, że kruk przysiadł na dachu domu, w którym ktoś miał problemy ze zdrowiem, wiedziano, że niestety już się z nich nie wyplącze i że nawet nie warto już go kurować. Jeśli ptak przysiadł i zakrakał w okresie letnim, zwłaszcza podczas jednej z cieplejszych nocy (i wiadomo było, że nie ostrzega przed lawiną lub wiatrem), wiedziano, iż śmierć szykowała się na szarżę. Nie było niestety odwrotu od rychłego zgonu, gdy komuś zabręczało w uszach, co prawda mniej więcej od dwudziestu lat nieczyszczonych. Ze spokojem trzeba było przyjąć myśl o zbliżającym się kresie, gdy dobiegł uszu przypadkowy dźwięk dzwonów, a na mszę wcale się w tym czasie nie szykowano. Na przyszłego nieboszczyka

wyznaczano również osobę, której zaczęło dokuczać podejrzanе zatrucie pokarmowe, podczas gdy dokładnie ten sam posiłek spożyła cała rodzina i pozostali mieli się znakomicie. Aby nie pożegnać się przedwcześnie ze światem żywych, widząc spadającą gwiazdę, trzeba było niezwłocznie mocno zacisnąć powieki i udawać, że nic nieprzeciętnego na niebie się nie wydarzyło. O pomyśleniu życzenia można było zapomnieć.

Jeśli jakiś członek społeczności pożegnał się właśnie z ziemskim padołem, śmiertelne polowanie bynajmniej się nie kończyło. Kiedy podczas pogrzebu przydarzyła się spora ulewa i krople napadały do grobu, żałobnicy już wiedzieli, że niedługo trzeba będzie wykopać następną dół. Jeśli w niezbyt długim odstępie czasu zmarły dwie osoby, śmiertelna wyliczanka nie mogła się prędko skończyć. Wierzano bowiem, że w takim przypadku śmierć zawsze puka trzy razy. W jej dziwnych planach swój udział miały też zwierzęta. Gdy kot odmawiał drzemki przy łóżku osoby chorej, nawet takiej lekko zakatarzonej bądź zmagającej się z niewielką chrypką, to niebawem można było spodziewać się czegoś znacznie poważniejszego, przez co już niestety z łóżka się nie podniesie. Z kocią obecnością był związany również pewien pozytyw. Jeśli kocur wybrał na sen posłanie chorego, chory otrzymywał szansę na wyzdrowienie, nawet jeżeli godzinę wcześniej lekarz stwierdził, że należy się z chorym powoli żegnać i uszykować stosowne odzienie do trumny.

Zazwyczaj Islandczycy nie biadolili nad swym losem i nie załamywali się pod wpływem złych wróżb i omamów. Zgodnie twierdzili, że takie już jest ludzkie przeznaczenie. Krótko i treściwie, jak to oni, kwitowali sprawę słowem *feigur*, czyli w wolnym tłumaczeniu: fatum oszukać się nie da, nie ma co nad kołem życia przesadnie debatować. Powiadali również, że każdego roku umiera natura, a zatem jeśli ona nic nie może wskórać w związku ze swym losem, to także i ludzie nie powinni go roztrząsać.

Bardzo długi piątek



Po Islandii można wędrować bez ustanku. Choć to niewielki kraj, nie ma obawy, że trasy spacerowe nagle i niefortunnie się skończą. Wędrówki można więc planować chyba w nieskończoność, albowiem szczęśliwie zawsze jest dokąd. Staje się to nader przyjemnym uzależnieniem, kiedy tak idzie się i idzie, a do zejścia wciąż ma się niemożliwe połączenie, co krok zachęcające innymi atrakcjami. Słońce przechodzi z nieśmiałej nieporadności pojedynczych promieni w przyjemnie mocny strumień ciepła. Włosy lekko rozwiewa wiatr z południa, a okolica wygląda świeżo i wiosennie, mimo że to już niechybnie schyłek lata. Na Islandii otrzymuje się także niezwykle silną pewność, iż podobny dzień jakieś dwieście, trzysta, czy czterysta i więcej lat temu musiał wyglądać tu niemal identycznie. Przed oczami zieleni najzieleńsza z możliwych. Trzeba często mrużyć oczy, uważając przy tym, aby od tego niespodziewanie hojnego nadmiaru światła nie zboczyć z trasy i nie nadebrać którejś z wszędobylskich owiec na raciczkę. W tle, jak zawsze tutaj, coś majaczy, niby kopczyk, niby niewysoki pagórek, jednakże z pewnego dystansu nigdy nie wiadomo co. By rozwikłać tajemnicę tych zagadkowych proporcji, trzeba mocno wyteńczyć wzrok. Można bowiem przejść tam i z powrotem, i w bardziej typowy islandzki i mglisty dzień nawet owych dziwnie znajomych kształtów nie zauważyć. Aż tu raptem z ponadprzeciętnie gęstej trawy wyrasta więcej aniżeli kilka okien, strapione oczy mrużą się więc jeszcze bardziej. Zdaje się jednak, że to nie żaden majak, a najprawdziwszy budynek, tylko że zaskakująco obficie porośnięty zielenią. Przed niedowierzającymi oczami wyłania się kolejna z długiej listy islandzkich niesamowitości, a mianowicie torfowa chatka.

W przeciwieństwie do pozostałych krajów europejskich, na Islandii nie znajdzie się budynków stawianych w obowiązujących przez wieki różnorodnych stylach. Choć wyspa nie była do końca pozostawiona

sama sobie, a mieszkańcy osiedlili się na niej już we wczesnym średniowieczu, nie znajdziecie na niej okazałych zamków, ratuszy czy majestatycznych obwarowań. Nie ma tu śladu po roslących katedrach, kaplicach czy przepysznych kamienicach pamiętających co najmniej kilka ekscytujących stuleci wstecz, tak rozpowszechnionych na całym Starym Kontynencie. Mimo to Islandczykom nie można odmówić oryginalności i fantazji; stworzyli bowiem własny nietuzinkowy typ budownictwa. Otóż od czasu przybycia wikingów aż do końca XIX wieku na Islandii budowano bardzo oryginalne domy. Trochę w nich było z ziemianki, odrobinę ze skansenowej chatki, i ostatecznie były niepodobne zupełnie do niczego. Mowa o domach torfowych, innymi słowy *torfbærinn*, który opisuje też styl życia w tym jakże niereformowalnym klimacie.

Z kamieni, ziemi i – jak sama nazwa wskazuje – z solidnej ilości torfu tworzono przedziwne konstrukcje, od XIV wieku będące zmyślnym szeregowym połączeniem kilku domostw. W XIX wieku zaczęto budować *burstabær*, czyli kompilacje dawnego wzorca, ale już z drewnianymi fasadami, oczywiście konstruowanymi z desek sprowadzanych z zalesionych i urodzajnych ziem z serca Europy. Każda chatka z zewnątrz prezentuje się jak z bajki, gdyż niemal cała jest pokryta trawą, co daje efekt zbliżony do charakterystycznych siedzib z Tolkienowskiego Sire. Sielskie, tajemnicze i baśniowe, wyglądają raczej na siedliska hobbitów, a nie ludzi. Co innego już izby, a zwłaszcza podziemia; te prezentują się zgoła inaczej. W dolnych partiach domów ciągną się zagadkowe korytarze, z tym że uroku tu już troszkę mniej, za to więcej widmowej grozy. Od pokoju do pokoju, od domu do domu, ciągnie się labirynt, po którym dawniej błąkało się zazwyczaj jakieś trzydzieści kilka osób.

W tym szaleństwie była oczywiście metoda. Chodziło o to, by – jeśli nie zajdzie taka potrzeba – nie opuszczać ciepłego schronienia. Blisko spokrewnieni mieszkańcy budowali więc jedną ogólnodostępną sieć komunikacyjną, by nie za często pojawiać się na dojmującym mrozie czy wystawiać na uderzenie przejmującej wichury. Torfowe domy okazały się idealnym rozwiązaniem dla wyspiarskiego klimatu. Były doskonałymi izolatorami, miały bardzo grube ściany i fenomenalnie chroniły przed szalonymi wichrami. Bez zagrożeń mogły przetrwać niejedną nawałnicę i nie trzeba było się martwić, że zaraz niefortunnie

wywieje, dajmy na to, połowę dachu. Domostwa miały też w sobie co nieco ze znanych nam bunkrów; wrastały w przestrzeń i stawały się częścią krajobrazu. Po setkach lat zamieszkiwania w *torfbærinn* oraz stuleciu przebywania w równie czarodziejsko prezentujących się *burstabær* Islandczycy postanowili, iż pora na znaczące zmiany, i zaczęli masowo wprowadzać się do innego rodzaju domostw. Stąd wzięła swój początek kolejna budowlana tradycja. Przeglądając zdjęcia przedstawiające tradycyjne islandzkie domy, te nowocześniejsze, bo z XX wieku, zawsze odnosi się wrażenie, że zostały zbudowane z drewna, podobnie jak w innych krajach skandynawskich. Nic bardziej błędnego. W Islandii domy zazwyczaj obija się nie drewnem, a niecodziennie blachą, doskonale imitującą cienkie deski. Domy bywają najczęściej kolorowe, w rozmiarach średnich oraz niewielkich, nie rozrastają się zachłannie, mimo że okalające je ziemie pozostają puste i niczyje. Chatki poustawiane nad spektakularnymi, milczącymi fiordami robią niesamowite wrażenie i pomimo barw żywszych aniżeli torf doskonale wpisują się w przestrzeń.

A wracając do domków torfowych – gdy przekracza się próg *torfbærinn*, a zwłaszcza wstępuje na teren podziemnych miasteczek, oszałamia nas momentalnie ich specyficzna woń. Wilgotno i ciemnawo, w obu przypadkach intensywnie. Z aromatu – małe katakumby, a z wyglądu, jeżeli ktoś nie zna prawdy o islandzkim wesołym życiu gromadnym, siedlisko osobowości wyraźnie dyssocjalnej. Na szczęście, to jedynie pozory.

Powietrze w *torfbærinn* stało się lżejsze w okresie, gdy zaczęto korzystać z tak zwanego *baðstofa*, salonu kąpielowego. Przesiadano w nim nadzwyczaj chętnie, dlatego swego czasu wszystkich naszła nagle pewna błyskotliwa myśl. Uradzono, iż niezbędne jest ujście pary w dachu i że na tę okoliczność będzie się w nim budować jedno bądź dwa okienka. Miały one oczywiście specjalne zasuwki na wypadek częstych opadów oraz równie nierzadkich huraganów. Po pewnym czasie jednak Islandczykom znudziło się ciągle zasłanianie i odkrywanie okna. Zaczęli więc kombinować, co by tu zrobić, by pominąć tę irytującą czynność.

Wymyślili *skjár*, czyli ekran. Była to cienka membrana wykonana z krowiego worka owodniowego, uprzednio wysuszonego i rozciąganego, a następnie przymocowywanego do drewnianej

obręczy, najczęściej pochodzącej z beczki. Jako że każdy posiadał przynajmniej jedną krowę, zdobycie i skonstruowanie *skjár* nie było najmniejszym problemem. Ekranów robiono wiele na zapas, za każdym razem gdy któraś z krów się ocieliła. Islandczycy jako naród niezwykle pragmatyczny w tym przypadku również połączyli gospodarność z pierwiastkiem duchowym. Gdy zdarzyło się, iż w *baðstofa* ktoś zakończył swój żywot, co odbywało się dość regularnie, gdyż było tam najmilej i najcieplej, *skjár* przydawała się najbardziej. Wierzono mianowicie, iż przez dachowy ekran wylatuje dusza zmarłego. Dogorywającego lub nieboszczyka układano jak najbliżej *skjár*, tak aby duch nie musiał błądzić po domostwie, strasząc przy okazji domowników.

Z rozpoznaniem, czy ktoś jest jeszcze żywy, czy może już znalazł się po drugiej stronie, wiązało się wiele problemów. Umieranie powinno bowiem odbywać się wedle określonej procedury; na przykład gdy ktoś dokonywał żywota, wcześniej powinien był trzy razy westchnąć. Jeżeli się do tego nie dostosował lub westchnień było dwa, albo gorzej – jedno, oznaczało to, że mógł wcale nie umrzeć, a do jego duszy i ciała zaczynają podstępnie dobierać się podejrzane demony. Bano się wtedy, że duch może pobłądzić i podjąć próbę powrotu do jeszcze niepogrzebanego ciała. Taki scenariusz był najgorszy i niebywale przerażający. Niespokojna dusza zaczynała sprawiać nie lada problemy; buczała, huczała, czyniła zamęt, rzucając przeróżnymi przedmiotami, a nawet z agresją napadając na Bogu ducha winnych krewnych; co więcej, usiłowała ich niekiedy pozbawić żywota. Gdy wszystko jednak odbyło się poprawnie, czyli z ostatnim tchnieniem obciążonym potrójnym sapnięciem, czym prędzej należało *skjár* otworzyć. Gdy uznano, iż duch już spokojnie uleciał w islandzki niebyt, czym prędzej zasłaniano dziurę w dachu, a potem przez najbliższy czas nie wazono się jej odsuwać, na wypadek gdyby dusza zdecydowała się powrócić do domu.

Po stwierdzeniu zgonu nieboszczykowi zamykano oczy, zatykano nozdrza, a ręce krzyżowano na piersi. Wówczas to pojawiały się kolejne problemy islandzkiego dnia codziennego, tym razem związane z pochówkiem. Niby prosta rzecz, dół i stosowna ceremonia, tyle że na Islandii wykopanie dołka w pewnym następczym trudności sezonie znanym jako zimowy było nie lada wyczynem. Zimą, jak wiadomo,

również od umierania się nie powstrzymywano, a jeśli zaspasy nie malały, to co niektórzy – i naturalnie co szczęśliwsi – mogli zwłoki umieścić w osobnej izbie, aby tam zaczekały na odpowiednią aurę oraz odpowiedni ceremoniał pożegnania. Nie wszyscy jednak mogli sobie na to pozwolić, na przykład ci, którzy zwyczajnie wolnego pokoju nie posiadali, a do tej grupy zaliczała się duża część Islandczyków. W trudach zimowej aury musieli więc podjąć próbę przetransportowania zmarłego do najbliższego kościoła, co podobnie jak w kwestii zorganizowania chrztu nie było łatwe. Ci, którym udało się dowlec nieboszczyka do świątyni, mogli odetchnąć z ulgą. Tam zmarły mógł spokojnie czekać do pierwszych rozsądniejszych roztopów, a że przebywał w miejscu świętym, to zarówno nad jego głową, jak i głowami całej rodziny nie krążyły wygłodniałe demony starające się zagarnąć zbłąkaną duszę dla siebie. Po dokonaniu żywota zgodnie ze starym obyczajem Islandczyka chowano w białej trumnie, *kistu*. Co ciekawe, bardzo podobnie nazywają się niektóre z islandzkich gór, na które zwykle mówi się *kistufell*.

Zanim ciało zostało zawiezione do kościoła, a następnie pochowane, przy nieboszczyku odbywało się czuwanie. Trwało ono zazwyczaj trzy doby w domostwie, a potem kolejne trzy w kościele. Czuwały zazwyczaj dwie osoby, młode kobiety. W ciągu dnia do zmarłego jedynie się zaglądało, ale w nocy należało mieć się na baczności i nie można było ani na moment zmrużyć oka. Uważne wpatrywanie się w zmarłego miało odstraszać złe moce. Gdy nadchodził dzień pogrzebu, Islandczycy zaczęli śpiewać. Nigdy nie szlochali, nie rozprawiali o stracie, nie przytaczali historii związanych ze zmarłym i jego licznymi zaletami. Po prostu śpiewali. W kościele nie odprawiano ceremonii; zbierano się jedynie, aby ponucić stosowne hymny. Po wyniesieniu trumny z kościoła trzy razy okrążano go w uroczystym pochodzie; następnie chowano ciało na przykościelnym cmentarzu. Sprawa komplikowała się, gdy zmarły był banitą lub z tylko sobie znanych pobudek postanowił pożegnać się z życiem na własną bezbożną rękę. Wtedy sprawa śpiewanej ceremonii i pochówku nie wchodziła oczywiście w grę. Miejscem spoczynku dla podobnych delikwentów stawały się okoliczne łąki, usytuowane w stosownym oddaleniu od domu Bożego.

Niegdyś po pogrzebie każdy odchodził w swoją stronę i czym prędzej

wracał do naglących zajęć. Od XIX wieku bardziej powszechne stały się krótkie, rodzinne spotkania popogrzebowe. Lata mijały i z roku na rok każde odejście celebrowały coraz dłuższe ceremonie. W obecnych czasach po pogrzebie urządza się niezwykle huczną *erfidrykkja*, islandzką wersję stypy o charakterze wyraźnie bankietowym. Jest to, mówiąc wprost, wystawne przyjęcie pogrzebowe, na którym wspomina się zmarłego, ogląda fragmenty jego ulubionych filmów czy słucha muzyki, którą najbardziej lubił. Niektórych mogą zadziwić sceny z islandzkich pogrzebów, na przykład gdy pogrzebnicy zaczynają na cały regulator puszczać utwory grupy AC/DC, wykonując przy tym stosowne do linii melodycznej ruchy. Podczas *erfidrykkja* Islandczycy starają się wykrzesać z siebie jak najwięcej pozytywnej energii, wspomagając się odpowiednimi trunkami. Gwoli ścisłości, bardzo licznymi, w których procent zawartego alkoholu przekracza mniej więcej czterdziestkę.

Zanim jednak dojdzie do hojnie zakrapianej *erfidrykkja*, informacja o zgonie trafia na łamy prasy. Na Islandii nie ma zwyczaju drukowania pojedynczego nekrologu; przyjęło się natomiast informowanie o śmierci w kilku krokach. Najpierw drukuje się więc krótkie zawiadomienie, następnie informację o pogrzebie, a w dalszej kolejności dowolną liczbę nekrologów, które czasem przypominają długie poematy. Bliscy zmarłego mogą przysyłać indywidualnie napisane kondolencje, najczęściej ubrane w formę niezwykle czułych listów spisanych w pierwszej osobie. Nekrologów oraz kondolencji kierowanych do jednej osoby może być naprawdę wiele i mogą się one ukazywać nawet przez kilka dni.

Z tematem śmierci łączyły się także inne kwestie. Najbardziej okrutnym zapiskiem w islandzkim prawie był ten dotyczący rozwiązania farmy w przypadku, gdy umrze jej właściciel. Kobiety wedle prawa nie mogły dziedziczyć majątków. Gdy ich mężowie przedwcześnie umierali, co niefortunnie działo się bardzo często, zostawały z niczym, gdyż nie posiadały zezwolenia na samodzielne prowadzenie farm. Zanim ciało małżonka zdążyło ostygnąć i doczekać się ceremonii pogrzebowej, do drzwi już łomotały władze pragnące czym prędzej obejrzeć posesję. Obejrzeć naturalnie po to, by wszystko wycenić, a następnie wystawić ją na aukcję, jeżeli była własnością farmera. Wdowa mogła zabrać zaledwie kilka najpotrzebniejszych

rzeczy, a dzieci wyłącznie odzież i zabawki; reszta przepadała. Gdy wdowie zdarzyło się natrafić na kogoś życzliwego w gromadzie niezbyt przyjemnych urzędników, zwykł on zachodzić na farmę dzień przed zjawieniem się oficjalnej grupy urzędniczej. Nie mówił wiele, wystarczyło, iż wypowiedział frazę *fela sæng þína* – „lepiej schowaj swoją kołdrę”. *Sæng*, czyli kołdra, była dla każdego Islandczyka przedmiotem niezwykle cennym, nie tylko ze względów materialnych, lecz także emocjonalnych. Często bowiem posiadało się jedną kołdrę od urodzenia aż do śmierci. Należało więc schować ją bardzo dobrze, gdyż urzędnicy, znając wartość pościeli wypełnionej doskonale ogrzewającym puchem, wszczynali w domostwach karczemne awantury, jeśli nie mogli ich znaleźć. Wtedy trzeba było wzruszać ramionami i tłumaczyć, iż w jakimś momencie niedostatku po prostu się ją sprzedało.

Islandzkie kołdry wypełniał nie byle jaki puch, bo pardwowy albo jeszcze lepiej (i ekskluzywniej) – kaczy, pochodzący od kaczek zwanych edredonami. Jest niesamowicie miękki i niewyobrażalnie ciepły, jedyny w swoim kaczym rodzaju. Na mocy średniowiecznego prawa islandzcy właściciele ziemscy do dziś mogą zbierać puch ze wszystkich gniazd edredonich, jakie znajdą na swojej ziemi. Stąd właśnie wysoki popyt na przeróżne islandzkie wysepki i tereny nadbrzeżne, tam bowiem znajdują się tereny lęgowe tych niezwykłych kaczek. Już od średniowiecza mieszkańcy wyspy na punkcie pierza edredonów mają niepojętą obsesję. Z niezwykłym puchem bywało podobnie jak z sosnami syberyjskimi: każdy robił, co mógł, aby wziąć ów luksus w posiadanie. Ta samowolka łączyła się oczywiście z mnóstwem niezbyt prawych przekrętów i sąsiedzkich figli. Dziś puch nadal jest towarem drogocennym, a jego cena może sięgać dwóch, trzech tysięcy dolarów za kilogram, którym wypełni się raczej cienką kołdrę. Potem można ją zakupić za dziesięć tysięcy dolarów.

Jeśli farma stała na działce uznawanej za znakomitą (czyli albo nieprzeciętnie żyzną, albo graniczącą z morzem, albo zamieszkaną przez kolonię edredonów), wówczas nawet nie trudniono się aukcjami i decyzja o tym, w czyje ręce zostanie przekazana ziemia, zapadała w kilka minut. Możliwości były dwie – bogacił się albo Kościół, albo władza świecka. Wdowa musiała szukać pomocy u rodziny, zazwyczaj raczej niechętniej lub niezdolnej do jakiegokolwiek formy wsparcia. Po

stracie męża życie wdów i sierot stawało się jeszcze trudniejsze: pracy już wcześniej było nadto, a teraz dochodził jeszcze najczęściej przymus służby. Niekiedy wdowa nie mogła zabrać ze sobą wszystkich dzieci, a zaledwie jedno bądź dwoje. Kolejna dwójka z rodzeństwa była przejmowana razem z posesją jako darmowa siła robocza; inne dzieci były odsprzedawane i wysyłane na inne farmy. Ludzi, których los ułożył się w ten sposób, nazywano *niðursetningar*. To określenie można uznać za zlepek znaczeniowy słów „plebejusze”, „nieudacznicy” i „niedojdy”; ów status wiązał się zatem z uczuciem wstydu. Takie podejście było całkowicie bezduszne. Optymistycznie można sądzić, że z czasem ludzie poszli po rozum do głowy i zmienili swój stosunek do tych, którym się w życiu zwyczajnie nie powiodło. Niestety, do podobnych przypadków dochodziło jeszcze w XX wieku, a każda islandzka rodzina ma wiele podobnie zatrważająco smutnych historii. Ludzie zwani *niðursetningar* byli całkowicie podporządkowani urzędnikom i nie mogli decydować o własnym losie nawet po przekroczeniu progu dorosłości. Jeżeli *niðursetningar* chciał opuścić farmę lub się ożenić, musiał najpierw zdobyć specjalne pozwolenia, które często bez podania przyczyny bywały odrzucane. Jeżeli już je jakimś cudem dostał, musiał zaciągnąć w gminie dług, ot na weselne wydatki. W najgorszej pozycji znajdowały się kobiety, gdyż nawet tego im odmówiono – z tej przyczyny, że za swą pracę przez lata nie otrzymywały wynagrodzenia, a jedynie jedzenie i nocleg.

Od wieków niewiasty głowiły się nad przyczynami tych niesprawiedliwych i okrutnych praktyk, gdyż na Islandii kobiety były od zawsze mężczyznami. W języku islandzkim oczywiście występują zaimki precyzujące płeć; niegdyś jednak uznano, iż rozprawiając o nacji jako narodzie, Islandczycy niezależnie od płci będą określani jako „oni”. Tym samym osoba, o której się mówiło i której płci na początku wypowiedzi nie skonkretyzowano, z automatu otrzymywała formę „on”. W XIX wieku Islandki zaczerpnęły inspirację do zmian od Amerykanek oraz Angielek i wkrótce po nich zaczęły wyzwalać się spod krzywdzących norm. Zaczęło się od pojedynczych przypadków buntu (wszczynanego zwykle w sytuacji małżeństwa zawieranego z przymusu). Kolejną kwestią nakłaniającą wyspiarki do coraz śmielszych protestów było założenie, że żona i dzieci stanowią własność męża, a co się z tym naturalnie wiąże – nie mogą

podejmować decyzji. Na wyspie było powszechnie znane stare i niezbyt przyjazne kobietom przysłowie: *Þar sem kona tekur stjörn, það swaying skottið án þess að höfuð* – „Gdzie kobieta przejmuje panowanie, tam chwieje się ogon bez głowy”.

Nieśmiała rewolta krążyła od domu do domu, aż w końcu postąpiła o krok dalej. Stało się to za przyczyną jednej z czołowych postaci islandzkiego feminizmu, żyjącej w XIX wieku Bríet Bjarnhéðinsdóttir. To właśnie dzięki jej działaniom kobiety zaczęły myśleć o tym, że i one powinny móc decydować o sprawach istotnych dla własnego państwa. W efekcie tego Islandki ostatecznie postanowiły włączyć się do świata polityki i uzyskać w końcu upragnione prawo do głosowania. Prócz darów oratorskich, które ujawniały się w śmiałych i otwierających umysły kobiet przemowach, Bríet posiadała też smykałkę kierowniczą. Powzięła zamiar założenia pierwszego na wyspie Związku Praw Kobiet; w 1894 roku stał się on faktem. Nagle wyspę zaczęły opanowywać sufrażystki, a na ich sposób myślenia nawracało się coraz więcej kobiet. To, co się wówczas działo, panom nie mieściło się w głowach, i trzeba przyznać, że z tego stanu rzeczy byli więcej niż niezadowoleni. W 1912 roku zakończył się trwający około miesiąca strajk kobiet zatrudnionych w fabryce rybnej w Hafnarfjörður. Zapisał się on w historii Islandii złotymi zgłoskami – było to pierwsze tak duże działanie podjęte przez kobiety oraz pierwszy zorganizowany strajk, jaki kiedykolwiek odbył się na tej wyspie.

Im dalej w czas, tym było goręcej i bardziej kontrowersyjnie. 19 czerwca 1915 roku starsze pokolenie panów o mało co nie zakończyło żywota w wyniku szoku – Islandki zdobyły prawo zezwalające na udział w wyborach. Był to krok milowy, tyle że niezbyt satysfakcjonujący, gdyż przywileje zostały nadane jedynie paniom, które uznano za dorosłe pod względem umysłowym, czyli te już po ukończeniu czterdziestego piątego roku życia. Pozostałe młodsze Islandki nie poddały się i nadal zażarcie broniły swego zdania. Po pięciu latach debat i wyjątkowo emocjonujących utarczek uprawniono do głosowania wszystkie kobiety. Można by to uznać za niezwykle pomyślne zakończenie pierwszej feministycznej batalii w kraju. Ale to nie był koniec. Działania feministek doprowadziły do tego, że w 1922 roku w skład parlamentu weszła pierwsza kobieta, Ingibjörg H. Bjarnason. Kolejnym ważnym krokiem było zdarzenie z 1929 roku,

gdy Auður Auðuns jako pierwsza kobieta w historii Islandii ukończyła prawo. Auður jako pierwsza kobieta została także burmistrzem Reykjavíku, a swój urząd piastowała w latach 1959-1960. W 1959 roku Rannveig Þorsteinsdóttir została pierwszą kobietą, która otrzymała prawo przemawiania przed Sądem Najwyższym, a zważywszy na okoliczności, było to niewiarygodne osiągnięcie.

Islandczycy przez wieki utrzymywali się między innymi z rybołówstwa, a że łowili zazwyczaj mężczyźni, to ich trudy gloryfikowano najgłośniej. Kobiety pierwiastek rzadko kiedy bywał doceniany, a na wyspie panował niezmiennie patriarchalny model rodziny. Te same niesprawiedliwe normy obowiązywały w pracy. Kobiety z samej racji bycia kobietami i niezależnie od posiadanych umiejętności pozostawały na przegranej pozycji; lepsze stanowiska były obsadzone mężczyznami gorzej wykształconymi lub też niemającymi żadnego doświadczenia. Zatrudnione na tych samych co oni posadach, kobiety nie wiedzieć czemu otrzymywały także o wiele gorsze wynagrodzenie. Wszystkie Islandki tej sytuacji miały już serdecznie dość. Ale próby podejmowania merytorycznych dyskusji na temat szeroko rozumianego równouprawnienia spełzły na niczym. Do czasu. Czterdzieści lat temu nadszedł wreszcie dzień, który w spektakularnym stylu przeszedł do historii Islandii i historii ruchów feministycznych. Choć był to zaledwie dzień, zmienił wszystko i w temacie damsko-męskim rozpoczął prawdziwą rewolucję. Wtedy to Islandki władczo krzyknęły: *Enda!* – „Koniec”!

Rok 1975 został okrzyknięty przez ONZ Rokiem Kobiet. Gdy dowiedziały się o tym przedstawicielki najważniejszych kobiecych organizacji na Islandii, zebrały się, aby ustalić, w jaki sposób należy tę sytuację uczcić. Feministki należące do grupy o intrygującej nazwie Czerwone Pończochy zaproponowały, iż powinno się zorganizować ogólnokrajowy strajk. Jego przekaz miał być prosty i zasadny: „Mężczyźni, obudźcie się!”, „Doceńcie w końcu pracę kobiet!”. Choć nie wszystkie panie były nastawione w równym stopniu radykalnie, to pomysł bojkotu zawładnął ich wyobraźnią. Po kilku gremialnych naradach ustalono, że zamiast strajkować w najbardziej znany i popularny sposób, wszystkie islandzkie obywatelki wezmą tego samego dnia wolne na żądanie. Tego żaden pracodawca nie mógł im zakazać, gdyż byłoby to przecież niezgodne z obowiązującym prawem.

Co istotne, do protestu miały dołączyć także gospodynie domowe – zwłaszcza one. Mimo że przez cały dzień wykonywały wiele obowiązków, większość mężczyzn nie uznawała ich „działalności” za prawdziwą pracę.

Przedstawiciele płci męskiej początkowo wyraźnie pokpiwali sobie z tego planu, w ogóle nie dowierzając, że może on zostać wprowadzony w życie. Nadszedł jednak wkrótce pewien listopadowy dzień i miny wyraźnie im zrzedły. 24 października 1975 roku panie jak wymyśliły, tak też zrobiły – większość Islandek postanowiła w owym dniu przerwać pracę. Te, które pracowały na etacie, do pracy się nie stawiły. Gospodynie odeszły natomiast od przyrzadzonych w połowie posiłków, zaprzestały sprzątanía i ni z tego, ni z owego oddały opiekę nad dziećmi w inne ręce. Wszystkie razem postanowiły wcielić się w role dotąd pełnione przez mężczyzn. Rozpoczęły więc – uznawane za typowo męskie – wielogodzinne przesiadywanie w kawiarniach nad kawą i papierosami. Niesamowitym sukcesem akcji okazała się frekwencja; do strajku włączyło się ponad dziewięćdziesiąt procent Islandek. Prócz kawiarnianych pogawędek kobiety zbierały się również w centrach osad w całym kraju, aby słuchać przemówień działaczek feministycznych i dyskutować o trapiących je nierównościach. W tłumie można było zobaczyć zarówno młodziutkie dziewczęta, jak i starsze panie; elegancko odziane damy i pracownice fabryk w robotniczych fartuchach. W całym kraju zawrzało.

W tym czasie niezmiernie zaskoczeni obrotem spraw mężczyźni rozpaczliwie usiłowali przetrwać. Niektóre szkoły, sklepy oraz fabryki trzeba było zamknąć, gdyż nie było komu w nich pracować. Dla pozostałych instytucji największym zmartwieniem okazały się dzieci dokazujące w najlepsze w biurach czy w halach, których zdesperowani ojcowie nie mieli z kim zostawić. Jako że strajk trwał do późnego wieczora, a większość Islandczyków nie posiadała umiejętności gotowania, wielkim problemem okazało się przejmujące burczenie w brzuchach. W jadłodajniach najczęściej pracowały kobiety; mężczyźni pozostawieni sami sobie nie mieli wyjścia, obiad na mieście odpadał. W kolejnych dniach prasa donosiła, iż z półek sklepów błyskawicznie poznikały wszelkiego rodzaju kiełbaski, jedna z niewielu przekąsek, z której przyrządzeniem potrafiła sobie poradzić większość Islandczyków. Na mężczyzn padł blady strach o przyszłe pokolenia,

wszyscy bowiem znali popularne od dawien dawna porzekadło, że *dóttir oft tekur skikkju móður* – „córka często wkłada płaszcz matki”.

Ów nietypowy dzień Islandczycy nazywają „długim piątkiem”, gdyż według męskiej części narodu ciągnął się on wręcz nieznośnie długo. To niewiarygodne, że zaledwie jeden piątek, choćby nawet i długi, spowodował prawdziwą rewolucję. Kobiety, które uczestniczyły w tamtych wydarzeniach, wspominają, że czuły coś niesamowitego. Odkryły, że mają w sobie nawzajem oparcie i jeżeli będą trzymać się razem, ich sytuacja w końcu się poprawi. Zmiana rzeczywiście nadeszła i zaskoczyła wszystkich; mężczyźni zaczęli zauważać rażące niesprawiedliwości w państwie i postanowili... po prostu się zmienić. Chyba w żadnym innym kraju emancypacyjna rewolucja nie przebiegła tak gładko. Równo pięć lat po słynnym strajku Islandia jako pierwszy demokratyczny kraj na świecie wybrała w głosowaniu kobietę na prezydenta. Głową państwa została wówczas Vigdís Finnbogadóttir, która ze względu na brak równych sobie konkurentów piastowała swe stanowisko przez bagatela następne szesnaście lat. Podobno dziś wyśmienie jest być Islandką. A nawet wybornie, gdyż wedle wyników różnych sondaży przedstawicielkom tej nacji żyje się niemalże najlepiej na świecie. Prawdą jest, iż Islandię można uznać za kraj, gdzie feminizm stał się niemalże religią. A tak wyrównanych jak na wyspie praw płci można ze świecą szukać.

Islandia, choć nadal namiętnie dba o tradycję, konserwatywna nie jest już wcale. Kwestie społeczne, które w innych krajach są częstokroć sporym problemem, tutaj zostały dawno rozwiązane: równość płci, orientacja seksualna, tolerancja, od religijnej po polityczną. Z nietolerancyjnych wobec cudzego odmiennego zdania potomków wikingów Islandczycy przeobrazili się w społeczeństwo pozytywnie nastawione do innych i elastyczne. W 1996 roku zalegalizowano tu związki partnerskie osób tej samej płci, a podczas głosowania w tej sprawie zaledwie jedna osoba była przeciwna przyjęciu ustawy. W 2000 roku umożliwiono parom tej samej płci adopcję dzieci, ale tylko tych biologicznych, należących do jednego z partnerów. Rok 2006 przyniósł kolejne zmiany; przyznano wówczas parom homoseksualnym pełne prawa adopcyjne. Małżeństwa osób tej samej płci są na wyspie legalne od 27 czerwca 2010 roku. W ten sposób Islandia stała się dziewiątym krajem na świecie, który przyznał

parom jedнопłciowym prawo do wzięcia ślubu. W 2016 roku, podążając za innymi europejskimi państwami, rząd wyspy zniósł ochronę uczuć religijnych, uznawszy, że wolność słowa jest najbardziej istotnym składnikiem jej społeczeństwa. Od 1940 roku za obrażenie czyichś uczuć religijnych groziła tu kara grzywny lub pozbawienia wolności do trzech miesięcy. To naprawdę niezwykle, że Islandczycy są tak bardzo otwarci na odmienne racje, poglądy oraz style życia i nikogo w żaden sposób nie negują. Dzięki temu pozostają w światowej czołówce najbardziej liberalnych i życzliwych narodów.















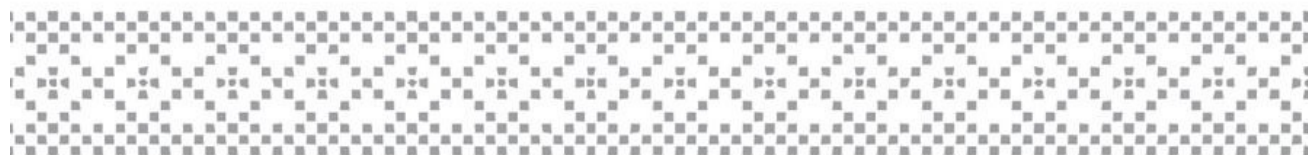








Goście, goście jada!



W torfowych domostwach upragnionego światła najmniej było oczywiście w okresie zimowym. Trudno się żyło wówczas w *torfbærinn*, gdyż najczęściej okalał je dość upiorny mrok, a wystające gdzieś długiaste źdźbła trawy nie tylko w umysłach dzieci przerażały się w wyjątkowo upiorne straszidła. Tę jakże ponurą przestrzeń próbowano rozświetlać na wszelkie dostępne wówczas sposoby, co było niestety zadaniem bardzo trudnym. Każdy skrycie marzył, by dokonywać tego za pomocą świec, ale nie każdy mógł sobie na to pozwolić z uwagi na fakt, że świece należały do bardzo kosztownych produktów. Najczęściej wykonywano je z wosku pszczelego, a że pszczół na Islandii nigdy nie było, musiano sprowadzać je z innego lądu. Przeciętnie sytuowani obywatele zapalali więc świece tylko podczas najbardziej istotnych momentów w roku. Najpowszechniej natomiast były stosowane w kościołach; nie jednak podczas wszystkich zimowych nabożeństw, a jedynie przy najważniejszych okazjach.

Około roku 1400 mieszkańcy wyspy nieoczekiwanie odkryli, iż nie muszą wcale odkładać specjalnych oszczędności na pszczele cacka, gdyż mogą zacząć wytwarzać własną wersję świec. Co więcej, ze względu na to, że miały one być wykonane ze zwierzęcego tłuszczu, czyli materiału ogólnie dostępnego, niemal każdy Islandczyk mógł stać się posiadaczem ich dotąd niewyobrażalnej ilości. To cudowne odkrycie zmieniło wszystko. Wieść o fantastycznej, innowacyjnej koncepcji w szalonym tempie dotarła do wszystkich mieszkańców torfowych posiadłości i na wyspie zapanowała wręcz nieopisana radość. W ten sposób świece weszły do powszechnego obiegu, a w *torfbærinn* stała się jasność. Jasność oczywiście kameralna, a taką właśnie najbardziej upodobali sobie Islandczycy. Produkowano świece przeznaczone dla wszystkich domowników, które palono

w pomieszczeniu, gdzie zasiadała cała rodzina, oraz świece prywatnej. Był to doskonały prezent na każdą okazję, a obdarowywani Islandczycy niezmiernie się z niego cieszyli. Ten, kto posiadał świecę, zyskiwał wolność. Gdy nie chciało mu się spać, a reszta rodziny już dawno chrapała, mógł zapalić własną świeczkę i oddać się jakiemuś przyjemnemu zajęciu, na przykład czytaniu sag. Dzięki prywatnym świeczkom na wyspie zapanował duch romantyzmu. Trudno było oddawać się zalotnym konwersacjom w obecności kilku rodzin zgromadzonych w głównej izbie, dlatego przyszłe pary i pary posiadające świece miały okazję szeptać sobie miłe słówka i spoglądać w oczy na osobności, gdy wszyscy w najlepsze drzemali.

Popularyzacja świec była dla wszystkich tak niesamowicie radosnym wydarzeniem, iż każdy nowy świeczkowy sezon postanowiono odpowiednio celebrować. Gdy rozpoczynały się zimowe szarugi i na użytek czekały setki przygotowanych do nowej pory roku świec, świętowano *ljósatími*, czas światła. Początkowo nazywano tak wieczór, podczas którego zapalano pierwsze świece, a który wypadał w połowie września. Podniosła i płomienna atmosfera tak się jednak Islandczykom spodobała, że stwierdzili, iż miniaturowe święto powinni obchodzić za każdym razem, gdy zapalają świeczki. W ten sposób terminem *ljósatími* nazywano wieczorną porę, której towarzyszyły rozbłyśki płomieni. *Ljósatími* poprzedzała tak zwana *rökkurstund*, czyli godzina zmierzchu. Był to antrakt pomiędzy wyjściem z ciemności a domowymi narodzinami jasności. *Rökkurstund* zaczynała się, gdy na zewnątrz niechybnie już zmierzchało. *Rökkurstund* była zbyt jasna, aby opłacało się zapalać świece, i zbyt ciemna, aby móc robić coś pożytecznego. Uczyniono więc z niej wypełnioną ciszą godzinę wypoczynku przed rozpoczęciem aktywności *kvöldvaka* – ot, taki czas przyjemnego odrętwienia. Dorośli przerywali i tak zresztą niezbyt częste rozmowy, a jeśli już się odzywali, to szeptem. To samo nakazywano również dzieciom, a jeśli ich psotnych zabaw nie dało się wyciszyć, to po prostu wypraszano je na dwór. Natomiast ceremoniał zapalenia świec zawsze należał do gospodyni, uważanej za dobrą, opiekuńczą duszę domu.

Gdy w XIX wieku na Islandię dotarły lampy naftowe, nic raczej nie zapowiadało ich późniejszej wielkiej popularności. Wyspiarze od zawsze byli ludźmi z natury niezbyt lubiącymi zmiany, nieważne jakie

by one nie były. Islandczycy są często na przysłowiowe *ekki*, „nie” – niezależnie od tego, czy chodzi o modyfikacje potężne, umiarkowane, czy niewielkie. Na nowość, jaką były owe lampy, także spoglądali z nieufnością, a nawet i ze zniesmaczeniem – i to przez naprawdę długi czas. Dotąd przyzwyczajeni do stonowanego, przygaszonego światła, otrzymali nagle możliwość głębokiego wglądu w zakamarki swych *burstabær*, i to nie ruszając się z miejsca. Już choćby ten fakt wydawał im się nieprawdopodobny i podejrzany. Koniec końców, islandzcy torfowicze nigdy lampom naftowym do końca nie zaufali. Wydawało im się także, iż owe lampy z pewnością muszą być od wysłużonych na przestrzeni stuleci świec zdecydowanie bardziej łatwopalne. Lampy zawojowały więc rynek nowego budownictwa, czyli klasycznych skandynawskich domków – wszędzie indziej drewnianych, a na Islandii blaszanych.

Gdy myśli się o islandzkich domostwach, jako pierwsze z wielu tamtejszych detali przychodzi do głowy dzbanki. Dzbanki przeróżnych kolorów i kształtów, dzbanki poustawiane wszędzie. Dzbanków nigdy nie było za dużo; nie można było przecież przewidzieć, jak dużo będzie ich potrzeba, zwłaszcza że rodziny były wielopokoleniowe i wielodzietne. Barwne emaliowane dzbanuszki stały się więc w ogólnej wyobraźni typowym elementem skandynawskiego wyposażenia, niegdyś niebywale praktycznym, a dziś zazwyczaj romantycznym nawiązaniem do przeszłości. Emaliowane dzbanki piętrzą się na wyspie, przyciągając wzrok kolorami zarówno w przestrzeniach prywatnych, jak i publicznych. Z kuchni i łazienek przeskoczyły także figlarnie do restauracji i kawiarenek, by tam stać się niezwykle popularnym elementem wystroju.

Prócz osobliwej i rozrastającej się kolekcji dzbanków, z której właściciele byli niezwykle dumni, wielką popularnością cieszyła się wówczas jedna z najbardziej interesujących form wyspiarskiego rzemiosła, czyli *rúmffalir*. Pojęcie to jest mariażem dwóch islandzkich słów – *rúm*, czyli „łóżko”, oraz *ffalir*, „deska”. *Rúmffalir* używano już w staroislandzkich domostwach. Królowały w nich nietypowe łóżka wbudowywane w pochyłą część dachu w taki sposób, że jedna ze stron była otwarta na przejście pośrodku. Wszyscy członkowie rodziny spali zazwyczaj w jednym pomieszczeniu, tak więc przestrzeń legowiska była sferą bardzo prywatną, deski natomiast ją porządkowały i nadawały

bardziej intymny charakter. Takową deskę od łóżka można było wsunąć w jego krawędź, wykorzystując jako rodzaj bariery, prowizoryczne biurko bądź tacę, na której stawiano posiłek. *Rúmfjalir* były dla wielu pokoleń Islandczyków niezwykle cenne, podobnie jak kołdry, tyle że akurat ich urzędnicy dziwnym trafem nie konfiskowali. Z czasem *rúmfjalir* przestały pełnić jedynie funkcję praktyczną i zostały jednym z ważniejszych elementów wystroju wnętrz. Rzeźbiono w nich na przykład kunsztowne wzory nawiązujące do zdobień celtyckich oraz wikińskich. Zazwyczaj jedna deska służyła właścicielowi przez całe życie, tak że dbano o nią szczególnie pieczołowicie, co jakiś czas ją odnawiając. Islandczycy to wciąż naród bardzo sentymentalny. Wiele osób namiętnie kolekcjonuje rodzinne pamiątki. *Rúmfjalir* można oglądać na przykład w The National Museum of Iceland (Þjóðminjasafn Íslands) w Reykjavíku.

Jeżeli nieszczęśliwym trafem zaginąłby któryś z pokrytych emalią dzbanków, nie należało wszczynać żadnych poszukiwań, nawet jeśli naczynie było jednym z ulubionych, gdyż zapewne zostało zagrabione przez elfy. Próba odebrania dzbanka z pewnością przyniosłaby niezbyt przyjemny skutek – rzucenie na poprzedniego właściciela klątwy.

Dzbanków zawsze należało mieć pod ręką sporo, ponieważ na farmach pojawiali się goście, a czasy były takie, iż zjawiali się zazwyczaj bez zapowiedzi. Na szczęście dla gospodarzy, niespodziewaną wizytę można było na rozmaite sposoby sobie przepowiedzieć. Gdy kogoś uparcie swędziała głowa (pomimo wielokrotnego jej podrapania), to był to znak, iż gość dosłownie przed chwilą opuścił swoje domostwo, a co więcej – nie nadchodzi z daleka, a z sąsiedztwa. Goście byli za płotem, gdy któremuś z domowników mimo wczesnej godziny zachciało się ziewnąć lub gdy pomimo spożycia obfitej kolacji nadal miało się ochotę na dodatkową przekąskę. Wizytę zapowiadał nawet... kot liżący się po brzuchu. Nie mógł jednak tego robić w standardowej, wygiętej kociej pozie, a z wyprostowanymi łapkami. Jeśli pies wyciągnął na leżąco zarówno przednie, jak i tylne łapy, ktoś niebawem miał się znaleźć u drzwi. Goście byli tuż-tuż, gdy wtem wcześniej niezauważona mucha zaczynała krążyć po *baðstofa*, czyli salonie kąpielowym. Jeśli irytujący owad nie przestawał bzyzczyć i w trakcie swej buczącej arii przysiadł na jakiejś osobie, mogła ona spodziewać się nagłej wizyty. A gdy

zamierzano właśnie orzeźwić się filiżanką mocnej, lecz niestety niezbyt aromatycznej w XIX wieku na Islandii kawy, a czajnik zaczął wydawać niestandardowe piski, można było zaraz wstawiać wodę na kolejną porcję naparu, gdyż goście prawie łomotali w drzwi. Poza tym gdy do domku torfowego przybywał, dajmy na to, od dawien dawna niewidziany krewny lub też zbłąkany wędrowiec, należało go bacznie obserwować. Jego intencje można zaś było odczytać, czerpiąc sygnały z własnego nosa: mianowicie jeśli zaczynał lekko swędzieć z prawej strony, oznaczało to, iż gość jest osobą o dobrym sercu i szlachetnych intencjach. Gorzej było, kiedy załaskotała lewa strona nosa. Wtedy czym prędzej należało skrócić wizytę i jak najszybciej pozbyć się podejzranego osobnika, gdyż lewostronna łaskotka donosiła o jego złych zamiarach oraz dwulicowości.

Jeżeli gość zjawiał się w dzień, powinien zapukać trzy razy. Do islandzkich drzwi po trzy razy łomotano od wieków, a w obyczaju tym tkwił zlepek starodawnych zabobonów i tradycji chrześcijańskiej. Trójka była symboliczną cyfrą oznaczającą Trójcę Świętą, a dodatkowo numerem magicznym, który chronił domostwo przed wszelkiego rodzaju siłami zła. Jeśli zapukań było dwa albo cztery i więcej, broń Boże nie należało otwierać, gdyż u progu z pewnością czekał znikczemiały duch, demon lub inne parszystwo. Kiedy mimo wszystko gospodarz otworzył drzwi i pomyślnie ujrzał przed sobą któregoś ze swoich druhów, gość całował go w usta i wypowiadał powitalne zdanie: *Sæl vertu!*, czyli: „Bądź szczęśliwy!”. Dziś swych gospodarzy często wita się podobnie, tyle że całus z ust przeskoczył na jeden z policzków. Gospodarz odpowiadał za to: *Komdu sæl!* – „Przyjdź szczęśliwy!”. W przypadku gdy gość zjawiał się wieczorową porą, gdy na zewnątrz panował mrok, powinien zapukać trzykrotnie nie do drzwi, lecz w okno. Ten obyczaj pozostawał oczywiście aktualny w miesiącach zimowych, gdyż latem ciągle było widno. Wszyscy wiedzieli, iż trzykrotne stukotanie nocą do drzwi oznacza sprytne podejście przerażających mocy, które lubiły w tym czasie podszywać się pod przybyszy. Dlatego zabronione było nawet zbliżanie się do drzwi. Islandczycy będący w podróży zawsze starali się o tym pamiętać, gdyż w przeciwnym razie zamiast gościny mogliby otrzymać od losu przykrą niespodziankę i zamarznąć, z nadzieją oczekując na wpuszczenie pod ciepły dach. Gdy ktoś z rodziny przybliżył twarz do okna, by

zidentyfikować przybyłego, nie należało zwlekać, a użyć słów: *Hér sé guð*, będących odpowiednikiem polskiego powiedzenia: „Bóg z wami”. Domownicy ustawieni za szybą chórem odpowiadali wówczas: *Guð blessi þig* – „Niech cię Bóg pobłogosławi” i w sekundę zdecydowali się wpuścić wędrowca do środka. Krótko mówiąc, Islandczycy za bardziej przerażające uznawali złowieszcze pukanie do drzwi po zmroku aniżeli mamroczącą coś pod oknem postać wyłaniającą się z przepastnych ciemności nocy.

Po znalezieniu się w środku gość wyczałowywał po kolei wszystkich obecnych. Długo więc trwało, zanim przystąpił do posiłku, bo jak wiadomo, mieszkańców w każdym domostwie była spora gromada. Zarówno na powitanie, jak i na pożegnanie gospodarza całowano dwa razy. Potem przybysza prowadzono czym prędzej do *baðstofa*. Gdy tam już rozsiadł się wygodnie, otaczali go spragnieni wieści domownicy. Warto podkreślić, że na gości czekano kiedyś z prawdziwym utęsknieniem. Ich wizyty były zawsze wręcz niesamowitą rozrywką i formą wiadomości na żywo. Opowieści ciągnęły się więc w najlepsze, a w tym samym czasie kilka kobiet zajmowało się gościem. Trzeba było go rozebrać z przemoczonej zwykle odzieży, umyć mu stopy ciepłą wodą i odziać ponownie w suche rzeczy, oczywiście nie przeszkadzając przy tym zbyt w snuciu historii. W dalszej kolejności przynosiły dla niego strawę.

Choćby nie wiadomo, jak sytym lub zmęczonym oraz bez apetytu by się było, nigdy nie należało zaproponowanego posiłku odmawiać, gdyż odmowę uznawano za niemal niewybaczalny afront. Naturalnie, gdy gość był dobrze wychowany, przed rozpoczęciem pałaszowania powinien zacząć powtarzać kurtuazyjne: *það var engin þörf* – „ależ nie trzeba było” – i dopiero po kilku minutach zająć się swym talerzem. Ale, ale! Nie należało się jednak zapędzać i ofiarowanego posiłku skończyć – to była jeszcze większa niegrzeczność aniżeli odmowa jedzenia. W tym punkcie wieczoru zgodnie z islandzkim *savoir-vivre* powinno się wygłosić kilkuminutowy monolog zachwalający nieopisaną gościnność gospodarza, gościnność tak wielką, iż nie jest się nawet w stanie ukończyć tak hojnej strawy. Po posiłku gość zaopatrzony w dodatkową energię raczył domowników jeszcze kilkoma opowieściami z farmerskiego życia w innym rejonie. Na zakończenie spotkania znów robił całusną rundkę po całym domu, a potem,

w zależności od pory dnia lub nocy, odjeżdżał, odchodził lub kładł się spać. Jeśli był przyjezdnym, a nie należał do członków rodziny, lub był znajomym, a nie przyjacielem, lokowano go gdzieś w kąciaku pokoju, gdzie uprzednio przygotowano dla niego posłanie. Jeśli był krewnym bądź jednym z przyjaciół, ktoś oddawał mu swoje łóżko. Jeżeli gospodarz wyjątkowo go cenił, a gość w społeczności uchodził za poważaną osobę, to wedle tradycji pozwalano mu dzielić z kimś łożo, a osobę tę gość mógł sam wybrać. Najczęściej oczywiście wybierał szczególnej urody niezamężną dziewczynę, której z kolei tłumaczył niemożność samotnego spania swą szczególnie uciążliwą fobią ciemności.

Niecne zamiary i nieprawe czyny nie objawiały się jednak na Islandii zbyt często. Przystępność na wyspie nie rozwinęła się tak jak w innych krajach, co – mając na względzie i nieoczekiwane wizyty, i zwyczajnie dziwną ludzką naturę – wciąż wydaje się dość nieprawdopodobne. Mimo że za ludźmi od zawsze wlecze się niestrudzenie strużka zła, na Islandii przez całe wieki nie istniały więzienia, a i teraz jest ich jak na lekarstwo. Sporą rolę w pilnowaniu moralnego porządku musiała tu odegrać specyficzna atmosfera. Na wsi w naturalny sposób każdy każdego zna, a przynajmniej o nim słyszał; a jeżeli nie zna, to pewnie kiedyś znał, ale zdążył zapomnieć. Stopień anonimowości na Islandii jest naprawdę niski. Jeśli więc ktoś ma za uszami jakąś grubszą sprawę, wieść o jego występku rozniesie się po dolinach w okamgnieniu. W zastraszającym tempie dowie się o wszystkim nawet wścibska ciotka, której nie widziało się od dnia chrztu i która mieszka hen daleko na koniuszku Fiordów Zachodnich na drugim końcu wyspy. A jeśli dowie się ona, dowiedzą się wszyscy pozostali, no i jest klops. Podobnie jak pozostali Skandynawowie, Islandczycy również wychodzą z założenia, że kary nie mogą być nazbyt surowe, bo istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że ów skazany mógłby przecież niefarciem okazać się najstarszym synem znajomych bądź też najmłodszą córką znajomych ich bardzo bliskich przyjaciół.

Jedna z niewielu islandzkich oskarżonych o współudział w bardzo poważnym przestępstwie, Agnes Magnúsdóttir, usłyszała w 1830 roku wyrok śmierci. Był to czas, gdy w Islandii nie istniały jeszcze zakłady karne, a więźniów, których można było na palcach jednej ręki policzyć,

wysyłano za granicę, gdzie mieli odbyć wyrok bądź zostać straceni. Sama historia bezwzględnej Agnes nie jest tu jednak tak intrygująca, jak ostatnie jej miesiące przed wykonaniem wyroku. Mianowicie do czasu egzekucji krewka Agnes miała oczekiwać na wykonanie wyroku pod jednym dachem z najzwyczajszą, pobożną islandzką rodziną, a wybór padł na rodzinę pewnego urzędnika państwowego. W przypadkach jak ten opisywany zamysł był taki, że kryminaliści będący na bakier z sumieniem mieli wziąć przykład z pięknych duchem chrześcijan. W owym zamiśle szlachetni protestanci swoim wzorowym postępowaniem skutecznie przywodziliby wszystkie zbłąkane owieczki do chęci wyrażenia skruchy. Z tego wniosek, że mieszkańcy wyspy od pokoleń wyznawali teorię amatorskich ukarań i ani się nie zająknawszy, wierzyli w wysoką skuteczność nawróceń. No bo cóż zrobić z bandytą, jeśli nie ma się dla niego celi?

Choć w corocznych plebiscytach na najbezpieczniejsze państwo na świecie Islandia nierzadko dziś zaszczytnie wygrywa, to również i tu – choć na szczęście nieczęsto – zdarzały się przerażające historie, o których rozpisywano się potem w kronikach. Wiele miejsca w zapiskach Islandczycy poświęcili na przykład osobnikowi, który zasłynął na wyspie z mało zaszczytnego powodu. Swego czasu żył bowiem w Islandii wyjątkowo nikczemny seryjny morderca – Axlar-Björn, który siał postrach na niezwykle urokliwym półwyspie Snæfellsnes. Już jego przyjście na świat nie zapowiadało się niestety dobrze. Matkę Axlara przez całą ciężą gnębiły koszmary; a działały się w nich rzeczy tak przerażające, iż biedna kobieta bała się potem zmrużyć oko. Cała rodzina spodziewała się więc, iż z przyszłą pociechą z pewnością będzie coś nie tak. Mieli rację: Axlar wyrósł na osobnika agresywnego i nieprzewidywalnego, a wszyscy domownicy zdążyli zauważyć, że nie rozstaje się ani na moment ze swą siekierą. Wkrótce potem doszło do sytuacji karygodnej, która przebiła dotychczasowe wysoki, bijatyki i rozboje w biały dzień. Axlar przestał pojawiać się na niedzielnych nabożeństwach. W tym przeznaczonym na skruchę i modlitwę czasie ostentacyjnie udawał się na drzemki. Ale niestety, również i jego nawiedzały niezbyt przyjemne sny, a już zwłaszcza w niedziele. Śniło mu się surowe, obficie zakrwawione mięso.

Kilka lat później Axlar dziwnym trafem odziedziczył część rodzinnego majątku i wybudował niezwykle urokliwą farmę. Wówczas to wpadł na

pomysł odtworzenia w rzeczywistości mięsnych obrazów ze snów, by pozbyć się ich w końcu raz na zawsze. Tymczasem wspaniałej urody okolica oraz niezwykle czarowne, wyjątkowo zadbane gospodarstwo zachęcały przejezdnych do zatrzymania się i porozkoszowania upojną atmosferą zakątka. Nie zdawali sobie jednak sprawy, że w ślicznym domku ulokowanym na sielskich połaciach zamieszkuje barbarzyńca, który na co dzień zakłada maskę serdecznego gospodarza. W pobliżu idyllicznej farmy Axlara zniknęło bez śladu wiele osób w różnym wieku, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, dorosłych i dzieci; wszyscy przepadali *eins og steinn í vatni* – jak kamień w wodę. Jak się potem okazało, można to było odbierać dosłownie. Przybysze ginęli od serii ciosów siekierą; następnie byli ćwiartowani i wrzucani do głębokiej toni znajdującego się nieopodal jeziora Ígultjörn. Upiorne sytuacje powtarzały się przez całe lata, lecz w końcu niektórych zaczęła zastanawiać zwiędająca się liczba koni w gospodarstwie zwyrodnialca. Zaczęto również rozpoznawać zwierzęta należące do zaginionych. Pierwszy raz po latach przeraźliwych czynów Axlarowi w końcu zadrżała ręka. Upatrzył sobie bowiem na kolejny cel matkę z dwójką dzieci. Nie spostrzegł jednak, że gdy uśmiercał Bogu ducha winne smyki, z chaty uciekła ich rodzicielka. Tak zakończyła się jego działalność. W 1596 roku Axlar został stracony wraz ze swą żoną, która choć niewinna, została oskarżona o to, że nie zawiadomiła w porę odpowiednich organów. Dwaj synowie Axlara odziedziczyli po ojcu ciemną naturę; i choć nie okazali się seryjnymi mordercami, także zostali skazani na śmierć za mniejsze, kryminalne przewinienia. O Axlarze już po jego śmierci przez kilka stuleci śpiewano dość makabryczne kołysanki, strasząc bardziej niegrzeczne dzieci, że jeśli się nie uspokoją, wówczas Axlar zjawi się, by je zaprosić na swoją farmę. Skutkowało lepiej niż się spodziewano, a dziatwa na hasło „Axlar” zaczynała być posłuszna jak nigdy wcześniej. Mimo niezwykle niepokojącej atmosfery, na Islandii można czuć się bardziej niż bezpiecznie, a jako dowód warto przytoczyć fakt, iż Islandczycy (prócz mieszkańców stolicy) rzadko zamykają swe domy na klucz.

Podobnie jak w życiu, także i w sztuce po częstokroć zdarzają się mniejsze bądź większe skandale. Do grupy wyjątkowo głośnych afer na tym polu należą od zawsze wszelkiego rodzaju fałszerstwa. Sprawa komplikuje się niezmiernie, kiedy tyczy się to niechlubnej imitacji

dzieła artysty cenionego oraz znanego wszem i wobec we wszystkich kręgach. Na kartach niezmiernie bogatej historii międzynarodowych fałszerstw dzieł sztuki zapisał się także pewien Islandczyk, dżentelmen znany jako Sigurður Þorláksson. Niezbyt dobrze zarabiający malarz w 1952 roku postanowił dla wprawki podrobić pewien obraz Pabla Picassa, choć wówczas nie miał jeszcze w głowie żadnej prowokacyjnej myśli o jakimkolwiek zysku z oszustwa. Odtwarzając wiernie wszystkie szczegóły ze znalezionej przypadkiem fotografii, nie spodziewał się, jakie będą przyszłe losy płótna o jakże niepozornej proveniencji. A potem nadszedł dzień, w którym bieda tak dotkliwie przycisnęła Sigurðura, iż ledwie wiążąc koniec z końcem i nie mając już funduszy na jakiegokolwiek rozrywki, postanowił obraz sprzedać. Zawiązał intrygę, iż poszuka kupca w porcie, do którego często zawijały zagraniczne statki. Nabycie dzieła zaproponował pewnemu duńskiemu sternikowi z rybackiej łajby, zarzekając się oczywiście z ręką na szlachetnym sercu, że jest to oryginalne i jedyne w swym genialnym rodzaju dzieło mistrza. Duńczyk, czując, że tak niesamowita okazja nigdy już się może nie powtórzyć, przystał na propozycję. Sam śmiał się w duchu, że sprawia je sobie za bezcen, a naiwny Islandczyk musi być wielkim głupcem, pozbywając się dzieła tak znamienitego malarza. Sigurður zaś za prawie Picassowskie płótno otrzymał ku swej uciechu skrzynkę po brzegi wyłożoną butelkami whisky oraz pięć kartonów papierosów. Używki krzepiły ciało i ducha fałszerza przez wiele lodowatych i nudnych zimowych nocy, a obraz powędrował w świat.

Gdy Sigurður dowiedział się, iż obraz jego autorstwa tak świetnie udający ten stworzony ręką wielkiego mistrza został włączony do kolekcji Duńskiej Galerii Narodowej, nie posiadał się z radości. Sytuacja bawiła go niezmiernie; postanowił więc o prawdziwej historii powstania obrazu poinformować szczytujące się dziełem muzeum. W 1974 roku w wywiadzie przeprowadzonym dla duńskiego tygodnika „Rapport” zdradził, iż wielka duma i chluba kopenhaskiego Statens Museum for Kunst, czyli *Martwa natura z drzwiami, gitarą i butelkami*, oryginalnie z roku 1915, jest niczym innym, jak tylko falsyfikatem. Duńczycy omal nie padli zemdleni, a w szokujące wieści długo nie byli w stanie uwierzyć. Sigurður zaistniałą sytuację uznawał za wręcz wyśmienity żart, twierdząc, że nie poczuwa się w żaden sposób do winy, gdyż wedle jego poglądów sztuka to nic więcej aniżeli

naśladowanie innych. Dodał także, że nie jest to jedyny „Picasso” jego autorstwa, gdyż kolejny dumnie zdobi ściany jednego z najbardziej sławnych kolekcjonerów sztuki w Kopenhadze, lecz ażeby nie narażać go okrutnie na śmieszność jak muzealną instytucję, nie wskaże, kim jest właściciel. Niejeden klejnot okazał się więc kopią, zaś Islandczykom, jako nacji szalenie uczciwej, historia ta nie spodobała się w ogóle, gdyż o zamiarach Sigurðura mieli zupełnie inne zdanie.

Islandczycy są narodem nie dość że prawym, to jeszcze niezwykle pracowitym, lecz każdy rzecz jasna musi pozwolić sobie niekiedy na odrobinę rozrywki innej aniżeli wyczekiwanie niezapowiedzianych gości. Dni wolnych od pracy przed wiekami praktycznie nie było, jednakże od czasu do czasu podczas *kvöldvaka* pozwalano sobie oddawać się przytoczonym już poetyckim rymowankom, zgłębianiu sag oraz grze w szachy. Gdy zima była już u kresu sił i trasy zaczynały zaskakiwać soczystą zielenią, przygotowywano się również do *glíma*, czyli zapasów – narodowego islandzkiego sportu. Była to pewna forma wrestlingu, znana już od dawien dawna, a przekazana wyspiarzom przez wikingów z Norwegii. Islandczycy zmodyfikowali ją na swoje potrzeby i pokochali całym sercem, a walczyć mogliby bez końca, choćby i na śniegu. Nazwa dyscypliny wywodzi się od jednej z technik zapaśniczych, tak niebywale szybkich i sprawnych, iż w mig kładących przeciwnika na łopatki – stosownie zwanej przez Islandczyków mignięciem. Wszyscy euforycznie oczekiwali kolejnych turniejów i intensywnie ćwiczyli na swych podwórzach, aby jak najlepiej się przygotować. Wszyscy – zarówno brodaci mocarze, jak i dziarskie, krzepkie dziewczęta – nakładali więc na siebie dawną wersję rajstop i żwawo wybiegali na pastwiska, by przed tłumem rozgorączkowanych kibiców pokazać, który z nich zasługuje na miano *ósigrandi*, czyli niezwycięzonego lub niezwycięzonej. Walczono oczywiście, nie mieszając płci – kobiety z kobietami, a mężczyźni z mężczyznami. Co ciekawe, zasady *glíma* pozostawały bez zmian od średniowiecza, uznać więc ją można za wspaniałą pamiątkę najdawniejszych islandzkich czasów. Najstarszy sportowy turniej islandzki to oczywiście ten związany z pokazami *glíma*, czyli odbywający się corocznie od 1888 roku Skjaldarglíma Ármann. Jako że panie zapasami swego czasu wyraźnie się znudziły, a dziś ów sport praktykują najczęściej mężczyźni, od 1912 roku każdy zwycięzca otrzymywał tytuł

glímukóngur, czyli „król *glíma*”.

Od początku XII wieku organizowano także kilkugodzinne spotkanie towarzyskie, na które schodzili się mieszkańcy okolicznych osad. Z zamiłowaniem oddawano się tańcom. Jednym z nich był ten o niesamowicie skocznej nazwie *vikivaki*, którą to utożsamiano kiedyś z radością. Tańczono go we wszystkich krajach skandynawskich, ale tam tańce były poprzedzane wystawnymi ucztami na wielkopańskich i królewskich dworach. Następnie wszyscy stawali w kółku i brali się za ręce, po czym wykonując ruchy stosowne do odpowiedniego rytmu, poruszali się o dwa kroki w lewą, a następnie dwa kroki w prawą stronę. Dla Islandczyków taniec był niegdyś kojarzony z wielkim rozpasaniem, a w głowach zaczynało im wówczas huczeć od przeróżnych emocji. Po kilku wieczorkach tanecznych anonsowano wiele zaręczyn, nie wspominając na razie o mających pojawić się za dziewięć miesięcy nowych członkach rodziny. Krótko mówiąc, w tańcu od zawsze hulała islandzka dusza.

Plotek o powodach błyskawicznych zaręczyn było naprawdę sporo i zanim zapaleni tancerze się zorientowali, docierały one do duchownych, a potem i do biskupa. Wieczorki taneczne z niespodziewanymi finałami rozsierdziły go do tego stopnia, iż zamierzał zakazać ich organizowania. Był to XII wiek, a na wieść o biskupim gniewie Islandczykom na skutek stresu zaczęła doskwierać bezsenność. Strach przed Kościołem i wizją spędzenia wieczności w ognjach piekielnych nie do końca jednak pomogły. Taneczne chwile radości i szaleństwa były dla wyspiarzy zbyt cenne; po długich obradach postanowili więc przyjąć postawę niewiniątek i przekonać kler o swej dobrej woli. Cały naród bił się w piersi, że absolutnie już do podobnych szelmostw nie dopuści. Będzie tańczył, lecz nie dla rozrywki, a w imię Pana. Tym chytrym sposobem Islandczycy podrygiwali *vikivaki* ochoczo aż do XVII wieku, tyle że zaręczyn z roku na rok, a i z wieku na wiek anonsowano coraz więcej.

W XVII wieku miarka się przebrała. Biesiady ze skocznymi płasami jako jednej z głównych atrakcji całkowicie i niepodważalnie zakazano. Na wyspę spadła wówczas prawdziwa i jak najbardziej zrozumiała żałobna zasłona. Kościół w swej decyzji był nieprzejednany (mimo delegacji wielu szanowanych obywateli, którzy pragnęli wpłynąć na ocenę zarówno gładkim słowem, jak i nadzwyczaj kosztownymi

podarkami). Wieczorną letnią porą na farmy wysyłano nawet kościelnych szpiegów, którzy pod płaszczykiem wędrówki do położonej nieopodal drugiej parafii sprawdzali, czy aby na pewno *syndugur dans*, grzeszny taniec, nie jest praktykowany. Skradali się po cichutku i z różańcem w kieszeni, gdyż mieli świadomość tego, co ich czeka. Zdarzało im się bowiem nie raz i nie dwa przyłapywać pary oderwane od grupowych harców *vikivaki* na grzesznym in flagranti. Lepiej było więc skryć różaniec i nie pozwolić, by Pan miał widok na tym podobne niegodziwości. Wiele razy nakrywano więc niepokornych tancerzy; ci – po otrzymaniu stosownej pokuty, która obejmowała zarówno sumienie, jak i sakiewkę – nie powracali już do starych nawyków. Koniec końców, niestety nic nie dało się w tej sprawie zrobić i Islandczycy w obawie o swoje miejsce w niebie przestali tańczyć.

Odtąd rozrywkę stanowiła już coniedzielną wyprawa do kościoła. Radowali się na nią wszyscy, choć nie każdy wyspiarz był bardzo religijny. Prócz pożywki dla ducha w niedzielny poranek na Islandczyków czekało coś jeszcze, ma się rozumieć związanego z bardziej doczesnymi uciechami. Jako że kościoły znajdowały się zazwyczaj w pewnym oddaleniu od farm, a wiernym dotarcie do nich zajmowało trochę czasu latem, a mnóstwo czasu zimą, to przed odjazdem do domu należało się czymś posilić. Mając w planie ucieszenie burczących często już na mszy żołądków, przywożono ze sobą różnego rodzaju przekąski. Co więcej, zabierano nawet i uznawane za rozpustne, a tym samym niezbyt akceptowane przez kler słodczyce, którymi delektowano się tuż po zakończonym nabożeństwie. W kościele zjawiał się każdy; po mszy można było uraczyć się zatem nie tylko smakowitym odświętnym jadłem, lecz także doborowym towarzystwem najczęściej rzadko widzianych, bo i koszmarnie zapracowanych sąsiadów.

Islandczycy zmęczeni zbiorami zapasów, wyczerpującą pracą czy samotnym, szalonym tańcem odprawianym niestety jedynie gdzieś, gdzie nikt nie mógł ich dostrzec, prędzej czy później musieli zająć się swoją toaletą. Musieli... ale nie za bardzo mieli na to ochotę. W kwestii dbania o czystość czasami schludnej świetności na Islandii były z pewnością czasy pierwszych osadników. Tamta elitarna grupa wikingów nie dość, że zajmowała się łowieniem, nie zająknąwszy się nawet o czyhających nań niebezpieczeństwach, to jeszcze po owocnych

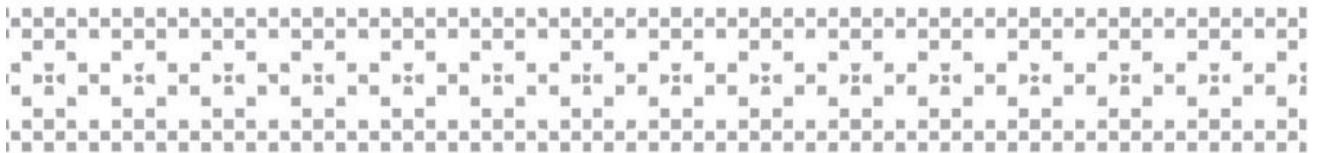
rejsach oddawała się uzdrawiającym i upiększającym ciało kąpielom w geotermalnych jeziorach i rzekach. Czas mijał, a bycie czyściochem stało się absolutnie *démodé*. Ten, kto chciał uchodzić za osobę określaną dziś powszechnie *trendy*, nie powinien zbliżać się ani do szczytki, ani do wody. Nie wiedzieć czemu, apogeum islandzkiego niechlujstwa przypadło na XVII i XVIII wiek. Wtedy to zaczęto ochoczo zaniedbywać ciała, jak i chroniące je przed chłodem odzienie. Pranie odzieży odbywało się najczęściej raz w miesiącu. Kompletów okryć na zmianę niezamożni Islandczycy nie mieli zbyt wiele; nie było w czym przebierać. Ponieważ noce nie należały do najcieplejszych, były to zarówno ubraniaienne, jak i nocne, przez dany miesiąc nieściągane z karków wcale. Wyspiarze zupełnie się tym jednak nie przejmowali i nie dostrzegali niczego zdrożnego w fakcie, że nad ich głowami zadziwiająco często zaczynają bzyzczyć rozochoczone interesującym aromatem muchy... ani że z nadzwyczaj bladolicych przeistaczają się w obywateli o ciemniejszej karnacji, nie mając wcale kontaktu ze słońcem.

Były to jednakże znamiona luksusu. W owym czasie na Islandii bycie flejtuchem traktowano na równi z byciem bogatym. Całą wyspę obiegało kuriozalne powiedzenie *sauræll maður er jafnan saursæll* – „ten, kto jest brudny, często bywa zamożny”. Wnikając w ów jakże wysublimowany sposób myślenia, człowiek, którego farma fantastycznie prosperowała, musiał mieć mnóstwo zajęć i ani sekundy czasu na myślenie o zbędnych czynnościach, do jakich zaliczano na przykład mycie. Niezwykle zajęty farmer nieustannie dbał o swoje interesy, a jego dobytek rósł wraz z warstwą cielesnego brudu. Każdy, kto nie chciał uchodzić w oczach sąsiadów za ubogiego, w kwestii higieny musiał się powstrzymywać. Myto się tym samym raz na kilka miesięcy. Jeśli chodzi o uzębienie, stroniono raczej od opłukiwania go wodą, gdyż sądzono, iż żucie porostów – swoją drogą rzeczywiście o właściwościach antybakteryjnych – zapewni odpowiednią ochronę przed ubytkami. Na ból zębów Islandczycy stosowali kilka sprawdzonych trików. Jednym z nich było odnalezienie myszy, sprowadzonych zresztą na wyspę wraz ze szczurami przez samych wyspiarzy. Gdy już się jakąś złapało, czym prędzej należało ją uśmiercić, po czym wyrwać jej ząb i w jakiś sposób dolepić do własnego, który sprawiał problemy. Jeżeli schwywanie myszki

nastęczało zbyt wielu trudności, należało zdobyć ząb jednorocznego berbecia i postąpić tak jak w przypadku kielka gryzonia, z tą różnicą, że pozostawiając dziecko przy życiu. Jeśli ból był nie do wytrzymania i dawał o sobie znać dniami i nocami, nie pozostawało nic innego, jak dokleić sobie do niego ząb nieboszczyka lub kieł psa – oczywiście w przypadku, gdy nikt nie zdecydował się pomrzeć, a paskudny ból w dalszym ciągu nie ustępował.

Ci, którym nie doskwierały koszmarnie bóle zębów i którzy nie musieli trwonić czasu na szukanie myszy, zmarłych bądź też psów, przystępowali do rytuału dnia mycia, który przypadał w każdą niedzielę. Wszystko przez to, iż raz w tygodniu, właśnie w ten zaszczytny dzień, tuż przed wyjściem do kościoła obmywano sobie twarz. Wiązało się to nawet nie tyle z aspektem wizualnym czy też higienicznym, ile z podjęciem próby zmycia z lica niezbyt czystych myśli, które w każdej chwili mógł dojrzeć z ambony zawsze czujny ksiądz. Przed kościelną wizytą zupełnie nie myślano na przykład o wyszorowaniu dłoni po długim i powodującym wyraźne zabrudzenia ciała tygodniu pracy na farmie. Najbardziej zadbane były kobiety, jednakże ich higiena tyczyła się głównie włosów – nie mycia jednak, a czesania, co Islandki czyniły zaskakująco często, bo każdego dnia. Choć wód wkoło było więcej aniżeli pod dostatkiem, Islandczycy prawie wcale ich do mycia nie wykorzystywali. Za najlepszy środek myjący uznawany był bowiem mocz. Uważano go za doskonałe oręż w walce z brudem; obmywano nim ciała, prano w nim odzież oraz szorowano podłogi. Utyłłani islandzcy bogacze, za którymi nieustannie unosiła się woń amoniaku, po tych interesujących ablucjach czuli się wyższą klasą społeczną. Powiedzenie wiążące bogactwo z niechlujstwem przetrwało na Islandii aż do XIX wieku; szczęśliwie potem obmywanie się moczem zaczęło wychodzić z mody, a Islandczycy ponownie postanowili skorzystać z dobrodziejstw swych niesamowitych wód.

Co wychodzi z wody



Tak się składa, że Islandia to najbardziej zasobny w wodę kraj na świecie. Nie jest to jednak wyłącznie martwy fakt – coś się z tą wodą musi dziać, inaczej byłoby to przykre marnotrawstwo. Na Islandii w wodzie spędza się naprawdę dużo czasu. Blisko jedenaście procent powierzchni kraju stanowią lodowce o niesamowicie brzmiących nazwach, takich jak: Vatnajökull, Langjökull, Hofsjökull, Mýrdalsjökull, Drangajökull, Eyjafjallajökull, Snæfellsjökull i tak dalej. Właściwie można by wymieniać je bez końca, obsesyjnie – tak dobrze się tego słucha (prawie jak czarodziejskich zaklęć). Lodowce dają życie niezliczonym, krystalicznie czystym rzekom obfitującym w krępe, wędrowne trocie i inne gatunki równie dobrze odżywionych ryb. Za szczególnie ekskluzywne uznawane są rzeki łososiowe; swego czasu łowił w nich namiętnie George Bush senior. Islandia stała się dla niego jedną z wędkarskich przygód życia, a to dlatego, że i wody, i same łososie czasem suną tu z niewiarygodną prędkością. Co je w taki niesamowity sposób ponagla, nie wie nikt, lecz można się domyślać, że to pulsujące tajemniczą energią serce wyspy. A gdy wykupi się już koszmarnie i wręcz nieprzyzwoicie drogą łososiową kartę wędkarską i gdy uda się w końcu pochwycić (po wielu brawurowych próbach) islandzkiego łososia, on i tak zagra nam na nosie. Okazuje się bowiem, że pod żadnym pozorem rybki nie można schrupać, tylko po chwili wypuścić ją z powrotem do furiackiej wody, jako że pozostaje pod ścisłą ochroną.

Wody szaleją na wyspie również w innej postaci, gdyż Islandię śmiało można uznać za królestwo wodospadów. Są ich tam tysiące, i to na każdym kroku. Gdy sięgnie się po islandzką mapę, zauważyć można, iż wyraz *foss* pojawia się na niej zaskakująco często, a jest to właśnie słowo oznaczające wodospad. Rozmiarów i kształtów mają one bez liku, dlatego ich widokiem nie sposób się znudzić. Bywają maleńkie,

z nieznacznym, wodnym szmerem, wymykające się połączeniomształych skał. Sporo jest również odrobinę większych, skrytych gdzieś pomiędzy wzniesieniami i jakby od niechcienia zdobiących niewysokie, urokliwe pagórki. Są także i takie, których widok dosłownie odbiera mowę, a to nie tylko przez ich ogrom i zdumiewające ukształtowanie, lecz także przez odgłosy podobne do hałasu czynionego przez startujący samolot. Ta grupa nieodmiennie zachwyca zarówno spektakularnymi wysokościami, jak i szerokościami, z których leją się hektolitry wody wzburzonej do granic szaleństwa. Ze zjawiskowymi i łagodniejszymi upadkami wód ma się tu do czynienia stale, gdyż wodospady w przeróżnych formach, wysokościach i wcieleniach wyłaniają się przed ludzkimi oczami tak często, iż trudno byłoby je wszystkie zliczyć.

Prócz umiejscowienia w lodowcach, wodospadach oraz niezliczonych rzekach i jeziorach, woda na Islandii znajduje się także w stu trzydziestu basenach, *sundlaugar*. Wielu z nas zaskakuje fakt, że mimo niezbyt sprzyjającej temperatury niemalże wszystkie islandzkie pływalnie znajdują się na świeżym powietrzu. Mało tego: w tej formie są dostępne przez cały rok, a Islandczycy nie widzą nic dziwnego w urządzaniu sobie spacerów z szatni do basenu tylko w strojach kąpielowych, nawet w okrutny mróz. Turyści, którzy odwiedzają Islandię coraz częściej także zimą, nie mogą się temu nadziwić. Największym islandzkim wyczynem wydaje się im zwyczaj przysiadania w podobnej aurze na pogawędki, i to wcale nie w ciepłej wodzie, a na oszronionych basenowych leżakach, nawet się nie wzdrygnąwszy i ani myśląc o zakładaniu szlafroków. Prócz kwestii tolerancji dla niskiej temperatury oraz mierzenia się z nią w negliżu zastanawia przyjezdnych jeszcze inne zagadnienie. Chodzą plotki o horrendalnych kwotach, jakie wydaje się na Islandii na utrzymanie basenów. Otóż na ogrzewanie wód skarb państwa nie wydaje praktycznie ani korony, gdyż woda na Islandii bywa przyjemnie ciepła sama z siebie. Często nawet oziębia się ją specjalnie, na przykład na okoliczność skoków do lodowatych baryłek po relaksujących sesjach w saunach.

W islandzkich kranach woda występuje w dwóch spowinowaconych wersjach: albo zjawia się impulsywnie i zgodnie ze swą wulkanicznie gorącą naturą, albo wyłania się lodowcowo zimna. Około

dziewięćdziesięciu dziewięciu procent używanej na wyspie energii pochodzi z naturalnych źródeł, w czym mają duże zasługi wody zasilające elektrownie geotermalne i wodne. W elektrowniach dzieją się rzeczy rozmaite; między innymi nakłania się wodę chłodną do spotkania z naturalnie gorącą skorupą ziemską. Z owych zazwyczaj owocnych spotkań woda wypływa nagrzana do temperatury znacznie przekraczającej sto stopni. Już w postaci pary wodnej uchodzi niemalże z wrzaskiem poprzez rury do urządzenia, które popędza turbiny do produkcji energii elektrycznej. Pozostałością po tym procesie jest para, która zostaje schłodzona aż do kondensacji i jako ukrop trafia do islandzkich słuchawek prysznicowych i tym podobnych.

Wód istnieje na wyspie piękna pełnia. Mieszkańcy i nawiedzający kraj przyjezdni w tychże wodach brodzą, moczą się, zanurzają, taplają, pływają i zazwyczaj bardzo długo oraz nadzwyczaj chętnie przebywają. Z takiego moczenia się narodziła się nawet islandzka filozofia życia, ponieważ do wód się tu jeździ i wód się tu wręcz niemożebnie pragnie. Może zabrzmieć to podejrzanie, lecz takie kąpiele nie mają żadnych wad ukrytych ani też skutków ubocznych. Na Islandii drzemią wodne skarby świata; nie trzeba się nawet specjalnie wybierać na ich poszukiwanie – same z siebie podchodzą one pod spragnione ręce i rzucają się w niezaspokojone oczy. Woda ożywczo działa na umysły i ciała, nadając przy okazji rytm życiu całej wyspy oraz pełniąc niezwykle ważną funkcję społeczną.

Z okołowodnych obserwacji wyłania się naprawdę niezwykle zjawisko, gdyż podobnie jak Finowie sauny, tak Islandczycy uważają baseny za swoiste konfesjonały. Pływalnie można tu śmiało nazwać wodnymi pubami, mimo że prawdziwych pijalni trunków również nie brakuje. Islandczycy jednak chętnie uczęszczają na niezakrapiane, towarzyskie spotkania basenowe, podczas których obnażone ciała w bezprecedensowy sposób obnażają dusze i znikają zdumiewająco szybko wszelkie podziały. Na Islandii są to bowiem ulubione miejsca spotkań; to tu w niezwykle sposób zmienia się zazwyczaj wyciszona mentalność tubylców. Baseny, jak chyba nigdzie indziej na świecie, na Islandii uszlachetniają obyczaje; stają się przestrzenią do delikatnych wynurzeń, szczerych i nieszczerych zwierzeń, zawsze żarliwych dyskusji. Tu uzyskamy darmową poradę prawną, rolną,

psychologiczną, medyczną, weterynaryjną lub modową, bo tu nie ma tematów tabu, a zażywający ablucji obok nas może okazać się nawet islandzkim prezydentem, premierem czy też uwielbianą przez cały naród gwiazdą filmową.

Na basenie wszystkie granice niespodziewanie uzyskują nową elastyczność, a gorąca woda w równie skuteczny sposób oczyszcza pory i atmosferę. Prócz pływania w typowych basenach przesiaduje się w płyciutkich basenikach dla dzieci, jednakże uwielbianych przez dorosłych, oraz w *heitir pottar*, czyli nie za dużych, najczęściej oktagonalnych lub okrągłych wanienkach, bardzo często z opcją hydromasażu. Na jeden statystyczny basen przypadają zazwyczaj dwa lub trzy o trzydziestodzieci- oraz czterdziestodwustopniowej wodzie do wyboru. Niektórzy najbardziej uzależnieni od ich dobroczynnego wpływu Islandczycy posiadają je również w swych przydomowych ogródkach, co nie oznacza, że rezygnują z wizyt na basenach. *Heitir pottar* można też napotkać w wielu zaskakujących miejscach na Islandii; wiele z nich znajduje się na zupełnych i widowiskowych odludziach. Czekają tam jako przemiła nagroda dla przemarzniętych wędrowców.

Podobnie jak Francuzi chadzają do swych ulubionych kawiarni, Anglicy do pubów, a Turcy do salonów herbacianych, tak Islandczycy pojawiają się regularnie na basenach. Basenowi stali klienci pod żadnym pozorem nie zdradzają najdroższych ich sercu pływalni. Nie dość więc, że każdy ma tu ulubiony *sundlaugin*, to na każdym z nich jeszcze i ukochany *heitir pottur*. Dochodzi do tego, iż powstają basenowe towarzyskie grupki ludzi, którzy wcześniej się nie znali, a spotykające się każdego tygodnia w określonym dniu, godzinie i naturalnie w tej a nie innej waniencie. Wielu Islandczyków zjawia się na basenach każdego dnia i funduje sobie błogi relaks tuż przed pójściem do pracy; dlatego *sundlaugar* są otwarte już od szóstej trzydzieści aż do wieczora. Jeśli chcielibyśmy poobserwować ów ciekawy naród w pełnej krasie i swobodzie, warto pochodzić zarówno do pubów tradycyjnych, jak i właśnie na baseny.

Jeżeli ma się ochotę skorzystać z jakiegokolwiek basenu na wyspie, to nie ominie się tego, iż w pewnym momencie będzie trzeba pokazać się na nim nago. Na każdym islandzkim *sundlaugin* obowiązuje bowiem określona etykieta: najpierw należy rozebrać się w szatni,

następnie na golasa wziąć prysznic, a dopiero potem włożyć kostium. Wszyscy tych zasad przestrzegają, a na większych basenach znajdują się nawet specjalne budki, gdzie zasiadają strażnicy, którzy upominają próbujących ominąć przepisy. Jeśli zaniedbania nie zauważy basenowa policja, to wcale nie należy czuć się bezpiecznie. Islandczyk nie omieszka zwrócić uwagi na nawet drobne nieprawidłowości i nie pozostaje wówczas nic innego, jak dostosować się do obowiązujących norm i zapomnieć o zbędnym skrupowaniu. Wyspiarze darzą swe baseny ogromną miłością; zdarzało się nawet, iż próbowali nakłonić rząd, aby strażnicy pobierali od wszystkich kombinatorów wysokie grzywny. Ostatecznie skończyło się tylko na debatach. Na ścianach szatni wiszą zazwyczaj okazałych rozmiarów tablice informujące o tym, jak należy zabrać się do dokładnego mycia i które strefy ciała należy koniecznie namydlić.

Na Islandii wysoko ceni się także sauny. Baseny niezaprzeczalnie pozostają na pierwszym miejscu i otacza się je niemal nabożną czcią, ale to od sauny właśnie zaczęła się miłość tego narodu do wygrzewania się. A wszystko przez pragnienie pokonania arktycznych niedogodności życia, czyli swego czasu niezwykle dotkliwych dla wyspiarzy mrozów. Od najdawniejszych stuleci Islandczycy nazywali swoje sauny *baðstofur*, czyli kąpielowymi salonami. Jeżeli kogoś trapi zagadnienie, skąd brali potrzebny do ich działania węgiel, to warto pamiętać, iż mówimy o czasach, gdy Islandię porastały gęste leśne połacie. Wynalazek okazał się prawdziwym wybawieniem od przenikliwych chłódów. Ludzie pokochali go i się od rozkosznego ciepła uzależnili. Salony stały się nagle sercami domów, bo tam gromadzili się wszyscy przemarznięci na wskroś domownicy. Aż w końcu zaczęli spędzać w salonach kąpielowych całe zimowe dni, a potem nawet i noce.

Spożywało się tam posiłki, zajmowano się przeróżnymi pracami domowymi, piastowano dzieci oraz zażywano wszelkiej maści rozrywek związanych także z pojawianiem się na świecie nowych pokoleń Islandczyków. To tam przychodziło się na świat, żyło i kończyło żywot. *Baðstofa* była pomieszczeniem zazwyczaj niewielkich rozmiarów; miała około czterech metrów szerokości oraz siedem długości, choć zależało to oczywiście od majątności oraz liczebności rodziny. Pod uwagę trzeba wziąć fakt, iż przebywano w jej wnętrzu gromadnie; wyobraźmy sobie

wyspiarskie życie – zupełnie pozbawione prywatności. Błogie chwile ciepła były jednak tak pociągające, iż wkrótce przestano się przejmować i krępować obecnością innych towarzyszy. Pod ścianami ustawiano łóżka, jedynie środek pozostawał bardziej przestrzenny. Niektórzy bardziej zamożni obywatele prócz ogólnej przestrzeni posiadali także prywatną, a w nadzwyczaj komfortowej samotni mieli okazję przebywać gospodarz wraz ze swą małżonką.

Jako że głównym zadaniem *baðstofa* było dostarczanie ciepła, niekiedy urządzano je na pięterku, tuż nad przestrzenią wyznaczoną dla owiec i krów. Nie licząc wszelakich aromatów związanych z ową lokacją, płynęło z niej po prostu jeszcze więcej drogiego ciepła. Zresztą zwierzęca woń ówczesnym Islandczykom nie przeszkadzała w ogóle. To samo dotyczyło aromatu ich własnych pośłań, które w dzisiejszych czasach skłaniałyby do wezwania odpowiednich służb mających zapobiec epidemii. Pośłania zmieniano, gdy zaczynały wykonywać nienaturalne ruchy wskutek tłumnie przebywających tam nieproszonych, miniaturowych lokatorów zwanych pchłami, *flær*. Na domiar wszystkiego, by jeszcze bardziej uprzyjemnić sobie wszelakie drzemki, zawartość nocników wylewano... pod łóżka. Islandczycy od zawsze pragnęli być nacją elegancką i wytworną, jeśli więc ktoś udawał się do toalety, nigdy nie mówił tego nikomu wprost, używał jedynie enigmatycznego zwrotu *að tefla við páfann*, „zagrać w szachy z papieżem”.

Ku boleści wyspiarzy, islandzkie salony kąpielowe straciły rację bytu, gdy zabrakło najważniejszego składnika potrzebnego do ich działania – cennego drewna. Islandczycy nie mogli już przesiadywać w nich w nieskończoność, a jedynie na chwilę. Lamenty, szloch i zgrzytanie zębami z zimna nie pomogły, musieli więc podjąć się eksploracji wyspy i wywęszyć napawające ciepłem obszary geotermalne. Uważnie przeczesywali też wybrzeże w poszukiwaniu zalegających tam niekiedy drewniaków. I znów nieumiarkowanie w użytkowaniu zrobiło swoje, ot – kolejna bolączka z drewnem związana.

Położony w południowo-zachodniej części Islandii półwysep Reykjanes kryje wśród mchów i lawowych połąci bezprecedensowe kąpielisko. Niecodziennie bowiem zdarza się, aby w wyniku cudownego pomieszania materii zwykły ściek przemysłowy zyskał status międzynarodowej atrakcji turystycznej. Dzieje Błękitnej Laguny, czyli

Bláa Lónið, to spory fart i koniec końców zwykły zbieg okoliczności. Wszystko zaczęło się w 1976 roku, kiedy to lokalna spółdzielnia grzewcza Suburnes poszukiwała źródeł energii dla bazy NATO w Keflavíku. Przypadkowo natrafiono na pole lawy, pod którym, jak się wkrótce okazało, aż kipiało od dzikich i mocnych, gorących źródeł termalnych. Już po kilku odwiertach pobliskie tereny zostały zalane przez sporą ilość wody, którą potraktowano jak ściek. Wyjątkowo wysoki poziom zawartej w niej krzemionki spowodował, że woda zamiast wsiąknąć w grunt uszczelniła teren, a wskutek tego powstało tam jezioro o nierealnym i nadzwyczaj hipnotyzującym, mlecznobłękitnym odcieniu. Początkowo ludzie podkradali się tu, by skorzystać z uroków niezwyklej wody, a plotki o jej leczniczych właściwościach rozniosły się po okolicy niezwykle szybko. Wszyscy zgodnie uznali, iż nie warto marnować wodnego potencjału bajora i w 1999 roku nastąpiło oficjalne otwarcie basenu i spa znanego pod nazwą *Bláa Lónið*. Z Laguną sąsiaduje teraz elektrownia *Svartsengi*; zażywając kąpiele w niesamowicie prezentującej się wodzie, można więc obserwować parę buchającą z wysokich kominów. Całe otoczenie wydaje się zdumiewające i niebywale efektowne, a do Laguny suną miliony, byle tylko mieć okazję potaplać się błogo w słynnym krzemionkowym błotku.

Kolejnym miejscem na Islandii, w którym woda potrafi zaskoczyć, jest Grjótagjá, zastawiająca na przybyszy swe kuszące sidła niedaleko jeziora Mývatn. Grjótagjá niezwykle wrażenie robi zwłaszcza zimą. Ta pora bywa tu wyjątkowo nieustraszona, gdyż ma się zazwyczaj doskonale nawet w połowie maja. Wokół Grjótagji tkwią wówczas jeszcze śniegowe zasy, powiększające się nieustannie wskutek nader obfitego śniegu. Dokoła rozciągają się bezkresne pola lawowe o dość fantastycznych kształtach. Ziemia jest tu dotkliwie spękana i usiana tajemniczymi jamami, a obecnie prezentuje się jeszcze bardziej tajemniczo niż zawsze, bo w śnieżnobiałej szacie. W tym miejscu mroźne powietrze nieodmiennie nasącza aura barwnych historii. Świat tysiąc lat temu z pewnością musiał wyglądać tu dokładnie tak samo; nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że po spektakularnych lawowych spękaniach hasali znani z zapalczywości przodkowie Islandczyków.

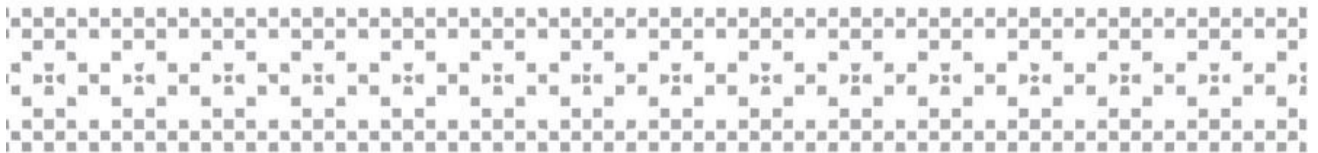
Policzki dotkliwie szczypią, a kończyny szybko drętwieją pomimo

kilku warstw odzieży termoaktywnej w kompilacji ze swetrami, szalikami, czapkami i rękawiczkami wykonanymi z niesamowicie ciepłej islandzkiej wełny. Wtem spod ośnieżonych gruntów zaczyna zuchwale wydobywać się para. Po chwili do pary o nieznannej proveniencji dołącza muzyka; co może się tu odbywać, nie wie doprawdy nikt. Z każdym krokiem cała sytuacja intryguje nas coraz bardziej i wtem okazuje się, iż jama, z której wyłania się para, jest wypełniona wodą. Muzyka zdaje się coraz głośniejsza. Potem wystarczy tylko kilka dziarskich susów w dół przez wielkie oblodzone kamloty, co początkowo wydaje się łatwe, lecz już po kilku minutach miny nam rzedną. Ale ryzyko jedynie wzmaga pożądanie, a z głębi groty migocze pełna obietnic, szmaragdowa woda. Nagle następuje upragniony moment i wkraczamy w końcu do wnętrza jaskini. Tak jest – cudownej, tajemniczej groty wypełnionej krystalicznie czystą, błękitną, geotermalną wodą, która mieni się gorliwie niezliczoną ilością odcieni. Woda jest na dodatek rozkosznie ciepła i tapla się w niej często grono Islandczyków wraz z garstką przybyszy z innych krajów, którym to kąpiel umiła zazwyczaj relaksująca muzyka.

Na początku XVIII wieku w zasadzkę Grjótagji wpadł wyjęty spod prawa Jón Markússon, podobno bardzo niesympatyczny obywatel. Planował zostać tam na długo, a nawet zamieszkać na stałe. Legenda głosi, że nie wiedział, iż w połyskliwym, podziemnym sercu kryły się sumy o wążach tak długich, że ledwo się tam mieściły. Sumy banitę przywitały niezbyt serdecznie, nie mając naturalnie sposobności, aby zapowiedzieć mu nieuniknioną eksmisję. Na znak niezadowolenia kręciły tylko nieustannie swymi wążami. Jón odkrył jaskinię późną zimą i sumy ze względu na ciemne, granatowe doby jedynie słyszał, nie wiedząc jeszcze, któż tak wążiskami bezustannie macha. Z pierwszym światłem wiosennego dnia sumy odzyskały w końcu swą prywatność. Jako że ich ubarwienie zależy od nastroju i od środowiska, w jakim przebywają, te w czarodziejskiej grocie postanowiły jawić się jako najbardziej straszne w ich sumiastej opinii i zaczęły występować jako czerwonoookie osobniki albinotyczne. Gdy Jón ujrzał pierwszego wążatego albinosa, czmychnął w popłochu, nie oglądając się nawet na swój skromny dobytek. Sumy – ku swej niewątpliwej uciechu – już więcej go nie spotkały. Do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku grota była niezwykle popularnym

kąpieliskiem. Ale w 1975 roku skończyło się przesiadywanie w jaskiniowych pieleszach, gdyż w wyniku wybuchu jednego z wulkanów woda osiągnęła temperaturę ponad pięćdziesięciu stopni. Na szczęście w kolejnych latach powoli się ochładzała. Na wyspie chodzą jeszcze słuchy, że sumy dawno znudziły się już tą kryjówką, a zatem śmiało i bez narażania się na łaskotanie wąsami można ją odwiedzać.

Owca na szydełku



Jak przystało na zadziwiająca na każdym kroku Islandię, zdumiewa w niej również to, że przemierzając jej połacie, można nie spotkać Islandczyka, ale już nie sposób nie doświadczyć bliskiego spotkania z owcą. Faktem jest, że właśnie owce można uznać za najliczniejszych mieszkańców Islandii. Owieczki przeróżnej maści i różnorodnych gatunków przeważają nad wszystkimi innymi istotami żywymi zamieszkującymi wyspę, a jest ich trzy razy więcej niż samych Islandczyków. Mając w garści także kilka solidnych dowodów rzeczowych, można stwierdzić, że występuje tu stężenie jedno z najwyższych na świecie, jeśli chodzi o liczbę owiec przypadających na metr kwadratowy. Owce na Islandii wydają się wszechobecne. Kolejne pokolenia owieczek, *sauðfé*, pasą się beztrąsko na islandzkich łąkach niezmiennie od drugiej połowy IX wieku, gdyż na wyprawę na Islandię wybrały się wraz z walecznymi wikingami. Wyglądają kropka w kropkę jak ich średniowieczni przodkowie, jako że od tamtej pory nigdy nie krzyżowano ich z żadną inną rasą. Islandczycy niebywale dbają o rasową czystość owczą, objęli więc wyspę całkowitym zakazem wwożenia owiec z innych części świata. Osobniki, które urodziły się na wyspie, a w wyniku różnorodnych okoliczności musiały Islandię opuścić, nie mają prawa już na nią powrócić; zakaz ten zresztą dotyczy również wszystkich innych gatunków zwierząt, nawet domowych pupili.

Klarownym znakiem owczej wartości pozostaje fakt, iż staroislandzkie słowo określające owcę, czyli *fé*, znaczyło również pieniądze. Mało tego, starodawne hasło *féhirðir* określające pasterza, w dzisiejszych czasach stało się terminem oznaczającym skarbnika. Mieć dorodne stadko to znaczyło być Islandczykiem szczęśliwym, zamożnym i oczywiście sytym – taka przez wieki obowiązywała na wyspie zasada. Od niepamiętnych czasów owce były na Islandii najważniejszymi zwierzętami. W wiejskich regionach wyspy życie

i kultura skupiały się niemal wyłącznie wokół hodowli owiec i to aż do ostatnich lat XX wieku. Nic dziwnego, że dla wielu z nich owce były wręcz święte, a poza tym nadzwyczaj dumnie reprezentowały tradycyjny islandzki sposób życia. Jako że odgrywały kluczową rolę w przetrwaniu tutejszych społeczności przez setki lat, uznaje się je niezmiennie za część ducha prawdziwej, starej Islandii. Owce dostarczały ludziom rzeczy niezbędnych do ich egzystencji, a więc mleko, mięso, tłuszcz, wełnę oraz skóry, natomiast ich kości były materiałem, z którego wytwarzano wszelkiego rodzaju narzędzia, a nawet zabawki. Nikt jednak dotąd nie pomyślał o robieniu w tym wyspiarskim królestwie owczych serów, przez wielu Islandczyków zresztą uznawanych raczej za zamorskie dziwactwo (i większość z nich chyba nie miałyby nawet zamiaru ich skosztować). Tak czy inaczej, owce utrzymywały swych właścicieli, będąc gwarantem przeżycia nawet i najsroźszej zimy, a takowe zdarzały się nieraz rok w rok, jako że Islandia swych mieszkańców nigdy nie oszczędzała.

Nic dziwnego, iż okres przyjścia na świat jagniąt, *stekktið*, był uznawany za jeden z najistotniejszych w roku. Dla wyspiarzy okazywał się zawsze szczególnie stresujący, gdyż nie można było wówczas dopuścić do tego, aby podczas odbierania owczych porodów cokolwiek poszło źle. Owcze mleko było dla wyspiarzy niezwykle cenne, starano się więc utrzymywać owce w jak najdłuższym stanie udoju – w związku z tym musiały one mieć do wykarmienia jak najwięcej jagniąt. Gdy niefortunnie zadziało się tak, iż któreś jagniątko zmarło, trzeba było dopuścić się oszukania owczej matki. Jak najszybciej należało podsunąć jej inne jagnię, na przykład zabrać je z podwójnego miotu. Podobny plan nie zawsze skutkował, gdyż niektóre owce w porę orientowały się, iż piastują cudze niemowlę; i z karmienia były nici. Gdy adopcja nijak nie wychodziła, próbowano owczych przebieranek. Ze zmarłego jagnięcia ściągano skórę okalającą głowę i nakładano na jagnię podmienione, tak, by aromatem i odcieniem naśladowało prawdziwego potomka. Jednakże i ten chytry zabieg niekiedy nie skutkował. Jeśli owca nadal uparcie odmawiała adopcji, decydowano się na ostatnią szansę. Podstawione jagniątko zostawiano przywiązane w oborze, a owcę, która miała się nim opiekować, z niej wprowadzano. Odseparowane i głodne jagnię zaczynało wkrótce beczeć wniebogłosy; wyspiarze z nadzieją obserwowali zachowanie

owcy, w której miał obudzić się matczyzny instynkt.

Kiedy jagnię przeżywało poród, natomiast owca umierała, natychmiast należało znaleźć dla malucha nową opiekunkę. Jeśli plan zawodził, wtenczas jagnię zabierano do domu. Takie owieczki zwano *heimalninar*, czyli „wychowywanymi w domu”. Stawały się one częstokroć uwielbianymi, domowymi maskotkami. W czasie gdy rodziły się owce, każde z dzieci na farmie mogło wybrać sobie jedną, dopiero co narodzoną, i potem nad nią czuwać, co sprawiało im ogromną radość. Za nic w świecie nie można było podczas dziecięcych zabaw i pieszczot dopuścić do tego, aby przypadkiem owieczkę cmoknąć, gdyż wedle starej przepowiedni marnie skończyłby się jej los. Ucałowana owca zostałaby bowiem w najbliższym czasie obiadem któregoś z czyhających na nią lisów arktycznych.

Owce, choć wyglądają czasem bardzo niepozornie, wręcz bezbronne, tak naprawdę są niesamowicie harde. Ową hardość udowadniały od chwili pojawienia się na wyspie niezliczoną ilość razy; ostatnią niezwykle ciężką próbę zaliczyły wręcz brawurowo. Stało się to podczas katastrofalnej zamieci, do jakiej doszło we wrześniu 2012 roku i która rozszalała się na terenach górskich na północy Islandii. Objęła ona także przestrzeń, na której w okresie letnim wypasano owce. Atak zimy nadszedł zupełnie niespodziewanie i wcześniej (wziąwszy pod uwagę ostatnie pięćdziesiąt lat), Islandczycy nie zdołali więc sprowadzić zwierząt z powrotem na farmy. Stada momentalnie znikły w bezlitosnych, huraganowo-śnieżnych podmuchach i wkrótce potem ślad po nich zaginął. Poszukiwania w zatrważająco złej aurze trwały bardzo długo, a zaginionych trzód szukano z coraz to mniejszą nadzieją na pozytywne efekty. Jako że Islandczycy do owiec podchodzą z ogromnym sercem, niepożądana zamieć stała się niemalże przyczyną żałoby narodowej. Rozpaczali wszyscy, nawet ci, którzy hodowlą się nie zajmowali. Radość hodowców nie miała sobie jednak równych, kiedy spod kilkumetrowych zasp zaczęto wykopywać kolejne i pozostające w dobrej kondycji owce. Bezsprzecznie uznano to wydarzenie za cud, nikt bowiem nie śmiał nawet pomyśleć, że mogą one przeżyć pod pokrywą śniegu nawet czterdzieści pięć dni. Morał z tej historii taki, iż w ewentualnym plebiscycie na najdłuższe przeżycie w skrajnych warunkach islandzkie owce z pewnością nie mają sobie równych.

Najtwardsze z najtwardszych to tak zwane owce-liderzy, *forystufé*. Właśnie dzięki nim wrześniowa batalia o przeżycie toczona pod kłopotliwymi zaspami mogła zakończyć się sukcesem. To zawsze *forystufé* prowadzi resztę stada przez przeszkody, to na nią kierują wzrok wszystkie inne owce, gdy na ich drodze pojawiają się niespodziewane kłopoty. Liderów cechuje wręcz nadzwyczajna intuicja, coś na kształt szóstego zmysłu, którego są pozbawione inne owce. To właśnie dzięki niemu liderzy wiedzą, jak zachowywać się w nietypowych sytuacjach czy przy wyjątkowo niekorzystnej pogodzie. Nie są osobną rasą, jednakże w pewien tajemniczy sposób rozwinęły się u nich pewne cechy szczególne. Okazuje się, iż owce te mają odmienną strukturę genetyczną. Co więcej, owczy liderzy często są opisywani jako najbardziej energiczni sportowcy w zazwyczaj leniwym stadzie.

Forystufé są najczęściej długonogie, szczupłe, bardzo sprawne, wręcz gibkie i elastyczne, a co ciekawe, niemalże nie posiadają w swym ciele tłuszczu. Częściej są to barany niż owce płci żeńskiej. Mają wyjątkowo lekki sposób poruszania się, spore, masywne rogi, a ich pokrycie częstokroć przybiera kolor ciemny lub jest mieszanką kilku odcieni. Wykazują się one również nieprzeciętną inteligencją i są doskonałymi przewodnikami stad, nad którymi potrafią sprawować szczególnego rodzaju pieczę. Zarówno ich niezrównaną odwagę, jak i liczne wyczyny opisywano również w islandzkich sagach. Przypisuje się im dosłownie tysiące wyjść z nie lada opresji. Starodawne opowieści traktują o pasterzach i stadach zagubionych podczas rozszalałych burz śnieżnych lub o tych, którzy utkwili w złowrogim sercu wyspy zwanym Interiorem i skąd udało im się wyjść jedynie dzięki odwadze *forystufé*. Jeśli ktoś niegdyś decydował się odsprzedać swego zasłużonego przewodnika stada, mógł zarobić na tym krocie; były to owce wręcz luksusowe i osiągały niekiedy horrendalne ceny. Podobni liderzy są zjawiskiem unikatowym, nie występują nigdzie indziej poza Islandią, więc tajniki ich hodowli nie są znane nikomu innemu poza Islandczykami. Na całym świecie żyje jedynie około tysiąca czterystu takich owiec, a wszystkie pochodzą z północnego powiatu Norður Þingeyjarsýsla. Z farm z tejże okolicy dołączają potem do stad rozproszonych na całej wyspie.

Typowa islandzka owca pozostaje w stanie wiecznego zdziwienia.

Nieważne, ileż to już razy widziała człowieka zaopatrzonego w sporych rozmiarów plecak oraz nieodłączne kije (w tym przypadku trekkingowe); za każdym razem w ten sam sposób otwiera oczy najszerszej jak potrafi, zastyga na mniej więcej dwie minuty, a potem jak szalona zaczyna gnać na łeb, na szyję. Zawsze śmiertelnie zdziwione piechurami owce traktuje się jako element humorystyczny krajobrazu, gdyż owczej wersji sprintu, oczywiście prócz zwawych działań *forystufé*, nie da się skomentować inaczej, aniżeli szczerym, trwającym zazwyczaj nawet więcej niż minutę śmiechem. Nie wiedzieć czemu, wszystkie owce odrobinę mniej dziwią się gnającym po drogach i drożynach samochodom, i zapewne pozostanie to ich słodką tajemnicą. Jeżeli chodzi o drogi, najczęściej spotyka się na nich właśnie owce – stojące, rzecz jasna, na samym środku.

Jest to niezmienna reguła i kolejna z niezgłębianych owczych tajemnic, gdyż tego, jakie interesy trzymają je dokładnie w punkcie centralnym większości tras, nie wie nikt. Dostrzegłszy dziwny, irracjonalnie szybko przemieszczający się obiekt z przedstawicielami rasy ludzkiej w środku, zaskoczona trzódka zastyga równie posągowo, jak w przypadku spotkania z egzemplarzami pieszymi. Wypłoszyć można ją z jezdni nieprędko, lecz skutecznie pomoże w tym przypadku piętnastokrotne, rytmiczne naciśnięcie klaksonu. Cała zabawa naturalnie jeszcze się nie kończy, ponieważ owce, posłyszawszy ów dźwięk, zaczynają biec, tyle że nie w kierunku łąk, a – co zaskakujące – w stronę zbliżającego się samochodu. W związku z tym należy trik z klaksonem powtarzać kilkakrotnie. Po Islandii jeździć należy bardziej niż ostrożnie, by nie mieć żadnej niewinnej owcy na sumieniu. Każdy smutny incydent z potrąceniem owcy należy zgłosić odpowiednim służbom, a za każde martwe zwierzę trzeba uiścić opłatę na konto poszkodowanego farmera.

Owce to stały i naturalny element każdego islandzkiego krajobrazu; oczywiście o odpowiedniej porze roku i w miejscu, które w niczym nie przypomina obejścia. Na wyspie nie uświadczysz opłotków, płotów ani też palisad, gdyż wciąż niejasna jest tu granica pomiędzy tym, co udomowione, a tym, co dzikie. Owce przez całe lato wędrują sobie nadzwyczaj swobodnie, przemieszczają się po ogromnych połaciach i zwiedzają dziewicze islandzkie bezdroża. Raczą się nieskażonymi przez cywilizację rarytasami i wdychają obłędnie czyste powietrze,

które należy do elitarnej grupy najczystszych miejsc na świecie. Spędzania lata w tak niesamowitych warunkach można im tylko zazdrościć. Jednym z ulubionych owczych przysmaków jest jadowitozielony arcydzięgiel litwor, zwany też równie enigmatycznie *Angelica archangelica*. Nazwa łacińska pochodzi od słowa archangelos oznaczającego archanioła i nawiązuje do niezwykłych właściwości leczniczych tej rośliny, które miał ludzkości objawić archanioł Rafał. Ta okazała i dorastająca czasem do trzech metrów wysokości roślina z gatunku selerowatych porasta wiele terenów na wyspie.

Poza tym, że nieustannie jest podgryzane przez owce, bardzo zdrowe anielskie ziele występuje na Islandii jako pożywny składnik w diecie wypiarzy. Stosuje się go między innymi w cukiernictwie i przyrządza się z niego konfitury. Anielskie ziele ma niezwykle przyjemny, wręcz oszałamiająco upojny zapach ginu, którego jest zresztą składnikiem, nic więc dziwnego, że w tak ożywczy sposób działa na owce. A gdy wyruszamy na jedne z pierwszych przechadzek po bujnych islandzkich łąkach, to ów ciekawy zapach intryguje nas do tego stopnia, iż trudno nam spacer zakończyć. Łąki o ginowej woni to z całą pewnością kolejna z niesamowitości, którą Islandia wodzi przybyszy na pokuszenie. Zatem jeśli na jakimkolwiek islandzkim stoisku zauważy się słoiczki wypełnione ciemnozieloną zawartością, to można pakować je do koszyka w ciemno, gdyż z pewnością jest to właśnie przepyszna, odurzająca konfitura z anielskiej Andżeliki.

Wszystkie islandzkie farmy posiadały kiedyś specjalną owczą jednostkę, wybudowaną w pewnym oddaleniu od budynku głównego, którą nazywano *sel*, czyli górska mleczarnia. Każda *sel* była miniaturowych rozmiarów, a wysokości typowego parterowego domku. Znajdowała się w miejscu, gdzie lubiły przechadzać się owce, oczywiście te mniej przygodowe, które nie rozproszyły się po odrobinę dalszych terenach. Gdy gleba wokół farmy nie spisała się zbyt w fazie wegetacji, nadzieja tkwiła w terenach znajdujących się w obrębie *sel*. W dawnych czasach stado nie rozpierzchało się aż tak daleko, jak dzieje się to obecnie. Owce miały swobodę, ale na noc zawsze były zaganiane do zagród. Z każdej farmy do mleczarni wysyłano zazwyczaj dwie osoby, aby spędziły tam lato. Jedną z nich był pasterz, *hirðir*, tradycyjnie odpowiedzialny za sprawowanie pieczy nad stadkiem, a drugą *matsetja*, czyli mleczarka. Do jej obowiązków

należało dojenie owiec oraz przygotowywanie przysmaków z owczego mleka, głównie masła oraz skyru. Raz na kilka dni odwiedzał ich ktoś z farmy, a wizyta prócz charakteru towarzyskiego miała na celu odbieranie gotowych produktów mlecznych oraz donoszenie im pożywienia, którego w *sel* zabrakło.

I pasterz, i *matselja* byli młodzi i wolni, gdyż z owczą misją wysyłano jedynie tych, którzy nie założyli jeszcze rodzin. Z ich letnim pobytom w *sel* częstokroć były związane niemałe skandale. Zdarzało się, że po letniej wizycie w górskiej mleczarni *matselja* wracała na farmę w stanie błogosławionym. W okolicy wrzało od plotek i chmurniało od posępnych, potępińczych twarzy starszyny zde gustowanej takim nieodpowiedzialnym obrotem spraw. Młodzi jednak wypierali się, jakoby łączyło ich jakiekolwiek uczucie. Ba, prostowali nawet, że wręcz się nie znoszą i pobyt w samotni mleczarskiej był dla nich prawdziwą torturą. Niemało najedli się podczas tych usilnych tłumaczeń strachu, gdyż za podobny wyczyn groziła nawet chłosta. Winę za domniemaną ciężę spychali najczęściej na tajemnicze istoty zamieszkujące okoliczne tereny, czyli na ukrytych ludzi. Tajemniczy kochankowie, bynajmniej nienależący do gatunku ludzkiego, byli nazywani *ljúflingur*. Mieli oni wodzić kobiety na pokuszenie za pomocą czarodziejskich mocy. Co ciekawe, termin *ljúflingur* oznacza dzisiaj także dżentelmena; ich techniki uwodzenia zatem z pewnością musiały być nader wyrafinowane.

Od końca września lub od początku października aż do wczesnego lata owce znikają z pola widzenia; dlatego podróżując po niektórych islandzkich ustroniach, można nie spotkać żywego ducha. We wrześniu bowiem, w terminie uzależnionym od kaprysów pogody, rozpoczyna się *réttir*, czyli spęd owiec. Trwa on około tygodnia, a niepokieszone owce schodzą wówczas w dość szybkim tempie z gór, łąk i lodowców do swych domostw, co jest widokiem nadzwyczaj interesującym, zwłaszcza gdy pasterz zapędza je tam konno. Mimo że jest to nielekka praca, Islandczycy uznają *réttir* za świetną rozrywkę, a wręcz za święto i jeden z najciekawszych momentów w roku. Obchodzi się je więc z dużym rozmachem. Co odważniejsi wkładają ciepłe swetry, zabierają sprzęt biwakowy, spore zapasy prowiantu, a prócz tego kilka butelek jakiegoś wysokoprocentowego napoju na rozgrzewkę i wsiadają na konie. Pędzą potem na pustkowie,

poszukując zagubionych stad, które – jak to zwykle bywa – zaznawszy wolności, nie kwapią się do powrotu.

Podzielone na małe grupy gromady jeźdźców przeszukują góry i doliny, czasem wspomaga ich nawet kilka helikopterów. Przez parę dni farmerzy śpią w namiotach lub w górskich schroniskach. Po dniach poszukiwań i drogi powrotnej na farmy owce wkraczają w końcu do wielkich, podzielonych na części zagród. Tutaj następuje określenie ich przynależności do poszczególnych farm, sortowanie, a rozróżnia się je po oznakowaniach na uszach. W końcu każdy zabiera swoje stado do szop i zagród, gdzie zwierzęta prezimują, rozmyślając o urokach pysznych świeżych traw i Andżeliki. Po domowej i trochę nudnej dla nich zimie, z beztróskim początkiem czerwca znów wybiegają na cudownie szczerze pola.

Owce i ich opiekunowie wiodą żywot zazwyczaj spokojny, jednakże zdarzają się w tym błogostanie katastroficzne momenty, jak na przykład wtedy, gdy na wyspie zaczyna zbierać swe okrutne żniwo trzęsawka. To choroba, na której sam dźwięk wszystkim Islandczykom, nie tylko hodowcom, zaczyna niemilosiernie trząść się nogi. Trzęsawka jest jedną z najgroźniejszych epidemii, którym Islandia musiała stawić czoła, a wywołują ją priony, do niedawna zupełnie nieznany patogen. Choroba ma bardzo długi, charakterystyczny dla schorzeń wywoływanych przez priony czas inkubacji, który sięga kilku, a nawet kilkunastu lat. Gdy zauważono u owiec nietypową pobudliwość i to, iż z szaloną częstotliwością ocierają się o drzewa, krzewy i co też innego podejście pod ich sierść, wiedziano już, że to niechybny koniec całego stada. Swędzenie było dopiero skromnym początkiem choroby, która ostatecznie prowadziła do całkowitego paraliżu i która przekształcała owczy mózg w gąbkę.

O podobnych wydarzeniach opowiada islandzki film zatytułowany „Barany. Islandzka opowieść”, wyreżyserowany przez Grímura Hákonarsona. Produkcja z 2015 roku doskonale portretuje świat islandzkich farmerów, którzy wskutek wspomnianej trzęsawki nagle tracą swe stada. Gdy farmer tracił owce, cały jego świat się walił; niestety, w tak fatalny sposób kończyło się wiele historii. Najgorsze w wybuchach trzęsawki było to, iż nie dość, że nie znano i nadal nie poznano na nią szczepionki, to jeszcze do dziś zdarzają się jej nawroty. Jeśli odkryje się chorą owcę i choroba zostanie potwierdzona przez

specjalną komisję, niestety trzeba uśmiercić całe stado, mimo że wszystkie pozostałe osobniki cieszą się nadal wręcz doskonałym zdrowiem. Wielu hodowców kilkakrotnie podejmowało próby odbudowania stad, jednakże czasem tragiczny traf chciał, że po kilka razy z rzędu choroba wracała. Farmerzy znów tracili wszystkie owce i ostatecznie poddawali się.

Prócz notorycznie pojawiających się na każdym kroku wścibskich owiec na Islandii trudno odizolować się również od manii robienia na drutach. To prawdziwa narodowa obsesja. Na drutach dzierga się tu od XVI wieku; to niezwykle istotna część islandzkiej kultury, istny bzik, a może trafniej rzecz ujmując – absolutne opętanie. Zwyczaj ten przywędrował na wyspę jednocześnie z dwóch rejonów, z Danii oraz z Anglii, i niezwykle szybko rozprzestrzenił się w całym kraju. Dziergały zaś nie tylko kobiety, jak to było w pozostałych nacjach, lecz także mężczyźni. Miłością do dziewiarstwa zapalały wszystkie warstwy społeczne. Materiału do rękodziela jest pod dostatkiem ze względu na liczbę owiec, a ich gatunek wełny zalicza się do najbardziej unikatowych na świecie ze względu na niewiarygodne ciepło. Podczas znamienych dla wyspy niesłychanie długich zimowych wieczorów, kiedy to któryś z domowników czytał na głos sagi, pozostali towarzysze wykonywali różnego rodzaju wełniane robótki. Wielu Islandczyków i dziś podobnie spędza wieczory, jednakże zamiast sag do ich uszu dociera szum telewizora. Robić na drutach uczy się tu od najmłodszych lat dzieci, a uczniowie od siódmego roku życia w szkolnych ławkach poznają tajniki podstaw dziewiarskich. Potem przez całe życie dziergają już nagminnie, tworząc okazałe kolekcje swetrów na każdą okazję.

Krótko mówiąc, na Islandii na drutach robi prawie każdy, nikogo więc nie zadziwia widok polityka oddającego się tej relaksującej czynności pomiędzy obradami parlamentu czy wyjątkowo muskularnego mężczyzny umilającego sobie dzierganiem oczekiwaniem na obiad w restauracji. Na drutach robi się nie tylko zimowymi wieczorami, które są nadal równie długie, lecz także na spotkaniu towarzyskim typu grill. Tak się bowiem składa, że Islandczycy prócz maniackalnego dziergania uwielbiają grillować, a już obydwie te pasje ubóstwiają łączyć w jedno.

Drutów i kłębka nie odkłada się więc nawet w ferworze typowych

grillowych dywagacji, a także pomiędzy odwracaniem na drugą stronę złowionego kilka godzin wcześniej dorodnego pstrąga i mieszaniem dressingu. Poza tym na drutach robi się również na urodzinowych przyjęciach, zarówno tych hucznych, jak i kameralnych, na zgromadzeniach kawowych, herbacianych, koktajlowych, czy też mocniej zakrapianych, a także i we wszelakie święta, ponieważ druty zabiera się ze sobą wszędzie. Można zapomnieć o telefonie komórkowym, nawet o portfelu. Nic się nie stało, nie ma sprawy, bo przyjaciele zrozumieją i wspomogą zakup napitków w pubie, no ale drutów wraz z zapasem wełny nie użyczy nikt, nie ma takiej możliwości. Ci natomiast, których to zajęcie pochłonie totalnie, mogą kontynuować zgłębianie tajników dziewiarskiej pasji na Akademii Rolniczej w Hvanneyri.

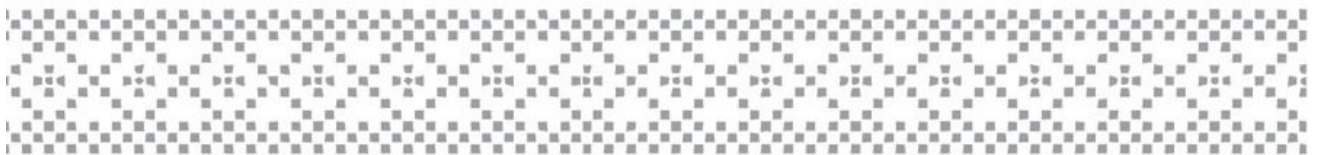
Przybywszy na Islandię, od razu można zauważyć, że wiele osób odziewa się w przepiękne swetry, zachwycające zarówno barwami, jak i wzorami. Islandczycy wiedzą, co robią, gdyż najzwawiej i najlepiej jest przemierzać Islandię właśnie w endemicznie owczym odzieniu zwanym *lopapeysa*, swetrze ręcznie wykonanym z unikatowej, wodoodpornej wełny *lopi*. Ciągłe ulewy, porywiste wiatry oraz gwałtowne zmiany pogody wykształciły u islandzkich owiec zdolność do wytwarzania dwóch rodzajów włosa. Zewnętrzne, zwane z islandzkiego *tog* jest długie, sztywne i nasączone naturalnym tłuszczem, a jego zadaniem jest ochrona przed nagminnymi atakami aury. Wewnętrzna sierść zwana *thel* to krótkie, miękkie i niezwykle przytulne włókna służące jako swoiste ogrzewacze. Przez wieki dziewiarki i dziewiarze oddzielali poszczególne runa, tworząc z *togu* najczęściej bardzo wytrzymałe liny, nici, płótna, sznurki oraz inne tym podobne materiały, a z *thelu* produkowali niezwykle przyjemną w dotyku bieliznę i odzież. W początkach XX wieku wyspiarze zaniepokojeni rutyną postanowili poeksperymentować i połączyć te rodzaje włókien, obluzowując przy tym odrobinę sploty. Okazało się, że odzież wykonaną z nich cechują niezwykle właściwości użytkowe i grzewcze, jeszcze lepsze niż dotychczas. Śmiało można rzec, że odkrycie to okazało się przełomowe w skali światowej i nadało tym samym islandzkiemu włókiennictwu zupełnie inny wymiar.

Swetry, jakie widuje się dzisiaj, zaczęto nosić tu w latach pięćdziesiątych XX wieku, a od tamtego czasu są one wizytówką

i znakiem rozpoznawczym garderoby każdego Islandczyka. Oryginalna *lopapeysa* przetrwa nawet próbę ognia, gdyż wełna *lopi* nie pali się, a jedynie leciutko przypieka. Swetry są zdobione najczęściej tradycyjnymi wzorami zaczerpniętymi z iluminacji sag, przemieszanych z inspiracjami deseniami grenlandzkimi. Wzory biegną naokoło do przedpiersia, dlatego zarówno przód, jak i tył są wedle określonego kanonu identyczne. Tę wzorzystą obręcz traktuje się również jako swoisty opiekuńczy talizman.

Deseni do wyboru jest całe mnóstwo, a dziś unowocześnia się je, niekiedy wplatając w gąszcz tradycyjnych ornamentów wizerunki owiec, koni, fok czy też wielorybów. Swetry kuszą też różnymi odcieniami. Wełna przez całe pokolenia nie była jednak najczęściej farbowana, lecz dostępna w kolorach, w których występuje owcza sierść. A jeżeli już miało się chętkę na odmianę, do farbowania używano porostów, wspaniale barwiących na żółto i pomarańczowo. W słoneczne godziny puchate odzienie urokliwie pachnie wrzosowiskami, a w deszczowe dni – owieczkami, lecz bardzo delikatnie i niezmiernie przyjemnie. Wełna jest również niezwykle odporna na przyswajanie wszelkich obcych zapachów, dlatego nawet po powąchaniu swetra noszonego kilkanaście lat odpowiednio wyszkolony pies jest w stanie odnaleźć farmę, na której daną *lopapeysa* wydziergano. Powiadają, że z powodu wszystkich tych owczych sentymentów Islandia swego czasu zyskała kształt owcy tuż przed jesiennym strzyżeniem.

Królestwo za skyr!



Jeśli zastanawiamy się, co też interesującego będziemy mogli zjeść na Islandii, do głowy powinna nam przyjść kuchnia typowo skandynawska. A więc prosta, nieprzekombinowana w liczbie dobieranych składników, nie za ostra, treściwa i z pewnością mająca nasycić na długo. Tworzona zawsze ze świetnych jakościowo i świeżych produktów, jak na przykład dopiero co przywiezionych z połowu ryb. Nie spodziewa się jednak człowiek wcale, że Islandia mogłaby wieść prym wśród europejskich, mało tego – ogólnoswiatowych kulinarnych ekstrawagancji. I tu czeka nas ogromna niespodzianka, bowiem po wizycie w typowej islandzkiej restauracji odkrywamy, że w jej karcie dań istnieją przekąski, o których nawet nam się nie śniło. Lista islandzkich gastronomicznych dziwactw ciągnąć mogłaby się doprawdy przez wiele stron. Po setkach lat odcięcia od świata w islandzkim umyśle społecznym pozostało dążenie do przyjemności całkowicie egzotycznych, a przez pół świata zgodnie uważanych za kurioza raczej nienapawające apetytem i wręcz go odbierające. Trzeba przyznać, że to zdecydowanie inny krąg kulturowy, a jego kulinarne dziwactwa i wszelkie na pozór niezjadliwe oślizgłości wprawiają w osłupienie. Czy zatem tradycyjna kuchnia islandzka jest dla ludzi tylko o wyjątkowo mocnych nerwach?

Kuchnia islandzka bazowała na wszystkim tym, co udało się wykrzesać z nieurodzajnej, skłonnej do kaprysów gleby oraz często uprzykrzającego życie otoczenia. Aby wyżywić strudzonych bijatykami i hulaszczym życiem wikingów, korzystano z tego, co nad Islandią latało, co w jej wodach pływało, a także co dawało radę przetrwać na tym problematycznym lądzie. Niegdyś najważniejszym posiłkiem dnia były dla Islandczyków śniadania, *miðmorgun*, które jadano tuż przed godziną szóstą. Następnie zjadano lunch o godzinie dziesiątej, a w dalszej kolejności obiad, pałaszowany zazwyczaj około piętnastej,

oraz lekka kolacja zjadana podczas *kvöldvaka*. Ze względu na surowy klimat, zwłaszcza w okresie zimowym, Islandczycy od wieków mieli bardzo ograniczone możliwości, jeżeli chodzi o uprawę roślin oraz hodowlę zwierząt, a także potrawy, jakie z danych składników byli w stanie przygotować. Pożywienie od zawsze było tu trudno dostępne, a kiedy już się je zdobyło, trzeba je było zakonserwować. Potem najczęściej jedzono je po prostu suszone.

Islandzkie kwestie kulinarne od zawsze pozostawały raczej skomplikowane i tak zostało do dziś. Nadeszła oto pora na przekąski i piękne kulinarne połączenia. Po wstępnym oglądzie stołów jawią się jako dość apetyczny koncept, zwłaszcza gdy chodzi o kolację w kraju, gdzie do lokalnych przysmaków zalicza się choćby sfermentowanego rekina grenlandzkiego o wdzięcznej nazwie *hákarl*. Mięso rekina żarłacza pozostawia się do fermentacji, która w zależności od sezonu trwa od sześciu do dwunastu tygodni; wówczas eliminuje się z ciała mnogie naturalne trucizny. Następnie surowe mięso zakopuje się w ziemi na pół roku, a potem wietrzy.

Nie można niestety się łudzić, że skazane na islandzki wietrzyk mięso pozbędzie się, delikatnie mówiąc, okropnego smaku i aromatu amoniaku. Znaczący i rekini koneserzy twierdzą, że nie jest on wcale aż tak okrutnie niesmaczny, a najważniejszą rzeczą przy jego kosztowaniu jest trzymanie go jak najdalej od swego nosa. Jeżeli zjedzenia tego wątpliwego kąska chce się uniknąć, nie powinno się odwiedzać farmy Bjarnarhöfn położonej na półwyspie Snæfellsnes w zachodniej części Islandii. Farma, istniejąca już od roku 866, jest bowiem epicentrum produkcji *hákarl*; dojrzewa ich tam naprawdę zatrważająco dużo. Rekinów nie poławia się tu z premedytacją, o nie. Mięso na *hákarl* uzyskuje się z rekinów, które zaplątały się w sieci. Poza tym, że ma ciekawy aromat, można stwierdzić, iż jest to przekąska niemal mistyczna. Okazuje się bowiem, że niektóre rekiny dożywają nawet czterystu lat. Konsumować coś tak wiekowego to naprawdę niespotykane przeżycie.

Islandczycy są narodem mięsożernym, a niektórzy z nich za danie wegetariańskie uznają także dania z drobiu. Pod tym względem można niekiedy poczuć się na wyspie podobnie jak w wielu krajach Ameryki Południowej. Wielu Islandczyków zwykło uznawać wegetarianizm za dziwactwo, a na deklaracje o chęci spożycia wegetariańskiego posiłku

często reagują śmiechem. Podczas obiadowania z tą nacją można zauważyć pewną właściwość: jeśli do wyboru na stole znajdują się baranina, wieprzowina, drób, owoce morza, mnóstwo światowych delikatesów w postaci serów, oliwek i tym podobnych oraz wszelkiej maści sałatek, Islandczyk z pewnością wybierze baraninę. To właśnie po nią sięgnie na początku, choćby nie wiem jak kuszące były pozostałe przekąski. A jeżeli ma pewność, że na talerzu czaruje aromatem baranina z Fiordów Zachodnich, na pewno poprosi o dokładkę. Mięso z tego regionu to dla wyspiarzy prawdziwy delikates – wszystko przez jej niezwykle aromat. Baranina z Fiordów smakuje morzem, ponieważ tutejsze owce lubują się w podjadaniu wodorostów oblegających okoliczne wybrzeża. Baraniną Islandczycy przejeść się nie mogą. Co więcej, od pokoleń w ich diecie nie widać znaczących zmian. Wszystko przez to, iż w diecie islandzkiej zawsze brakowało warzyw i owoców. Nawet w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku było o nie ciężko, nie mówiąc już o latach wcześniejszych. Od lat sześćdziesiątych na wyspie są dostępne banany i jabłka uznawane za dobra niemal luksusowe, w cenach sugerujących półkę wyraźnie delikatesową.

Islandia to kraina niemal bezleśna, jednakże gdy popatrzy się pod nogi, naszym oczom ukazuje się prawdziwie bujne królestwo. Tundra kryje w sobie mnóstwo niespodzianek. Dokoła nad wyraz tajemnicze połacie, gdzie zimną ziemię otulają same pyszności. Można do nich zaliczyć czarne jagody, jeżyny i borówki brusznice. Prócz tego Islandię porastają porosty i to w liczbie, która naprawdę oszałamia. Co więcej, potrafią rosnąć w miejscach, gdzie nie dałoby rady pojawić się nic innego. Brawurowo wkroczyły nawet i na przedpola lodowców, czyli na niemal pozbawione życia organicznego piaskowo-żwirowe moreny. Dawniej porosty były uznawane przez mieszkańców wyspy za żywność, a w zwyczajnym obrocie spożywczym znajdowały się do XVIII wieku. Gdy było naprawdę źle, raczono się produktem podobnym do owsianki, jednakże przyrządzanym z gotowanego mchu z dodatkiem jagód świeżych lub suszonych, którym to nadzwyczaj dobrze się tu rośnie.

Lista korzyści płynących ze stosowania porostów islandzkich jest wręcz przeogromna. Stosowano je jako lek przeciwgruźliczy, który pomagał w pierwszych fazach choroby; o ich skuteczności przekonywał się także Fryderyk Chopin, gdyż z powodu swej

przypadłości przez lata się nimi leczył. Prócz tego te niezwykle rośliny posiadają właściwości wzmacniające, przeciwzapalne, przeciwbakteryjne, przeciwnowotworowe, przeciwpotne, uspokajające, odtruwające, a co więcej – znoszą nawet objawy choroby morskiej. Islandczykom powracającym do korzeni żeglowania przydawały się zatem bardzo często.

Z racji właściwości antybakteryjnych porosty przez stulecia dbały o islandzkie uzębienia, gdy o wizytach u dentystów jeszcze nie słyszano. Do dziś z porostów namiętnie przygotowuje się na wyspie zdrowotne napary. Sezon porostowy trwał szczęśliwie dla Islandczyków przez cały rok i często ratował ich w czasie srogich zim przed głodem. Sezonu jagodowego musiano za to z niecierpliwością wyczekiwać, a trwał on i nadal trwa od końca lipca do połowy sierpnia. Islandczycy od wieków uznawali zbieranie porostów oraz jagód za niezwykle frajdę, tyle że w przeciwieństwie do porostowych, swych najlepszych i ulubionych terenów jagodowych zazdrośnie strzegło się nawet przed rodziną oraz najlepszymi przyjaciółmi. Pełne pasji zbieranie jagód nosi nazwę *berjamór*. Coroczne zbiory to moment w roku, którego z niecierpliwością się wyczekuje.

Kolejnymi islandzkimi delikatesami są wielorybi tłuszcz nasączony kwasem mlekowym, sam wieloryb pocięty i podany już w mniejszych częściach oraz filet z wdzięcznego ptaszka, niezdary maskonura. Na samiuški szczyt rozkoszy kulinarnej prowadzi niedoprawiony zanadto barani łeb, czyli *svið*, dla przeciętnego Islandczyka niebawym smakolyk i ogromna gratka, który wyspiarze mogliby kosztować przy każdej nadarzającej się okazji. *Svið* rozdziela się na dwie apetyczne części, a następnie gotuje, by potem malowniczo i w naturalistycznej kompozycji spocząć na półmisku. Na wyspie od wieków panuje przesąd związany z baraniami uszami. To właśnie na nich oznaczało się właściciela zwierzęcia. Otóż *svið* podawany bez uszu mógł przyczynić się do powstania wielu nieprzyjemnych plotek. Ten bowiem, kto zabierał się za jego zjedzenie w tej postaci, wedle zabobonu mógł być potem uznany za złodzieja. Dlatego uszu nigdy nie obcinano. Kolejnym dość makabrycznym delikatesem są wędzone baranie jądra, *súrsaðir hrútsþungar*, a także wytwarzana z nich kiełbasa. Kolejne typowo islandzkie danie, cenione przez większą część narodu, to *slátur*, czyli mieszanka mięsa, tłuszczu oraz krwi zaszytych w owczym żołądku.

Jego odmianą jest *blóðmör*, który stanowią owcze serce, wątroba i płuca podobnie zapakowane w owczy żołądek.

Pod koniec stycznia i na początku lutego Islandczycy świętują Þorri. Określają w ten sposób czwarty zimowy miesiąc, który przypada właśnie na przełom tych miesięcy. Þorri to również nie tylko nazwa święta, lecz także personifikacja mrozu oraz samej zimy. W średniowiecznych tekstach Þorri był przedstawiany dwojako: albo jako twardy i okrutny, albo też jako bardzo troskliwy pomocnik farmerów, który czuwa nad ich cennymi zapasami siana. Niezależnie od jego prawdziwego charakteru, z reguły zalecano, by zawsze bogato go ugościć. Podawano mu dostatek jedła i picia, a podczas uczyty nawet zabawiano go najciekawszymi historiami oraz śpiewem (jeśli potrafiło się śpiewać), gdyż chodziły słuchy, że jeżeli Þorri nie będzie z gościny zadowolony, okrutnie się na gospodarzach zemści. I stąd właśnie wziął się Dzień Gospodarza, czyli *Bóndadagur* – oznaczający również początek miesiąca þorri.

Dodać warto, iż słowo *bónði* odnosi się również do pana domu, męża, a niekoniecznie wyłącznie do farmera. Pierwsze wzmianki o tymże dniu pojawiły się w historiach ludowych zebranych przez Jóna Árnasona w XIX wieku. W razie nieobecności Þorra zawsze zajętego przebywaniem na licznych gościnach, to panowie domu pełnią funkcje jego szacownych reprezentantów. Krótko mówiąc, zasiadają wygodnie i oczekują na pełne przepychu przyjęcie oraz wyborne towarzystwo. Þorri kończy się zazwyczaj w sobotę tuż przed Dniem Kobiet, który w Islandii nie wypada 8 marca, a w niedzielę osiemnastego tygodnia zimy, pod koniec lutego. Same *þorrablót*, czyli oddawanie czci Þorra, nie zalicza się do długich tradycji. Została ona zapoczątkowana prawdopodobnie przez urzędników pragnących owym świętem poprawić humory osowiałych skutkami długiej zimy Islandczyków oraz przywrócić pamięć o średniowiecznych wierzeniach. Þorri zaczęto celebrować w większych miastach kraju dopiero w drugiej połowie XIX wieku. W połowie wieku XX tradycja wystawnych uczt związanych ze szczęśliwym końcem zimy dotarła do wszystkich islandzkich miast i miasteczek. Do dzisiaj jest obchodzona z dużym rozmachem.

W czasie miesiąca Þorri wszyscy świętują hucznie nadchodzący nie tak znowu wielkimi krokami koniec zimy i w dalszym ciągu pogrążeni w mroku wspólnie zwalczają zimowe chandry. Mają na to swoje

sposoby, a należy do nich między innymi pałaszowanie lokalnych specjałów, od wieków przygotowywanych w tradycyjny sposób, zwanych *Þorramatur*. Wszystkie specjały pochodzą z czasów, gdy żadna zwierzęca partia nie mogła się zmarnować. W tym czasie Islandczycy zajadają ochoczo przekąski, do których należą suszone ryby *harðfiskur*, wspomniane już liczne głowy baranie, baranie jądra, kwaszone płetwy fok *selshreifar*, wędzone udźce jagnięce oraz pasztety z kawałkami owczych mózdków czy też ich mięso w galarecie, a także dwa rodzaje przekąsek zwanych wyjątkowo apetycznie *slátur*, czyli z islandzkiego „ubój”.

Pierwsza to *blóðmör*, krwawy pudding z wątroby owczej z mąką żytnią oraz dodatkiem płatków owsianych, podobny do szkockiego *haggis* oraz angielskiego czarnego puddingu, tyle że bez przypraw. Drugą jest *lifrarpylsa*, czyli wątrobianą kiełbasa pochodzenia baraniego. Obie bez krztyny ziół i soli bądź jeśli w ich towarzystwie, to przez inne nacje zdecydowanie na podniebieniu niewyczuwalnymi. Świeże i miękkie *slátur* zajada się na ciepło, a te mniej świeże i o konsystencji gumy na zimno jako przegryzki bądź też bardziej finezyjnie – poćwiartowane z ryżem na mleku i posypane cukrem cynamonowym. Islandia zawsze cierpiała na niedostatek przypraw. Najgorzej było z solą, gdyż na wyspę importowano jej bardzo niewielką ilość. Co więcej, była ona tak droga, iż na zakup mogli pozwolić sobie jedynie najzamożniejsi obywatele. Wyspiarze spragnieni środka konserwującego postanowili, iż muszą znaleźć sposób, aby wykorzystać masy słonej wody, która nieustannie dobijała do ich wybrzeży. Zaczęli zamrażać wodę morską, jednakże uzyskanie z niej konkretniejszej dawki soli trwało nawet kilka lat.

Na Islandii często brakuje promieni słonecznych, a zatem również witaminy D. Zamiast witaminowych promieni straszy w ich zastępstwie butelka z żółtym, gęstym płynem ustawiona zazwyczaj na półce naprzeciw niemal każdych islandzkich drzwi wejściowych do kuchni. Wiadomo, że próby zapomnienia o jej obecności na nic się zdadzą, gdyż w końcu nadejdzie niestety ta upiorna chwilka i łyżka stołowa wypełniona dokładnie po brzegi jej zawartością powędruje do wykrzywionych grymasem ust. Usta krzywią się wielu Islandczykom i to do dziś na samo tylko wspomnienie codziennej tranowej konsumpcji, która zgodnie staje do szeregu z pozostałymi koszmarami

dzieciństwa. Kiedyś straszący paskudnym smakiem, a dziś już neutralny i często w wersjach smakowych bądź też dostępny w kapsułkach tran przybył do domów na całym świecie właśnie z Północy. Jego zastosowanie było znane Islandczykom od setek lat, a sposób jego produkcji przekazali im Norwedzy. Niegdyś garbowano przy jego użyciu skóry, stosowano go również w lampach oliwnych. Niezwykle zdrowotne właściwości tranu odkryto znacznie później, bo dopiero w XVII wieku, kiedy zauważono, iż spożywanie oleistego specyfiku może mieć niezwykle korzystny wpływ na zdrowie.

Islandczycy na tran mówią *lýsi*. Spożywa go niemal każdy i to oczywiście nie w pigułkach, a w postaci płynnej. W każdym domostwie jest po kilka zapasowych butelek, więc tranowego rytuału ominąć się nie da. Serwują go tu także niektóre hotele, często stawiając go na honorowym miejscu śniadaniowo-bufetowego stołu. *Lýsi* to dla Islandczyków nie tylko suplement diety, lecz także element kultury, z którego są dumni. Piją go od dzieciństwa i bez niego nie wyobrażają sobie życia. Islandczycy uwielbiają się również spożywaniem tranu popisywać i gdy zaczyna się na jego temat biadolenie cudzoziemców, a niedaleko nich stoi właśnie butelka z tranem, czym prędzej sięgną po nią oraz po słusznych rozmiarów łyżkę. Następnie zamaszyście ją napełniają i bez mrugnięcia okiem rację *lýsi* połykają, łypiąc oczywiście na reakcję innych – zmieszanie i narastający podziw. A oblizawszy się, przyjmują naturalnie miny niewiniątek, jakoby nie zrobili nic nadzwyczajnego. Warto dodać, że islandzki popis z tranem za każdym razem zyskuje spore uznanie. Na Islandii chcąc życzyć serdecznie swym kompanom niezapomnianego delectowania się opisanymi powyżej cymesami, mówi się *Verdi ther ad góðu*, czyli po prostu smacznego, choć niekiedy usta raczej zaskoczone nieszczerością tegoż pobożnego życzenia ulegają nieznacznemu skrzywieniu.

Istnieją jednak na islandzkiej ziemi rzeczy, które z uwielbieniem mogłaby konsumować reszta świata, i to nie grymasząc nawet w najmniejszym stopniu. Za *rúgbrauð*, żytni, piernikowy, ciemny, lekko słodki i wilgotnawy chleb, co więcej – pieczony przez dobę w konwulsyjnej, wulkanicznej glebie w okolicach jeziora Mývatn, niektórzy oddaliby wszystko. A za ów chleb posmarowany obfitą ilością cudnie kremowego islandzkiego masła i przystrojony okazałym

kawałkiem wędzonej na zimno palii alpejskiej wyłowionej niedawno z niesamowicie czystego jeziora – bez wahania jeszcze więcej. Masło przez długi czas na wyspie stanowiło walutę. Uznawano je za wielkie dobro oraz niebywały delikates, kiedy więc ktoś zamierzał nim zapłacić, tylko zacierano ręce i zaczynało się oblizywać.

W porównaniu ze współczesnym islandzkim masłem hojnie osolonym, jego starodawna wersja soli niemalże nie zawierała. Masło było za to bardziej kwaśne ze względu na próby jego zakonserwowania. Czasem bywało kwaśne wręcz nieznośnie, a to dlatego, iż wielu Islandczyków nosiło się z zamiarem zakonserwowania go aż na dwa lata. Islandczycy od stuleci na punkcie masła mieli niemałą obsesję, podjadali je więc z łakomą namiętnością bez jakichkolwiek dodatków, zgodnie z prawidłem: *hvað fita er gott*, „co tłuste, to dobre”. Prócz walorów smakowych masło posiadało w bród kalorii i dla Islandczyka, często niedojadającego ze względu na trudne warunki życiowe, było wybawieniem od słuchania uporczywie burczącego z głodu brzucha. Począwszy od XIX wieku, pracownicy farm każdego tygodnia dostawali przydział pięciu kilogramów suszonych ryb i dwóch kilogramów masła. Przydział z niebywałą elastycznością zwiększał się jednakże i zmniejszał, a to, czy pożywnego masła zyska się jeszcze dodatkowy kilogram lub nie dostanie się go w ogóle, zależało jedynie od żony gospodarza, która owymi dobrami zarządzała.

Przez ostatnie dwa stulecia podstawą jadłospisu na wyspie były (obok baraniny) oczywiście ryby i to z nich między innymi wziął się słynny islandzki dobrobyt. Islandczycy jedzą je zazwyczaj kilka razy w tygodniu. Trzeba tu zaznaczyć, że te ryby nie są takie jak te, z jakimi ma się styczność na co dzień, a wszystko dzięki niesamowicie czystemu środowisku, w którym żyją. W okołoislandzkich wodach krążą pstragi, sole, łososie, cierniki, łupacze, węgorze, dorsze i wiele innych, a prócz nich również krewetki. Bardzo popularne są także zające morskie, z których produkuje się imitacje kawioru. A po przyswojeniu solidnej porcji przepysznej palii ułożonej strojnie na *rúgbrauð* można uraczyć się *skyrem*. *Skyr* jest tradycyjnym islandzkim wyrobem mleczarskim, bardzo podobnym do serka homogenizowanego i wytwarzanym już od IX wieku. Techniki jego produkcji przywieziono z Norwegii i chociaż w innych regionach Skandynawii jego popularność zmalała niemal do zera, na Islandii kwitnie bez porażki.

Ponadto Islandczycy uznają go za coś typowego i niezwykle charakterystycznego dla swego kraju, a o norweskiej proweniencji woleliby z pewnością zapomnieć.

Choć dawniej *skyr* był uważany za produkt luksusowy, z każdym kolejnym wiekiem stawał się coraz bardziej dostępny i popularny, i koniec końców, zaczęto spożywać go co dzień na śniadanie. W miarę upływu stuleci stał się kwintesencją islandzkości i symbolem narodowym; wspomniano o nim już w XI wieku w licznych sagach, na przykład w krwawych opowieściach o dość porywczym młodzieńcu zwanym Grettirem Mocnym, który nieprzyjemny incydent rzucenia w niego *skyrem* uznał za największą hańbę, jaka kiedykolwiek w życiu go spotkała. Ze *skyrem* wiąże się również wyrok śmierci. Usłyszała go kiedyś Islandka, która przy użyciu tej pysznej i pożywnej przekąski postanowiła uśmiercić swego brata, podając mu właśnie porcję zatrutego *skyr* przystrojonego dopiero co zerwanymi, apetycznymi borówkami.

Skyr wytwarza się z odtłuszczonego mleka, zaledwie 0,5%, już z daleka bije więc od niego zdrowotna siła. Jest dostępny w wielu niezwykle przyjemnych i smakowitych wersjach smakowych, również w wersji naturalnej, którą podaje się najczęściej z dodatkiem cukru, owoców i mleka bądź z konfiturą. Bardzo często jest on również składnikiem deserów i ciast podobnych do serników na zimno, które określa się mianem *skyrkökur*. W *skyrze* rozsmakowali się George W. Bush wraz ze swą małżonką po wizycie na Islandii w 2006 roku, a ów wyrób mleczarski ujął ich do tego stopnia, iż szef kuchni Białego Domu musiał rozpocząć naukę jego przygotowywania. Wkrótce potem konsumpcja tego niezwykle zdrowego nabiału opanowała także Stany Zjednoczone.

Na Islandii można do woli przebierać w ogromnych ilościach przeróżnych rodzajów lukrecji przypominającej w smaku anyż. *Lakkrís* to bowiem kolejny wynalazek, od którego Islandczycy są wręcz uzależnieni. Lśniące, smolistoczarne łakocie z posiadającej lecznicze właściwości byliny z klanu bobowatych pokochali wszyscy wyspiarze. Historia korzenia lukrecji, z którego uzyskuje się obecny w słodyczach sok, sięga nawet kilku tysięcy lat wstecz. W zależności od dodatków, ta słodka, pikantna bądź przejmująco słona przekąska do XVIII wieku znana była głównie ze względu na swoje właściwości lecznicze,

a stosowano ją po to, by przeciwdziałać oznakom przeziębienia i walczyć z dolegliwościami żołądka. Islandczycy wiedzieli, za przegryzanie czego się biorą, gdyż zanim lukrecja stała się *lakkrís* i wkroczyła dziarsko do islandzkich domów i sklepów, przeszła długą i pełną przygód drogę. O lukrecji wspomina się nawet już w wiekowych, tradycyjnych chińskich zielnikach. Zapiski dotyczące tego smakołyku znaleziono również w egipskich papyrusach, a nawet w grobie samego faraona Tutenchamona.

Możliwe, że wojska Aleksandra Wielkiego przetrwały wyniszczające i koszmarnie długie marsze bez dostępu do wody właśnie dzięki częstemu posilaniu się świetnie gaszącą pragnienie lukrecją, której spory zapas zawsze niosły ze sobą. Także później, w legionach rzymskich, lukrecja stanowiła bardzo istotny element diety, a podczas pierwszej wojny światowej mieli ją zawsze przy sobie francuscy i tureccy żołnierze. W 1760 roku pewien angielski aptekarz, George Dunhill, postanowił dodać do rozcieńczonego ekstraktu z tajemniczo pachnącego korzenia lukrecji cukier i data ta stała się momentem narodzin lukrecji jako popularnego smakołyku. Niedługo potem lukrecja dotarła do Danii, a z Danii prosto na Islandię. *Lakkrís* to najbardziej lubiany na wyspie przysmak, a występuje on dosłownie w dziesiątkach wariacji, w najbardziej fantastycznych kształtach i kontrakcjach z innymi słodyczami. Są na przykład cukierkami oblewanymi obficie czekoladą i/lub elementem czekoladowego nadzienia. Najbardziej ryzykowna wersja to ta obficie obsypana solą, która w smaku wypada dość kontrowersyjnie, zwłaszcza że często cukierki przybierają kształt trupich czaszek. *Lakkrís* wpadają także do pól dekorujących ciasta, do samych ciast i odświeżnych tortów oraz nadają smak lodom, żelkom, gumom do żucia i napojom, a także herbatom. Śmiało można powiedzieć, że są na Islandii wszechobecne.

Kolejną rzeczą, którą Islandczycy spożywają w kolosalnych ilościach, są hot dogi. Pojawiły się na wyspie, gdy zaczęli na niej stacjonować Amerykanie. Na hot dogi na Islandii mówi się *pylsur*, co w wolnym tłumaczeniu znaczy po prostu „parówka”. Okazję do ich zakupu ma się niemal wszędzie, od stacji benzynowych po stoiska w sklepach i wolno stojące budki w miejscach, gdzie pojawia się tłum Islandczyków. Miejsc tych jest tak dużo, iż nie sposób wyjechać z Islandii i *pylsa* nie skosztować, zwłaszcza że istnieją również wersje

wegetariańskie. Obowiązkowym składnikiem – oczywiście prócz parówki będącej mieszaniną baraniny, wieprzowiny i jagnięciny – jest prażona cebula w słusznej ilości, do tego cebula surowa, aby nadzwyczaj przyjemnie chrupało, następnie przeróżne sosy do wyboru, z których wyspiarze najchętniej wybierają ketchup, musztarda oraz sos remuladowy – naturalnie wszystkie na raz. Aby je wszystkie w swej *pylsa* dostać, rzecz należy: *Ein með öllu*, czyli „Jeden ze wszystkim”. Po jednym *pylsa* przychodzi najczęściej chęć na *pylsa* kolejnego, i nikt podwójnych ani potrójnych dawek tu sobie nie odmawia. Na Islandii nic niestety nie poradzi się na fakt, iż jest to kraj, gdzie zjada się najwięcej hot dogów na świecie w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Z podgryzaniem *pylsur* nieodmiennie łączy się również picie coli, a co za tym idzie, połykanie jej ogromnych ilości. Po tak zacnych treningach Islandczycy znaleźli się w Księdze rekordów Guinnessa, a zasłużyli sobie na to wysokim spożyciem ciemnego napoju na głowę mieszkańca.

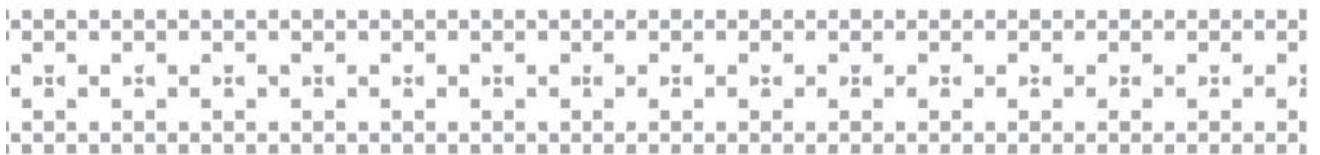
Dużą zaletą przebywania na tejże niepokornej kulinarnie wyspie jest także możliwość konsumpcji jeszcze do niedawna polskich wafli czekoladowych Prince Polo, które na Islandii znane są jako Prins Póló. Zaskakuje ich obecność, a także i niebywała sława, niegasnąca ani na moment i to już od wielu lat. Na Prins Póló wychowały się całe pokolenia Islandczyków. Wielu z nich twierdziło, że to nowe, wyborne danie narodowe. Wszystko zaczęło się w latach pięćdziesiątych. Swego czasu Islandczycy zaproponowali Polakom wymianę handlową i do Polski zaczęły napływać śledzie oraz wełna, na Islandię zaś drewno oraz wódka, a przyłączyły się do nich niedługo także księżące wafelki.

O mało co poczciwy i żądny wrażeń Polo zostałby w domu, gdyż import wszelkich słodkości na Islandię był wówczas całkowicie zabroniony w ramach ochrony rodzimego przemysłu cukierniczego. Przeważały jednak spryt i szelmstwo i tak zaczęła się szalona, zagraniczna przygoda polskiego wafla. W 1955 roku z islandzkich portów wyruszyły statki wypełnione po brzegi puchatą, gryzącą włóczką i przesycone hojnie – jak na towarzystwo śledzika przystało – specyficznym aromatem. Po drodze mijały zmierzające w przeciwnym kierunku frachtowce załadowane polskim dobrem narodowym, czyli obiecująco już schłodzoną wódką, solidnymi palami drewna, a także Prince Polo, które widniało w handlowych wykazach jako... biszkopty.

Te były już dozwolone, bo wyspiarze nie traktowali ich jako łakoci. Polo był w tym czasie praktycznie jedynym importowanym wyrobem cukierniczym dostępnym w tamtejszych sklepach, a polska marka z niezwykłą prędkością zaczęła wtapiać się w islandzką świadomość. Wtedy to Polo stał się Póló i kariera błyskotliwego Polaka za granicą nabrała tempa. W latach siedemdziesiątych, gdy Prins Póló sięgnęło śmiało szczytu popularności, statystyczny Islandczyk podgryzał z lubością ponad kilka kilogramów wafelków rocznie.

Gdy w 1981 roku w Polsce został wprowadzony stan wojenny, a w 1982 roku na Islandii nieoczekiwanie wyczerpały się zapasy Póló, wiadomość dotycząca sytuacji w Polsce oraz ta zupełnie druzgocąca – o deficycie wafli – trafiła na czołówki islandzkich gazet. Na szczęście sytuacja się ustabilizowała i ruszyły kolejne wyczekiwane przez wszystkich dostawy z kruchą przekąską. Wafelek wskoczył też nad wyraz sprawnie na salony islandzkiej kultury, nie tylko średniej, lecz także całkiem wysokiej. Jego łakome wspomnienie pojawia się kilkakrotnie w dorobku jedynego islandzkiego noblisty, nagrodzonego w 1955 roku Halldóra Laxnessa, gdzie padają zdania zapowiadające podanie kawy, a prócz niej nieodmiennie Prins Póló, rzecz jasna klasycznego. Nazwą wafla zainspirowali się także pewni muzycy islandzcy i swą kapelę nazwali nie inaczej jak Prins póló. Polubili ich bardzo Islandczycy, polubiła ich również polska publiczność, a członkowie zespołu ostatnio stwierdzili nawet, że mają plan, wedle którego będą koncertować w Polsce co roku aż do roku 2054. Co więcej, na Islandii Święty Mikołaj niezbyt grzecznym dzieciom przynosi nie Prins Póló, nie popularną różgę, lecz zaskakująco rosłą ziemniaczaną bulwę.

Hak do mięsa



Od niepamiętnych czasów w krajach skandynawskich wraz z Islandią na czele zimowe przesilenie było okazją do hucznego świętowania. Na Islandii jeszcze w dobie pogańskiej odbywały się uroczystości znane jako *jól*, a nazwa ta występowała również w całej Skandynawii. Ale zarówno jej pochodzenie, jak i charakter tegoż święta pozostają w ulotnej sferze przypuszczeń. Niektórzy twierdzą, iż nazwa wywodzi się od słowa *Jólnir* będącego jednym z przybranych imion Odyna, najważniejszego z bogów w panteonie nordyckim i ojca wszystkich bóstw, przy okazji boga wojny oraz wojowników, opiekuna mądrości, magii i poezji. Możliwe, że świętowano właśnie na Odynową cześć, gdyż jego popularność i uwielbienie sięgało w tych stronach zenitu. Po nastaniu chrześcijaństwa gorliwi wielbicieli Odyna musieli znaleźć sobie nowe powody do świętowania, tak więc *jól* przejęło rolę świąt Bożego Narodzenia i nazwa ta pozostaje aktualna od pamiętnego roku 1000 aż do dnia dzisiejszego.

Czas tuż przed świętami Bożego Narodzenia, jako najważniejszego okresu w roku, był prawdziwą eksplozją *kvöldvaka*. Był to także jeden z etapów najbardziej pracowitych, a przyjemne łączyło się tu nie tylko z pożytecznym, lecz także z przymusowym. Farmerzy, aby godnie wyprawić święta, byli często zmuszani do zadłużania się u sprzedawców. Z wielką motywacją pracowano nawet nie za dwóch i trzech, a raczej za czterech, aby owe długi spłacić najszybciej jak tylko się da i móc w pełni rozkoszować się bożonarodzeniową atmosferą. Praca wręcz powinna, ale co, jeśli nagle i umysł, i ciało zgodnie odmawiają posłuszeństwa? Jak wiadomo, Islandczycy też ludzie, a nie da się przecież ciągnąć świątecznego pracoholizmu w nieskończoność.

Nie da się tego robić, nawet jeżeli wybrzmiewają orzeźwiająco ducha sagi czy też złowieszcze opowieści o elfach, z którymi spotkań na

własnej skórze doświadczyło wielu wyspiarzy. Sagowe obrazy wirują przed oczami; na polach bitew wyzwalają się w wikingach najciemniejsze instynkty, sekretni kochankowie zostają odkryci w najmniej spodziewanym momencie, a tu jak na złość, dalsze losy uciekają od wyczekiwanego punktu kulminacyjnego w zwyczajną senność. Tak się jednak składa, iż obdarzeni niecodziennym sprytem wyspiarze znaleźli na podobne sytuacje rozwiązanie i wkrótce potem najbardziej namiętne, niesamowite, a i nierzadko krwawe opowieści mogły zostać wysłuchane aż do samego końca. Tym nadzwyczajnym i niemającym sobie równych wynalazkiem były *vökustaurar*, czyli tak zwane „patyczki na przebudzenie”. Może to brzmieć jak dobry żart, ale faktem jest, iż by jak najdłużej zatrzymać przytomność, pod powieki wkładano tu sobie cienkie, przypominające wykałaczkę patyki.

Na szczęście dla wzroku całych pokoleń, patyczki były dosyć miękko zakończone. Warto sobie jednak wyobrazić potworny ból, gdy tylko oczy zaopatrzone w *vökustaurar* nawet nieznacznie się przymykały. Niestety, pomimo najłagodniejszego zaokrąglenia końcówek nie była to sytuacja przyjemna. Islandczycy nie mieli więc wyboru i z szeroko otwartymi oczami działali najintensywniej jak mogli. Po przedświątecznym strudzeniu w końcu przychodził czas wszelkich przyjemności oraz wyczekiwany zasłużony odpoczynek, również dla oczu.

W miarę przybywania w islandzkiej metryczce stuleci zmieniał się sposób obchodzenia świąt oraz poprzedzającego je okresu. Począwszy od końca XIX wieku, świąteczny czas stawał się coraz bardziej barwny, kolorowy i przytulny, gdyż na Islandię zaczęły przenikać dekoratorskie zwyczaje środkowoeuropejskie. Zaczęto wówczas przywozić egzotycznie wyglądające dla islandzkiego narodu choinki, choć stać było na to jedynie obywatele najzamożniejszych. Pozostali przez wiele lat wykonywali choinkowe imitacje, wyczarowując sztuczne drzewka z drobnych patyczków, przemalowywanych potem na zielono i zdobionych cynamonowymi ciasteczkami, świeczkami oraz zabawkami z papieru.

Masowy import choinek z dalekiego europejskiego kontynentu zaczął się dopiero w latach czterdziestych XX wieku, a obecnie sprytni Islandczycy spragnieni widoku i aromatu igliwia zaspokajają potrzeby choinkami z własnych plantacji. Trochę wcześniej, w latach

trzydziestych XX wieku, pojawił się na Islandii Święty Mikołaj z długą, siwą brodą, w czerwonej długiej szacie oraz z workiem prezentów na plecach (postać spopularyzował w 1930 roku koncern Coca-Cola reklamą napoju stworzoną przez artystę Freda Mizena). Po drugiej wojnie światowej przez Danię dotarł na wyspę niemiecki zwyczaj stawiania na stole wieńca udekorowanego czterema świeczkami, które zapalano kolejno w każdą niedzielę adwentu. W tym czasie w oknach pojawiły się również świeczniki siedmioramienne, dziś uznawane za typowe, nie tylko okołoswiąteczny symbol skandynawski. Jednakże oprócz powszechnych już na całym świecie zwyczajów bożonarodzeniowych na Islandii kontynuuje się wiele obyczajów rodzimych i typowych tylko dla niej.

W święta Bożego Narodzenia do finezyjnych wyspiarskich potraw związanych z celebracją Porri dołącza bezwstydnie mało świąteczna w ogólnym światopoglądzie płaszczka, *skata*. Islandczykom świąteczne przygotowania nie kojarzą się tak szczęśliwie jak Polakom, gdyż niestety nie z aromatem piernikowo-bigosowym, ale z okrutnie nieapetycznym i wyjątkowo odrażającym zapachem amoniaku połączonym z czymś jeszcze bardziej parszywym, ale nie do końca sprecyzowanym. W kategorii porażania odorem *skata* zdecydowanie prześcignęła nawet kontrowersyjnego sfermentowanego rekina. Świąteczne płaszczki łączy się jesienią, następnie pekluje i pozostawia do konkretnego nadpsucia. Aromatem dają o sobie przypomnieć przed samymi świętami, kiedy każdy Islandczyk wyjmuje słoje lub wiaderko z jakiejś pancерnej zabudowy i udaje się z nim do kuchni.

Płaszczki przygotowuje się tuż przed wieczerzą. Kroi się je na kawałki, a następnie obgotowuje w wodzie i najczęściej jest to woda po uprzednio gotowanej jagnięcinie. Zajadane są potem w rodzinnym gronie, z roztopionym łojem owczym, skwarkami oraz ziemniakami – a wszystko to 23 grudnia, w dniu nazywanym *Þorláksmessa*. Nawiasem mówiąc, płaszczką opychają się także w Korei Północnej i Południowej, ale nie z okazji świąt, i znają ją nie jako *skata*, lecz *hong-uh*. *Skata* zwłaszcza islandzkie stoły w nieprawdopodobny sposób. Z amoniakiem nie wygrywa nawet roślina choinka kusząca nad wyraz intensywną wonią igliwia. Kusić powinna, a niestety nie kusi, gdyż zgryźliwy amoniak upajające igliwie ubija.

Domy wietrzy się po tym osobliwym posiłku przez kolejny tydzień,

a jeżeli ktoś choć chwilę przebywał w kuchni, kiedy płaszczkę się przygotowywało, natychmiast przesiąka jej zgubnym aromatem. Kolacja wigilijna, do której zasiada się zazwyczaj około godziny szóstej, składa się z potraw tradycyjnych, serwowanych od dziesięcioleci. W dawnych czasach, aby poszczycić się świętowaniem potrawami, których składnikiem byłoby świeże mięso, tuż przed zabijano owcę bądź cielaka. Mięso przeważnie gotowano, nie doprawiając go niestety zanadto, a na wigilię podawano je w postaci solidnie sycącej zupy mięsnej znanej pod nazwą *kjötsúpa*. W tym przypadku baranina występowała w towarzystwie kapusty, brukwi i kaszy. Kolejnym powszechnym i bardzo popularnym w tym czasie daniem była również wędzona baranina, *hangikjöt*. Niegdyś substytut mięsa baraniego bądź innego w biedniejszych domostwach stanowiła pardwa, *rjúpa*, która dziś jest uznawana za niezwykle ekskluzywne świąteczne danie. W przeszłości przetwory zbożowe były na Islandii horrendalnie drogie, dlatego chleb dołączył do grona przysmaków bardzo rzadko konsumowanych i podawanych jedynie kilka razy w ciągu roku, w tym również z okazji świąt. Za potrawy typowo świąteczne uważano również kaszkę jęczmienną lub budyń, a oba serwowane z rodzynkami i konfiturą z rabarbaru, *rabarbarasulta*.

Unikalnym poczęstunkiem na wigilijnym stole był i jest chlebek *laufabrauð*. To rzecz typowa dla Islandii i nie znajdzie się jej w innych krajach skandynawskich. Jest niezwykle dzięki przepięknym ażurowym wzorom przypominającym płatki śniegu. Po raz pierwszy wspomniano o nim w zapiskach z XVIII wieku, kiedy o mąkę było trudno. To dlatego *laufabrauð* jest taki cienki. Idea narodziła się na północy kraju, ale potem spodobała się wszystkim Islandczykom, *laufabrauð* zaczął więc pojawiać się na wszystkich świątecznych stołach. Przyznać trzeba, że przygotowanie chlebków stanowi nie lada wyzwanie. Rozwałkowywanie ciasta to wyjątkowo ciężka praca (niegdyś mówiło się, że ciasto ma być tak cienkie, aby można było przez nie czytać Biblię). Od pokoleń do tego etapu przygotowań świątecznych zaganiano przede wszystkim mężczyzn. Był to jedyny dzień w roku, kiedy udzielali się oni w kuchni. Przygotowanie *laufabrauð* nie jest zadaniem dla jednej osoby. Islandczycy na kilka tygodni przed świętami organizują rodzinne spotkania, podczas których schodzi się cała rodzina i przygotowuje tradycyjny chlebek.

Chlebek jest neutralny w smaku, a podaje się go zazwyczaj z wędzoną baranią. To prawdziwa ozdoba świątecznego stołu.

Gdy w końcu sytuacja finansowa Islandii się poprawiła i zwiększył się import zbóż, w okresie świątecznym zaczęto smażyć naleśniki oraz przygotowywać przysmaki będące formą pośrednią pomiędzy pączkiem i racuchem, które są znane jako *kleinur*. *Kleinur* można także ochrzcić islandzką wersją faworków, są do nich bardzo podobne wizualnie, ale mają też wiele wspólnego z donutami, tyle że pozbawionymi nadzienia. Różnego rodzaju ciastka przestały być wkrótce kojarzone jako świąteczne smakołyki i weszły do codziennego jadłospisu Islandczyków, zyskując niezwykłą popularność.

Przygotowania do świąt Bożego Narodzenia na Islandii rozpoczynają się w sklepach odzieżowych. W tym przypadku nie jest to jednak pogoń za modą i chęć udoskonalania bożonarodzeniowego wizerunku. Nic podobnego; Islandczycy zabierają się za owe zakupy nawet z trwogą, i to wcale niespowodowaną obawą o zdobycie upragnionego modelu w odpowiednim rozmiarze. A wszystko przez pewien sędziwy, dość brutalny, typowo islandzki obyczaj. Szepta się o nim z lękiem *að fara jólaköttinn*, czyli z islandzkiego i dosłownie tłumacząc: „stać się ofiarą Kota Świątecznego”. Zabawnie brzmiąca fraza słusznie nie powinna nikogo rozbawiać. Obyczaj ów bowiem mówi, że w czasie świąt każdy musi mieć na sobie jakąś nową część garderoby. Nie da się tejsze odzieżowej premiery ominąć, gdyż w przeciwnym razie narażamy się na wielkie niebezpieczeństwo – pożarcie przez wyjątkowo złośliwą i bezecną bestię zwaną Kotem Świątecznym.

Krwiożerczy stwór, który tylko czeka na wszystkich zapominalskich biesiadników, należy do równie dekadencjonalnej w usposobieniu Gryli, trollicy zwanej Wiedźmą Świąteczną. W dawnych czasach wszystkie sprawy z przedzeniem oraz przerabianiem wełny należało zakończyć do dnia Wigilii. Farmerzy straszili swych pracowników, że jeśli nie zdążą, zostaną pożarci przez legendarnego stwora – Kota Świątecznego. Ci, którzy potrafili uporać się z masą obowiązków, otrzymywali w prezencie świątecznym nowe ubrania. Pozostając pod tak bezwzględną presją, dziś wszyscy Islandczycy dokładają wszelkich starań, może nie tyle aby wszelkie projekty na czas zakończyć, ile aby sprawić sobie na święta nową odzież i tym samym Kota Świątecznego przechytrzyć.

Magicznych chwil Bożego Narodzenia Islandczykom nie umiła jedynie znany na całym świecie z hojności starszy, korpulentny pan z długą bujną brodą, ubóstwiający intensywnie czerwone kombinezony. Co to to nie, ma on towarzystwo. Jako że jeden Święty Mikołaj wyspiarzom nie starczył, mają prócz niego jeszcze... trzynastu. Niestety, owa trzynastka dla niektórych może się okazać co najmniej pechowa. Mikołajów nazywa się *Jólasveinar*, czyli prościej mówiąc bożonarodzeniowymi chłopcami. Wywodzą się oni z rodziny bardzo zacnej, gdyż wspomniana już Gryła jest ich pełną uroku rodzicielką. Mikołajkowa łobuzeria żyje w górach, tyle że nikt do tej pory nie zdołał rozwikłać w których. Wiadomo jednak, iż do dnia dzisiejszego mieszkają wraz z rodzicami oraz ze swym ukochanym Kotkiem o rozmiarach dawno przekraczających normę i większym od największego w stadzie lwa.

Nazwa *Jólasveinar* wydaje się dla tej trzynastki jak najbardziej odpowiednia, gdyż trudno byłoby ochrzcić ich słowem kojarzącym się z aureolą i ujmującym usposobieniem. Otóż ci Mikołajkowie swego czasu święci nie byli wcale. Jako potomkowie wyjątkowo nikczemnych trolli mających w zwyczaju konsumowanie nieposłusznych niepełnoletnich jednostek, nie mają nic wspólnego ze znaną innym narodom wizją Mikołaja. Kiedyś całą ich perfidną dynastią straszono dzieci i robiono to nad wyraz skutecznie; jednakże w ubiegłym stuleciu banda stała się niespodziewanie o wiele bardziej przyjacielska. Odwiedzają oni islandzkie domy, przynoszą podarki, choć nie zrezygnowali całkiem z niektórych ze swoich figli. Chłopcy nadal wyznają jedyną życiową zasadę: *spellvirki yfir vandræðum*, „psoty ponad kłopoty”. Trudno zatem do nich cokolwiek życzliwego pisywać, zwłaszcza listy zawierające masę materialnych roszczeń. Gdy liścik z prośbą o podarek wpadał im w ręce, czym prędzej robili sobie z tego psikus, skutkiem czego zamiast upragnionej rzeczy ktoś otrzymywał przedmiot przynależący do zupełnie innej kategorii. Czyli zamiast mięciutkiej poduszki grzebień, a zamiast garnka widły.

Mikołajowie przychodzą w okresie przedświątecznym jeden po drugim, otrzymuje się więc po jednym, małym prezencie od każdego przez kolejne trzynaście dni. Pierwszy z nich zjawia się 12, a ostatni 23 grudnia. 12 grudnia każdy mały bądź większy Islandczyk eksponuje swoje najlepsze, czasem nie najwygodniejsze obuwie na

parapecie i z niecierpliwością czeka. Niektórzy wystawiają buty o jak najwyższych cholewkach w nadziei na otrzymanie pokaźniejszych podarków, lecz do tej pory żaden z chłopców nie dał się na te sztuczki kozaczka nabrać. Najbardziej okazałe prezenty gwiazdkowe były i nadal są przekazywane na Islandii w Wigilię. W dawnych czasach do najbardziej popularnych podarków zaliczały się świece, wełniane elementy garderoby, robione oczywiście własnoręcznie, oraz karty do gry.

Imiona *Jólasveinar* w większości są związane z czynionymi przez nie psotami i doskonale oddają ich charakterki. Przychodzą więc kolejno: *Stekkjastaur* (Kij do owiec), *Giljagaur* (Prostaczek), *Stúfur* (Krótki) nazywany też *Pönnuskefill* (Skrobacz patelni), *Þvörusleikir* (Lizacz łyżek), *Pottasleikir* (Lizacz garnków), *Askasleikir* (Lizacz misek), *Hurðaskellir* (Trzaskacz drzwiami), *Skyrgámur* (Obżartuch podkradający Skyr), *Bjúgnakrækir* (Złodziej kiełbas), *Gluggagægir* (Podglądacz), *Gáttaþefur* (Wąchacz), *Ketkrókur* (Hak do mięsa) oraz *Kertasníkir* (Złodziej świec). *Stekkjastaur* upodobał sobie najbardziej mleko owcze, dlatego zawsze ma przy sobie długi kij, którym straszy owce, wykradając im mimochodem wszelkie zapasy mleka – chyba dlatego na Islandii w dalszym ciągu nie produkuje się niestety owczych serów. *Ketkrókur* wyćwiczył się w wyjątkowo sprytnej strategii podkradania swej ulubionej baraniny tudzież innych przysmaków poprzez nabijanie ich na hak, który zsuwa niepostrzeżenie przez kuchenny komin. Przedziwne są niekiedy preferencje kulinarne Mikołajów; *Kertasníkiri* od zawsze uwielbiał podgryzać sporych rozmiarów i najlepiej pękate świeczuszki. Ze współczesnych czasów jest zupełnie niezadowolony, gdyż podczas każdej bożonarodzeniowej wizyty powtarza, iż dzisiejsza produkcja świec to według niego kompletna porażka. Najbardziej smakowite były oczywiście nie te współczesne, paskudne syntetyki, ale świece tworzone jak za dobrych, sędziwych lat, wykonane z owczego tłuszczu.

Wiele zwyczajów przybyło na Islandię wraz z Duńczykami, którzy zaczęli rozpowszechniać na wyspie swoje wzorce kulturowe. Dzięki ich obecności pojawił się ciekawy, prognozujący wiosnę świąteczny okres, znany w Danii jako *Fastelavn*. Na Islandii święto zaczęło być obchodzone w XIX wieku i zwie się je tu *Bolludagur*, czyli Dzień Słodkiej Bułeczki. *Bolludagur* obchodzi się na Islandii dokładnie na

siedem tygodni przed Wielkanocą. Tradycja pochodzi ze średniowiecza, kiedy to zarezerwowane tylko na Fastelavn pszenne bułki z mlekiem lub z kawałkiem masła w środku były niecodziennym, niemalże luksusowym smakołykiem. *Bolludagur* ma trochę wspólnego z polskim tłustym czwartkiem, tyle że na wyspie zajada się wówczas na potęgę ciastka nazywane *Bollur*.

Bolla to słodka, bardzo puszysta bułka wypełniona jasnym, podobnym do ptysiowego kremem, niekiedy posypana lukrem lub oblana czekoladą. Bez dwóch zdań sprawia, iż nawet najbardziej zagorzały przeciwnik cukru ma ochotę skusić się przynajmniej na kilka apetycznych kulek. Zresztą nie można sobie darować degustacji, jako że wedle jednego z przesądów ten, kto nie skosztuje w ów przyjemny dzień ani jednego ciasteczka, od tej pory będzie wiodł żywot pozbawiony szczęścia. Także im więcej *bolla* się zje, tym większe szczęście kosztującego spotka. Islandczycy bez cienia wątpliwości zawierają temu sposobowi na przywołanie życiowego farta i jeśli chodzi o liczbę zjadanych pyszności, zwyczajnie folgują. Bułeczki zwykło się kupować na dzień przed godziną zero, by ominąć zwariowane i niekończące się kolejki w sklepach. W *Bolludagur* okazuje się, że Islandczyków poza stolicą jest znacznie więcej aniżeli kilku, gdyż do cukierni i piekarni schodzą się tak rzadko widziane tu tłumy. Niemal każda piekarnia ma swoje *Bolludagurowe* sekrety, dzięki którym ich specjały pozostają wyjątkowe. Jeśli przebywa się na wyspie w tym czasie, można skorzystać ze sprawdzonego sposobu Islandczyków i świętować z kilkoma rodzajami łakoci pochodzącymi z różnych cukierni.

Całe szczęście, że Islandczycy w swoim czasie odeszli od duńskiej wersji obchodów Fastelavn i, jak nazwa wskazuje, skupili się głównie na raczeniu się słodyczami. W Danii święto miało jeszcze większy rozmach i często przeradzało się w rozrywkę raczej kontrowersyjną. Niezwykle popularna była kiedyś gra „kot w beczce” – rozrywka okrutna, a polegająca na zawieszaniu na drzewie drewnianej beczki z żywym, czarnym kotem w środku, a następnie rozbijaniu jej kijami. Dla urozmaicenia czasem zawodnikom zawiązywano oczy, a czasami sadzano ich na koniach. Grę wygrywał ten, od którego uderzenia odpadło dno beczki. W niektórych rejonach Danii zwycięzca zwolniony był przez cały rok od podatków. Po rozbiciu pojemnika kota często,

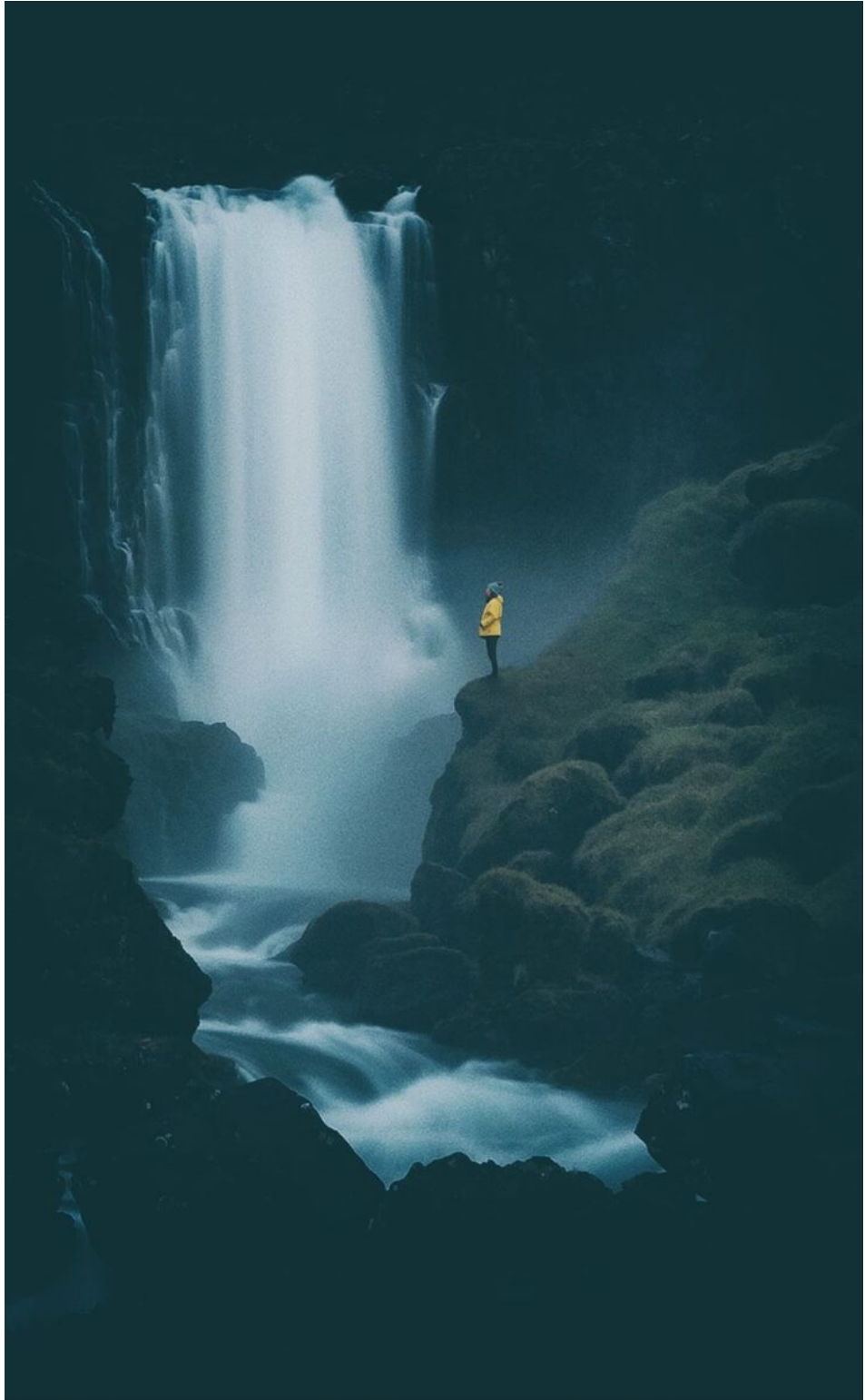
choć nie zawsze, zabijano. Ten barbarzyński zwyczaj miał podobno zapewniać ochronę przed wszelakim złem, a między innymi zapobiegać wybuchom zarazy.

W połowie XVIII wieku zaczęły się pojawiać głosy sprzeciwu wobec maltretowania kotów w obchodach Fastelavn. Od połowy XIX wieku do beczki częściej wkładano martwego już kota, lecz potem przez coraz bardziej nasilające się krytyczne opinie zastąpiła go kukła, tyle że kształtem kota przypominająca. Ostatni przypadek wykorzystania w Danii żywego zwierzęcia zanotowano pod koniec XIX wieku. Gra bez bezdusznego elementu przetrwała do dziś, jednakże współczesne beczki są już tylko przyozdobione wizerunkiem kota, a do środka wkłada się słodycze. Z gry dla dorosłych zrobiła się tym samym zabawa dla dzieci i w takiej też formie występuje właśnie na Islandii. Co więcej, ma to dużo wspólnego z meksykańską Piñata. Beczkę rozbija się tak samo jak niegdyś: dzieci ustawiają się w kolejce, a każdemu z nich przysługuje umówiona wcześniej liczba uderzeń kijem. Ten, którego cios spowoduje odpadnięcie dna i wysypanie się sporej ilości łakoci, zostaje *köttur drottning*, „kocią królową” lub *köttur konungur*, „kocim królem”.

Niedziela Wielkanocna, zwana także Wielką Niedzielą lub Niedzielą Zmartwychwstania Pańskiego, na Islandii jest nazywana *Páskadagur*. Islandczycy spędzają ten dzień rodzinnie, najczęściej zasiadając do wspólnego obiadu, a nie jak w Polsce śniadania. Na stole tego dnia znajduje się pieczona baranina w towarzystwie ziemniaków oraz buraków. Dzieci natomiast zajadają się czekoladowymi jajami wypełnionymi przeróżnymi łakociami. Najpierw muszą je jednak znaleźć w domowych zakamarkach. Zwyczaj ten zawitał na wyspę około 1920 roku. Początkowo wielkanocne jaja były robione z tektury, w środku wypełniano je słodkościami; jednakże w późniejszym czasie przeistoczyły się w jaja intensywnie czekoladowe o nazwie *Páskaegg*. Co roku produkuje się ich na Islandii blisko milion. Najmłodszy z pomocą rodziców lub przedszkolnych opiekunów przygotowują także na ten dzień, podobnie jak w Polsce, malowane jajka, oraz dekoracje, takie jak kurczaczki z papieru lub baranki z wełny.

Poniedziałek Wielkanocny, który w Polsce nazywamy lanym poniedziałkiem, na Islandii nosi nazwę *Annar í páskum* i nie praktykuje się tam tradycji polewania się wodą. Jest to dzień błęgiego

relaksu, podjadania uprzednio przyrządzonych łakoci, rodzinnych spacerów i przejażdżek konnych. W czasie islandzkich świąt wszyscy wyczekują żonkili, zwanych tu *páskaliljur*, czyli wielkanocnymi liliami, choć z liliami mają niewiele wspólnego. Niestety każdego roku i to już od wieków *páskaliljur* płatają Islandczykom figla i zakwitają z niejakim opóźnieniem, gdyż nawet i miesiąc po świątach.











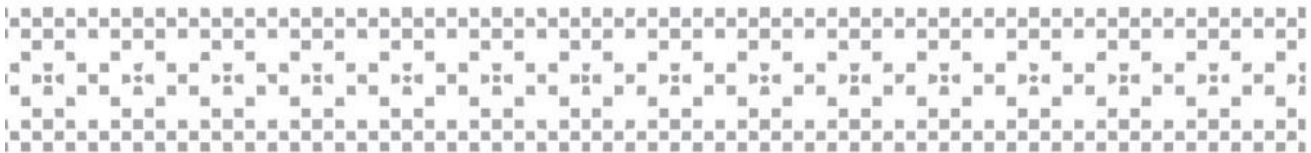






Kminek

wieczorową porą



Język islandzki nie przypomina w żaden sposób innych języków świata. Brzmi zupełnie jak wykradziony z prastarej legendy i na dobrą sprawę nie może przecież brzmieć inaczej, gdyż od dawnych wieków niewiele się zmienił. Mimo iż w nader częstym użyciu, nadal wydaje się jakby zapomniany, przykurzony wczesnośredniowiecznymi naleciałościami, dopiero co rozszyfrowany z enigmatycznych run i na nowo dostosowany do współczesnych potrzeb. Początkowo był to język, jakim posługiwali się osadnicy norwescy, tak zwany *norse*, czyli staronordyjski. Z niego właśnie wykształciły się dwie językowe formy, norweska oraz islandzka. W przeciwieństwie do pozostałych języków europejskich, język islandzki ze względu na izolację wyspy nie uległ na przestrzeni wieków wielu znaczącym zmianom; zaszły one jedynie w artykulacji oraz w wymowie poszczególnych wyrazów. Islandczycy są zatem w stanie czytać starodruki w narodowym języku sprzed tysiąca lat. Cały naród jest niezmiernie dumny z takiego obrotu spraw i tym samym nie ma w zwyczaju dodawania do niego żadnych słów obcych. Za to na specjalne okazje wyspiarze wymyślają ciekawe odpowiedniki, weźmy za przykład zacnego mieszkańca złowieszczego Gotham City, Batmana, czyli z islandzkiego *Leðurblökumaðurinn*.

Posługiwanie się własnym językiem napawało Islandczyków ogromną dumą i było dla nich oznaką wyróżnienia, scalającą mentalnie ludność. Język od zawsze określał ich jako naród i może właśnie dlatego przetrwał cudownie niezmienny przez tyle szalonych stuleci i okresów dominacji nad Islandią innych narodów. Znaczną rolę w zachowaniu językowej formy odegrały słynne sagi, gdyż Skandynawowie, którzy chcieli dowiedzieć się czegoś na temat swojej przeszłości albo po prostu zaczerpnąć czytelniczej rozrywki, musieli zapoznawać się z nimi po islandzku. O romantycznie prastary język islandzki można nadal być spokojnym, gdyż niezmienny od wieków

ma się dobrze, zwłaszcza że czuwa nad nim Instytut Języka Islandzkiego. Jest to oficjalny organ rządowy, który odpowiada za orzekanie w kwestii wszelkich zapożyczeń oraz promowanie poprawnej islandczyzny. 16 listopada, w dniu urodzin bardzo cenionego na wyspie poety Jónasa Hallgrímssona, Islandczycy świętują nawet Dzień Języka Islandzkiego. A jako że wyspiarze mają okazję obserwować zimę w jednej z najbardziej niewiarygodnych form, biorąc pod uwagę całą Europę, używają zamiennie z hasłem śnieg ponad czterdziestu określeń. Nie lubią się tym jednak chwalić, bowiem na Grenlandii w użyciu jest ich ponad sześćdziesiąt.

Podobnie jak pozostali Skandynawowie, wyspiarze wypowiadają niektóre słowa na wdechu. W efekcie brzmi to tak, jakby ktoś z niewiarygodnego zaskoczenia nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa, lecz nadal usilnie próbował to osiągnąć. Ponadto na Islandii, gdy ma się ochotę wyartykułować mruczaco typowe dla wielu sytuacji „mmhhmm”, robi się to głośno i ożywczo w formie *jaája!*. Fraza jest powtarzana zazwyczaj wielokrotnie i brzmi tak, jakby ktoś niechętny nadział się na jeden z ostrych baranich rogów, tyle że z dodatkiem „j”. W skrócie brzmi to mniej więcej tak: „jaałłjjjjaaa!” i szczególnie fascynujące staje się w chwili, gdy Islandczyk prowadzi jakąkolwiek dłuższą rozmowę telefoniczną, podczas której potakuje. Wówczas wypowiada „jaałłł” przynajmniej piętnastokrotnie.

Prócz *jaája!* na Islandii pobrzmiwa bardzo regularnie hasło *skál*. Towarzyszą mu najczęściej ochoczo brzękające kieliszki, mimo że w lokalnych supermarketach brakuje półek z mocnymi trunkami. Można naturalnie je nabyć, ale zazwyczaj tylko w tajemniczych godzinach w sklepach sieci *Vínbúðin*. O jakikolwiek trunek trudno zazwyczaj w soboty i w niedziele. Gdy zatem ktoś przypomni sobie, iż nie zakupił białego wina do risotto wymarzonego na obiad, to niestety ów jakże istotny składnik jego posiłku w niedzielę się w domostwie nie pojawi. Są to jeszcze pozostałości po zawirowaniach z ubiegłego wieku, gdy apodyktyczny i wyjątkowo żarliwy islandzki ruch antyalkoholowy w 1908 roku zaczął doprowadzać do rozpaczki niektórych mieszkańców, dążąc do wprowadzenia całkowitej prohibicji.

Właśnie w 1908 roku odbyło się pierwsze referendum regulujące tę kwestię, a ów szalony wniosek poparło ponad sześćdziesiąt procent głosujących. Warto dodać, że w narodowym referendum głosowali bez

wyjątku wszyscy Islandczycy. W latach osiemdziesiątych XIX wieku oraz na początku stulecia kolejnego wielu wyspiarzy decydowało się na emigrację do Stanów Zjednoczonych, tak więc pomysł ustanowienia prohibicji był jednym z prądów, który jako echo amerykańskiego świata odnalazło się doskonale na Islandii. W tym właśnie czasie alkohol zaczął być eksportowany na wyspę przez Duńczyków, tyle że w porównaniu z Danią żyło się na wyspie nadzwyczaj biednie, a czasem wręcz na biedę kompletnym skrajem. Nie zważając na horrendalne ceny, Islandczycy dosłownie zachłysnęli się alkoholowymi nowościami. Butelki rumu, ginu, whisky i innych rarytasów zaczęły towarzyszyć im przy niemal każdej czynności; o zgrozo, zabierali je również rybacy wypływający na połów, farmerzy idący na łąki, a reszta tam, gdzie miała zatrudnienie. Dość często zdarzały się przypadki, gdy farmerzy przepijali dosłownie w jedną noc pieniądze, które miały posłużyć do utrzymania całej rodziny nawet przez rok. Ich zdruzgotane małżonki z coraz większą zawziętością zaczęły więc zabiegać o wycofanie ze sklepów wszelkich produktów wyskokowych.

Oficjalnie zakaz produkcji oraz konsumpcji wszelkich wyrobów alkoholowych został wprowadzony w życie dopiero siedem lat później. Rok 1915 przyniósł amatorom trunków niemałe rozgoryczenie, ale i stał się początkiem wysypu pomysłów na omijanie kwestii prawnych z nimi związanych. Tak czy inaczej, alkoholem nadal obficie się raczono. Co ciekawe, maczali w tym palce także wyspiarscy medycy, którzy wywęszyli w kryzysowej sytuacji niezmiernie intratny interes. Niezwykle popularne zaczęły stawać się prośby o wypisywanie recept na rozsądne pojemności trunków, które miały ratować oczywiście niestety nie najlepsze zdrowie.

Tym samym gin oraz whisky zapisywano między innymi na dokuczliwe problemy z krążeniem oraz wyjątkowo uciążliwe migreny, niewyleczalne innymi metodami. Rum natomiast podobno doskonale rozprawiał się z astmą, wystarczyło do szklaneczki dorzucić jeszcze odrobinę porostów i lek był gotowy do spożycia. W całkowitej prohibicji Islandia przetrwała jedynie do 1921 roku. W latach kolejnych zaczęły się piętrzyć międzynarodowe perypetie, gdyż z purytańskich obostrzeń niezadowoleni byli, prócz niektórych obywateli Islandii, także jej partnerzy handlowi. Hiszpania jako jeden z największych odbiorców islandzkich ryb zagroziła, że zaprzestanie je nabywać, jeżeli w dalszym

ciągu nie będzie mogła eksportować na Islandię swych win. Nie chcąc doprowadzić do zatargów gospodarczych i obawiając się o wszelkie kontakty handlowe, zniesmaczony niewygodną sytuacją rząd zaczął zastanawiać się nad zniesieniem jak najprędzej chociaż częściowo restrykcji. Uczyniono to niebawem, zezwalając w końcu Islandczykom na raczenie się winem.

W 1933 roku odbyło się kolejne referendum, podczas którego za zniesieniem prohibicji opowiedziało się tym razem niecałe sześćdziesiąt procent obywateli. Rok 1935 przyniósł natomiast kolejne zmiany, mianowicie został zniesiony zakaz sprzedaży wszelkich mocnych alkoholi, przy czym na czarnej liście kuriozalnie pozostawiono jedynie zakaz sprzedaży piwa mocniejszego niż dwuprocentowe. Islandzcy piwosze już cieszący się na powrót ich dawnych nawyków i raczenie się zapomnianym smakiem ulubionego alkoholu oniemieli. Przez całe lata próbowali pocieszyć ich islandzcy barmani, którzy postanowili poradzić sobie z ową niewdzięczną sytuacją. Mianowicie dolewali do niego mniej lub bardziej obdarzone procentami niespodzianki, między innymi spirytus, umiejętnie omijając tym samym prawo. Jeśli chodzi o wyczarowywanie piwa, to wyjątek stanowił pewien szczególnie uprzywilejowany browar. On jeden miał prawo do warzenia pienistego trunku o ujmującej nazwie „Polar Bear”, jednakże ten przeznaczony był tylko i wyłącznie dla spragnionych podniebień Amerykanów.

Stacjonowali oni na Islandii podczas drugiej wojny światowej od lipca 1942 roku, kiedy to strzegli bezpieczeństwa wyspy jako wojska okupacyjne. Przybyło ich około czterdziestu tysięcy, podczas gdy populacja islandzka wynosiła wówczas sto dwadzieścia tysięcy. Śmiało można zatem rzec, że było co warzyć. Z piwnego jarzma Islandczycy zostali wybawieni dopiero w roku 1989. Chwała za to, bo cóż to była za kara. Od tamtego czasu wyposzczeni i rozochoceni, czemu trudno im się zresztą dziwić, pielęgnują wspomnienie powrotu na stoły prawdziwego chmielowego rarytasu i 1 marca obchodzą święto narodowe zwane *Bjórdagurinn*, czyli Dzień Piwa. Dzień to bardzo piękny i ważny, warto więc przyłączyć się do świętowania wraz z Islandczykami i skosztować tym samym kilku nad wyraz smakowitych i szlachetnych piw rzemieślniczych ich produkcji, na przykład z dodatkiem pysznej andżeliki. Ostatnią wojskową bazę znajdującą się w Keflavíku Amerykanie opuścili dopiero w 2006 roku,

tyle że w tym czasie było ich znacznie mniej niż przed laty. Tak czy inaczej, zważywszy na długość ich pobytu na wyspie, musieli być islandzkimi trunkami najwyraźniej oczarowani. Z równym niesmakiem jak do alkoholu, państwo wzbraniało się także przed ogólnym dostępem do tajników uprawiania boksu, który na Islandii był sportem zakazanym aż do 2003 roku.

Owe zakazy i zawirowania dotyczące alkoholu nie wydają się niczym dziwnym, jeśli zacznie się zgłębiać dane dotyczące problemów alkoholowych na wyspie. Islandczycy pili i nadal piją dużo, chętnie oraz często nie mając w przyjmowaniu solidnych procentowych dawek umiaru. Choć ludzi żyje tu mało, to każdego tygodnia odbywa się na wyspie aż trzysta spotkań AA tygodniowo. W rodzinie każdego Islandczyka można znaleźć przynajmniej jedną osobę uzależnioną od alkoholu. O organizacji AA Islandczycy usłyszeli po raz pierwszy w 1954 roku, z gazet. Pomysł na terapię spodobał im się bardzo, niestety na wyspie nie było wówczas podobnej wykwalifikowanej pomocy, dzięki której mogliby się wyrwać z nałogu. Aż do lat siedemdziesiątych wyspiarze gremialnie kursowali więc po porady i na terapię pomiędzy Islandią a Stanami Zjednoczonymi. Wkrótce potem postanowiono stworzyć krajową organizację na wzór AA, która na Islandii zwie się SÁÁ. Pomimo usilnych starań Islandczycy nie zaprzestali prowadzenia dość hulaszczego trybu życia, tyle że starają się teraz ograniczać do weekendów i nie wydawać miesięcznych pensji w jeden wieczór.

Kultura wieczorno-nocnych spotkań na Islandii różni się znacznie od tych kultywowanych w innych stronach świata. Podobnie jak w Polsce, popularne jest organizowanie tak zwanych domówek. Przed rozrywkowymi wyjściami Islandczycy dla oszczędności oraz treningu umiejętności pochłaniania napitków spotykają się właśnie w domach. Nie ma tu zwyczaju wychodzenia na miasto przed północą, z kanap rusza się więc grubo po niej. Ludzie schodzący się na takowe spotkanie przez jakieś dwie godziny wydają się niezmiernie nieśmiali, chorobliwie skromni i małomówni, a nawet antypatyczni. Wystarczy jednak odczekać jeszcze mniej więcej dwie godziny, aby ujawniła się ich kolejna twarz. Po przyswojeniu odpowiednich dawek napojów wysokoprocentowych wyspiarze jawią się jakby śmielsi, a wypowiedzane zdania zaczynają galopować, coraz to obfitsze

w składnię. Na ów przyjemny proceder i obiecujący początek wieczoru zwykło się mówić *djamm*.

Gdy *djamm* trwa w najlepsze, wszyscy raczą się hojnie odpowiednio schłodzonym *Brennivín*, czyli dość mocnym i raczej specyficznym alkoholem, a mianowicie ziemniaczaną wódką o smaku kminku. Nazywa się go również pieszczotliwie *svarti dauði*, „czarną śmiercią”, a w dosłownym tłumaczeniu oznacza płonące wino. Jeżeli natomiast chodzi o jego walory smakowe, to przez pozostałe nacje zgodnie jest uznawany za wyjątkowo niesmaczny. Zachłystywanie się nim ma już swą długą historię, jako że produkcja *Brennivín* rozpoczęła się tuż po zniesieniu prohibicji. Dziś alkohol produkuje się niezmiennie w jadowicie zielonych butelkach z ponurą, czarną etykietą, które to połączenie kolorystyczne miało na celu odstraszać jego potencjalnych konsumentów.

Mimo wszystko po *svarti dauði* sięgano nadzwyczaj chętnie, nawet jeśli i z niewielką obawą. Nadal jest to jeden z ulubionych, tradycyjnych islandzkich trunków i często kosztuje się go na rozgrzewkę ciała i umysłu w okresie jesienno-zimowym. Wszyscy Islandczycy zgodnie twierdzą, iż wzmocniony przez upajające procenty kminek wieczorową porą sprawdza się wręcz znakomicie. *Brennivín* doskonale komponuje się wraz z przytoczonym już stęchłym godziwie rekinem i nierzadko przedstawia się te dwa rarytasy jako nierozłączną parę – we właściwej kolejności, po zagryzce należy kieliszeczek. Co więcej, *Brennivín* można skosztować jedynie na wyspie, gdyż pozostałe kraje ewidentnie nie miały dotychczas odwagi, aby zacząć go sprowadzać.

Gdy w trunkach coraz bardziej rozcieńczają się prawdy, a Islandczycy stają się ekspresyjni bardziej aniżeli Włosi i Hiszpanie, jest to znak, że nieubłagane zbliża się stan ducha określany jako *trúnó*. *Trúnó* ujawnia się zazwyczaj znienacka, a do tego nigdy nie w samotności, a zawsze w towarzystwie. Noc mija i można zauważyć, że nieoczekiwanie odseparowaliśmy się od swych przyjaciół i zajęliśmy wraz z osobą wcześniej nieznaną jeden z kilku dostępnych kątów przeludnionego pomieszczenia, aby pogadać. Niespodziewanie osoba przed chwilą niezbyt znajoma staje się osobą znajomą niemal od lat. Mijają minuty, a wraz z nimi odsłaniają się wszelkie skrzętnie dotychczas skrywane sekrety, o których nie wie nawet nasz najbliższy

sercu przyjaciel. Coraz intensywniej dochodzą do głosu wstydlive marzenia oraz echa żenujących wpadek przeleżałych na sumieniu i to przez wiele lat. Żalom oraz równie cierpkim wspomnieniom nieszczęsnych dyskredytacji towarzyszą zazwyczaj wysokie tony melodramatyczne, co więcej asystują im także potakiwania pełne niebywałej egzaltacji oraz poklepywanie po plecach i przyjacielskie objęcia. *Trúnó* to przypadłość wybitnie islandzka, do tego stopnia, iż w innych językach nie ma na nią określenia. Jest to po prostu wyznanie pod wpływem upojenia alkoholem najskrytszych sekretów i tego, co leży nam na sumieniu, zupełnie nieznannej osobie. Ot ciekawa wersja wizyty u psychoterapeuty, którą cały naród serwuje sobie nadzwyczaj często. Na *trúnó* bowiem nie ma niestety na Islandii rady. Tak przy rozlewce jednego z najbardziej niesmacznych trunków świata, choć o gustach podobno się nie dyskutuje, upływają weekendowe islandzkie wieczory.

Na tym jednak nie koniec, ponieważ wspomnienie *trúnó* nie ulatnia się natychmiast. Jednego spodziewają się nazajutrz wszyscy; już zawczasu jawi im się wizja okrutnego *djammviskubit*. Jest to mieszanka słowa *djamm* i *samviskubit*, znanego jako szczególnie napastliwy wyrzut sumienia. W skład *djammviskubit* wchodzi: gnębiące poczucie wstydu, wyjątkowo złe samopoczucie występujące już kilka godzin po spożyciu nadmiernej ilości napojów alkoholowych, siniaki, stłuczenia oraz zwichnięcia ujawnione w nieznanym okolicznościach, niespodziewane debety na kontach, światłowstręt, zakończenie nawet kilkuletnich relacji przyjacielskich bądź miłosnych, w tym zerwanie zaręczyn. Zdarzają się także momenty olśnienia związane z odkryciami nowych ścieżek życia, decyzje o zmianach profesji, odejścia ze wspólnot, nawrócenia i tym podobne mniej lub bardziej intensywne przemyślenia. *Djammviskubit* to po prostu zespół czynników fizycznych i emocjonalnych po zażyciu zbyt dużej ilości alkoholu, a i zapewne wpływu nadzwyczaj odurzającego aromatu zawartego w nim kminku. Wraz z *djammviskubit* pojawia się również naturalne dla organizmu i stanu ducha orzeczenie o zaprzestaniu podobnych praktyk raz na zawsze, jednakże pozostają one aktualne najczęściej do kolejnego piątku.

Prócz przeciągających się do późnych godzin nocnych domówek i późniejszego, chyba najbardziej w Europie szalonego krążenia po

barach, bardzo popularną towarzyską rozrywką jest na Islandii również *rúntur*. Nazwa oznacza dosłownie okrężną trasę i określa się nią właśnie typowe pubowe eskapady oraz zwyczaj udawania się w jakąkolwiek przyjemną trasę własnym samochodem. Nie jest to jednak zwykła przejażdżka, a towarzyskie wydarzenie, gdyż w podobny objazd wybierają się jeszcze inni i to w licznych grupach. Zjawisko to można zaobserwować najczęściej na terenach poza stolicą, gdzie samochody suną zderzak w zderzak, kierując się sobotnimi nocami poza centrum osad. Niespodziewanie i raczej fantastycznie stworzyć się może nawet korek, co w miasteczkach, w których żyje około stu pięćdziesięciu osób, wydaje się raczej nieprawdopodobne. W autach tymczasem rozbrzmiewa głośna muzyka. Nie jedzie się jednakże bez końca; podczas trasy robi się częste przerwy na pogawędki, nieraz przeradzające się w hulaszcze dyskusje oraz raczenie się alkoholem, na szczęście nie przez kierowców (choć i oni nie szczędzą sobie kilku sympatycznie prezentujących się kieliszków).

Pasażerowie mieszają się, przeskakują do nowych samochodów i tworzą kolejne grupy; przyłączając się do *rúntur*, można więc sprawnie nawiązać nowe islandzkie kontakty. Tym, co zaskakuje najbardziej, jest ubiór uczestników. Wszyscy szykują się bowiem jak na wielkie wyjście. Tak jest, podczas *rúntur* obowiązuje nadzwyczaj stylowa etykieta. Szalonym i absolutnie niestandardowym widokiem mogą być ludzie odziani w stroje wieczorowe, stojący na kompletnym pustkowiu z kieliszkami wina, oraz bosa stopy w nader szykownych szpilekach wynurzające się z samochodu zaparkowanego tuż przy kilkumetrowej zaspie. *Rúntur* ma aromat intensywnie kminkowej i dogłębnie czarnej jak dopiero co zastygła lawa Śmierci.

Za kolejne lokalne dziwactwo można uznać niektóre islandzkie upodobania muzyczne. Z całą pewnością można stwierdzić, iż nigdzie indziej na świecie festiwal znany pod nazwą Eurowizja nie stanowi tak szalonej dawki emocji jak właśnie na Islandii. Dyskusje na ten temat toczą się co najmniej do pół roku po konkursie, a jego data jest zapisywana wytluszczonym, masywnym pismem w niektórych kalendarzach jako niezwykle ważne święto. Eurowizję zna, ogląda i kocha tu prawie każdy niezależnie od wieku, płci czy przynależności do określonej subkultury. Niektórzy Islandczycy uprawiają również turystykę eurowizyjną i jeżeli wybierają się w jakąkolwiek

zaplanowaną podróż, to jest to kolejna coroczna edycja Eurowizji, która odbywa się w kraju zwycięzcy z poprzedniego roku. Islandzkie prywatki mają również to do siebie, że prócz eurowizyjnych melodii można posłuchać na nich także grania na żywo.

Islandczycy od pokoleń muzykować ubóstwiają i zdarza się nad wyraz często, że gdy ktoś posłyszyc w tle swój ulubiony kawałek, wtem postanawia przyłączyć się do artysty zawodzącego akurat z YouTube. Wyjmuje więc znienacka i to z dość niepozornej torebki trąbkę; już po chwili pragną dołączyć się do niego inni towarzysze. W tym samym momencie zaczynają buszować w swoich torebkach i plecakach, w poszukiwaniu przeróżnych instrumentów. Wówczas zaczyna się muzykowanie, a dokładnie gra i śpiew; YouTube odchodzi w niepamięć na pozostały kwartał nocy. Morał z tego taki, że gdy Islandczyk wybiera się na imprezę, zawsze ma przy sobie ciekawy pakiet obowiązkowy, czyli spory zapas alkoholu, druty, konkretny asortyment wełny, ulubiony instrument, a nierzadko i nuty.

Z wyżej opisanymi spotkaniami towarzyskimi wiąże się jeszcze inna kwestia. Jeżeli chodzi o wytrawną sztukę zalotów, Islandczycy śmiało mogliby zająć ostatnie miejsce w Europie, a na kursy dotyczące kokietowania powinni udawać się do Włoch lub Francji. Jak się okazuje, na Islandii właściwa innym narodom adoracja po prostu nie istnieje. Wyławiając kogoś w tłumie, Islandczyk czy Islandka zazwyczaj nie podejmą próby wymiany intensywnych spojrzeń czy nader tajemniczych uśmiechów prowadzących do zwabienia na pogawędkę. Nie zainicjują emocjonującej wymiany myśli, a co za tym idzie – numerów telefonów. Zamiast finezyjnych starań o zaskarwienie sobie uwagi i bardziej emocjonujących uczuć za nią idących Islandczycy powiedzą wprost, o co im chodzi. Jeżeli chodzi o ich kontrakcje z obcokrajowcami, niezbyt przyzwyczajonymi do tego typu zachowań, to wygląda to zazwyczaj nader komicznie.

W zastępstwie wyrafinowanych komplementów dotyczących na przykład czarownie promiennego uśmiechu czy magii głębokiego spojrzenia typowy Islandczyk przejdzie do omówienia innych części ciała, o których dżentelmenowi podczas pierwszej konwersacji zdecydowanie nie wypada rozprawiać. A gdy Islandka czy Islandczyk zauważy w pubie osobę szalenie wizualnie mu odpowiadającą, po prostu bez owijania w bawełną jej to przekaże. Jeżeli i ona będzie

zainteresowana, to i tak nie będą w ów wieczór kontynuowali pogawędki, jeśli oczywiście zależy im na bardzo poważnej relacji. Jeśli marzą o spotkaniu swej drugiej połówki, nazajutrz umówią się w konkretnym miejscu i o danej godzinie na lody. Typową islandzką pierwszą randką jest właśnie *ísbíltúr*, czyli mało romantycznie brzmiąca przejażdżka na lody z budki lub ze stacji benzynowej.

Jeśli podczas pałaszowania lodowych specjałów nader przyjemnie będzie im się rozmawiało, przejdą do wymiany numerów telefonów, aby umówić się na spotkanie kolejne. Samochodowa randka *ísbíltúr* trwa zazwyczaj pół godziny i nie należy jej przeciągać. Po prostu zgodnie z islandzkim zwyczajem każde z nich odjeżdża w swoją stronę, tak aby móc dać ochłonać myślom i zastanowić się, czy na pewno mają ochotę na spotkanie kolejne. Po wymianie numerów i oczywiście gdy rozrachunek wypadnie pozytywnie, następnego dnia dojdzie zapewne do kolejnego półgodzinnego wypadu, a tym razem na *pýlsur*, czyli hot doga. Później czas randek zaczyna się zdecydowanie wydłużać, ostatecznie skutkując potomkiem, zerwaniem relacji, potomkiem kolejnym, a może nawet i ślubem.









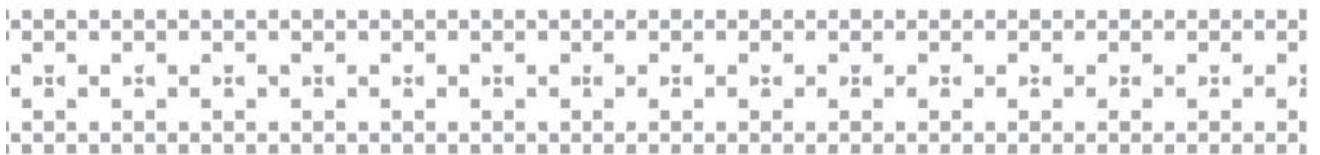








Kot policjanta



Reykjavík to stolica jak żadna inna, a o jej niebywałym wręcz uroku zadecydowało niezwykle położenie. Prócz tego, iż jest najbardziej wysuniętą na północ stolicą świata, w której mieszka ponad trzy piąte ludności kraju, to jeszcze każdego dnia obdarza swych mieszkańców krzepiącym widokiem w postaci nad wyraz olśniewającego górskiego krajobrazu. Po jednej ze stron tego niezbyt dużego miasta rozciągają się rządki barwnych, najczęściej dwupiętrowych domów sąsiadujące ze srebrzystą tonią stawu Tjörnin zasiedlonego przez liczne łabędzie i szalenie barwne odmiany kaczek. Po drugiej stronie Reykjavíku urokliwe uliczki opadają w kierunku niezwykle wietrznej zatoki Faxa, z której wynurzają się czarowne wysepki. W oddali zaś pyszni się niezaprzeczalna gwiazda miasta, czyli monumentalny, surowy grzbiet góry zwanej Esja – jednego z najbardziej charakterystycznych elementów krajobrazu islandzkiej stolicy. Ten widok dosłownie powala na kolana, a gdy zapomni się, że tuż za plecami jest miasto, nietrudno pomyśleć, że oto znaleźliśmy się na wspaniałych, nienaruszonych przez cywilizację krańcach świata. Na próżno więc szukać stolicy, która mogłaby konkurować z Reykjavíkiem o miano najbardziej zapierającej dech w piersiach panoramy.

Od reszty kraju Reykjavík odróżnia odrobinę bardziej wzmożony ruch, zarówno pieszych, jak i samochodów, jednakże biorąc pod uwagę światowe standardy, to ani jedno, ani drugie nie prezentuje się ani trochę tak jak w innych stolicach świata. Co więcej, rośnie tu także wiele drzew, których w pozostałych częściach wyspy jest jak na lekarstwo. Oprócz tego Reykjavík ma niezwykle swojski charakter, a jego czar łączy się nieodmiennie z niewielkimi rozmiarami i nadzwyczaj przytulną atmosferą. Gdy spogląda się na niego ze strzelistej wieży okazałego kościoła Hallgrímskirkja przypominającego

górze lodową, wydaje się, jakby miasto było zbudowane z klocków Lego, poustawianych skrupulatnie, acz z fantazją. Widok z góry budzi też niekiedy skojarzenia z wykonywanymi przez dzieci osiedlami z kolorowej tekturki. Ot, plansza równiutkich uliczek i masa niezwykle barwnych domów, czyli stolica zupełnie nietypowa. Swym domkom reykjavícianie nadają zazwyczaj przeróżne odcienie, a w dobieranych tonacjach królują błękity, szarości, żółcie i czerwienie. Zazwyczaj inną barwą podkreśla się struktury dachów i okiennic, a efekt kojarzy się z baśniowymi ilustracjami. Jest więc minimalistycznie, ale i szalenie nastrojowo.

W Reykjavíku nie sposób się zgubić i cudownie łatwo go poznawać, a to dzięki temu, iż bez przeszkód można przemierzać go na piechotę. Jest to tym samym zdecydowanie najlepszy sposób na odkrywanie jego tajemnic. Brak w nim eleganckich pasaży, budzących podziw placów czy imponujących budowli (oczywiście prócz Hallgrímskirkja i budynku opery, czyli Harpy), gdyż jego budowniczych trudno posądzić o rozmach. W tej niestandardowej stolicy zaskoczy także niesamowicie czyste powietrze, wolne od zanieczyszczeń i rześkie, jakby przebywało się w górach. Na herbie stolicy widnieją dwie białe kolumny unoszone przez fale, co wiąże się z historią pierwszych mieszkańców tego terenu. Po zasiedleniu przez pierwszych wikingów Reykjavík pozostawał przez kolejne osiemset lat pasmem rodzinnych gospodarstw rolnych usadowionych na brzegu zatoki. Przez całe wieki pozostawał sporą wsią i tak też było do 1752 roku, gdy powstała w nim pierwsza brukowana ulica.

Islandia pozostawała w tym czasie bardzo zacofana gospodarczo, dlatego sprawująca nad nią władzę Dania postanowiła rozpocząć akcję uprzemysłowienia niektórych jej terenów. W XVIII wieku w Reykjavíku zaczęły powstawać pierwsze zakłady przetwórstwa wełny, magazyny i kwatery dla robotników. Miejscowość rozrastała się prężnie, a w 1786 roku król Danii przyznał jej prawa miejskie oraz prawo do wolnego rynku. W tym czasie Reykjavík zamieszkiwało jedynie dwieście osób. Od tamtej pory ze względu na interesy do miasta przybywało wielu podróżnych, którzy zarówno zachwycali się pięknem okolic, jak i dziwili niezmiernie, że osada posiada jedynie kilka ulic. W tamtych czasach w krajobrazie miasta dominowały przede wszystkim budynki z torfu, ponieważ drewno, słabo dostępne dla Islandczyków, było

towarem luksusowym. Miasto jednak wciąż się rozwijało, a wraz z rozrostem i coraz sprawniej prowadzonymi interesami przybywało ludzi. Reykjavík, stając się zarówno największym miastem Islandii, jak i najzwawiej w kraju działającym centrum kultury, biznesu i polityki, w swej urbanizacji tak sprytnie zachował umiar, że do dziś nie stracił uroku niewielkiej osady, jaką był przed wiekami.

Sceny podobne do tych z kultowego filmu *101 Reykjavík* w reżyserii Baltasara Kormákura, na podstawie powieści Hallgrímura Helgasona, rozgrywają się w multikulturowej i osławionej dzielnicy Reykjavíku w każdy weekend. Tajemnicze oznaczenie „101” to nic innego jak kod pocztowy śródmieścia, co w praktyce zaowocowało stworzeniem nazwy dla całego obszaru centrum objętego tymże kodem. I w filmie, i w rzeczywistości wpada się ze sporym rozmachem w iście zwariowany wir zabawy. Piątkowy oraz sobotni Reykjavík to jedno z miejsc na tej półkuli, które aż się prosi o swawole i hulanki, a atmosfera ku nim jest niezmiernie sprzyjająca. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że napotkany w 101 barman okaże się nie Islandczykiem, lecz Polakiem, a barmanów podczas jednego wyjścia spotyka się wielu, bo w normie jest całonocne, fantazyjne pielgrzymowanie od knajpy do knajpy. Pielgrzymki dla niektórych kończą się późno, a dla innych dość wcześnie. Niestety bywa i tak, że ci najintensywniej zajęci peregrynacjami pozostawiają w połowie trasy do któregoś celu swych mniej wyćwiczonych kompanów bądź oni sami stwierdzają, że od grupy na pewien czas się odłączają. Wygląda to najczęściej tak, że zajmują pozycje leżące na chodnikach głównych ulic.

W przypadku podobnego przedawkowania oszałamiających racji alkoholu, sprzedawanego tu niestety w równie oszałamiających cenach, często zdarza się, że delikwent nie trafia do izby wytrzeźwień, ponieważ takowe tu nie istnieją. Są za to oddziały policyjne, ale islandzkie służby zupełnie nie przypominają tych znanych z innych krajów. Na całej wyspie policjantów jest siedmiuset; są ludźmi nader sympatycznymi, zawsze pomocnymi, służącymi radą w każdej dziedzinie, prawie nieuzbrojonymi i często ubranymi na wpół po cywilnemu. Swe nocne służby pełnią niczym darmowi i niespotykane szczodrzy taksówkarze, będąc swoistą pomocą dla nocnych, pielgrzymkowych tułaczy. Po prostu odwożą nieobliczalną ligę upojonych i nieprzytomnych Islandczyków do domów.

Oprócz tego przesympatyczni islandzcy policjanci pomagają w całodobowych poszukiwaniach kotów, które raz na jakiś czas z prawdziwą i tajemniczą pasją znikają z domów i ogródków ku wielkiemu zaniepokojeniu swych właścicieli. W Reykjavíku kota (minimum jednego) ma prawie każdy, co oznacza również wszczynanie kocich poszukiwań z częstotliwością niespotykaną nigdzie indziej na świecie. Na szczęście koty reykjavíczan często są zaopatrzone w mikroczipy na obrożach i akcje poszukiwawcze nie trwają zbyt długo. Niekiedy policjanci ze stolicy potrafią się z zaginionymi kotami zbratać do tego stopnia, iż zwierzakom wcale nie jest spieszno z powrotem do domów, a najchętniej zostałyby zapewne na dłużej na parapecie któregoś z posterunków policji. W Reykjavíku od lat nikt nawet nie zastanawia się nad możliwością posiadania kota, gdyż ich obecność jest tu zupełnie naturalna, a wręcz wydaje się dziwne, kiedy ktoś miauczącego pupila nie hoduje. Wyboru pomiędzy psim a kocim towarzyszem życia kiedyś po prostu nie było. W latach 1924–1984 hodowanie psa w stolicy było zakazane, gdyż uważano je za zwierzęta hałaśliwe, roznoszące choroby i typowo farmerskie, czyli zdecydowaną opozycję dla kotów. One to właśnie niezauważenie i z gracją przeszły metamorfozę ze swojsko wiejskich puszków na wytwornie miejskie okazy i od tamtej pory wiedzie im się naprawdę dobrze.

Niedziele w stolicy bywają już spokojniejsze, bardziej stonowane; jak wiadomo, niedziela to przecież dzień odpoczynku. Zdaniem wielu Islandczyków, na niedzielne odzyskanie podupadłych sił zawsze najskuteczniej pomaga doskonała zupa z homara, na którą mieszkańcy najczęściej udają się do niezwykle popularnej restauracyjki *Sægreifinn*, czyli „Morskiego Barona”. W niedziele także przestępczość bywa tu niewielka, w związku z tym panowie oraz panie na policyjnych służbach fotografują się w ujmujących sytuacjach z napotkanymi na patrolu puchatymi pieskami, z maskotkami mijanych dzieci i z tymiż dziećmi albo wykonują selfie z pysznymi lodami przygotowanymi na podstawie włoskiej receptury, najczęściej zakupionymi w lodziarni *Paradís* przy Njálsgata. Prócz zup homarowych i apenińskich lodów szalenie popularną przekąską są w Reykjavíku (ale i na całej Islandii) hot dogi, tzn. *pylsur*. Hot dogi ze znajdującej się w dzielnicy 101 budki *Bæjarins Bestu Pylsur*, której nazwę tłumaczy się po prostu jako „Najlepszy hot dog w mieście”,

upodobał sobie podczas wizyty w tym mieście Bill Clinton. Stwierdził, ku pokrzepieniu serc całego narodu, że był to najlepszy hot dog, jakim kiedykolwiek się uraczył, a zjadł ich podobno naprawdę niemało. Za prezydenckim przykładem podąża mnóstwo osób. Ową niepozorną, biało-czerwoną budkę można odnaleźć bez najmniejszego trudu, gdyż zazwyczaj ustawiają się pod nią długaśne kolejki, i to już od ponad sześćdziesięciu lat.

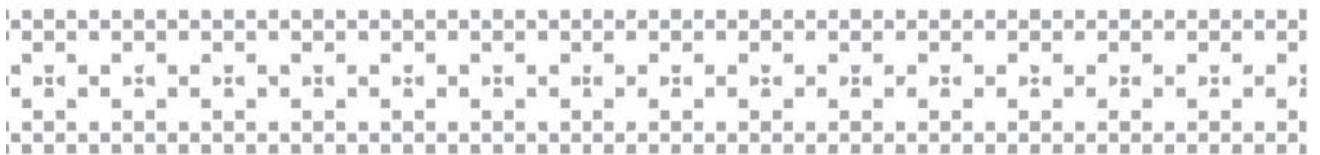
W Reykjavíku bywa najczęściej szampańsko, bardzo hucznie, rozpustnie, barwnie i wyśmienicie swobodnie – taka już jego uroda. Miasto kochają ludzie znani w kręgach popkultury, a choć ich lista pozostaje długa i nieoficjalna, to mimo wszystko da się wymieni ć kilka nazwisk. Pojawiają się na niej Nick Cave, Quentin Tarantino, lider zespołu Blur Damon Albarn, a także Elton John. Albarn od dzieciństwa śnił o plażach z czarnym piaskiem, choć wtedy brzmiało to dla niego trochę nierealnie. Gdy pewnego razu wycieńczony po właśnie zakończonej trasie koncertowej oglądał telewizję, natknął się na program o Islandii, w którym także plaże pokazywano. W Islandii to nic nadzwyczajnego, gdyż w przeciwieństwie do plaż na większości globu prawdziwą rzadkością są tu białe wybrzeża. Albarn postanowił zakupić na wyspie dom, by mieć widok na jedną z czarnych plaż oraz aby oddawać się na niej i w jej okolicach pielęgnowaniu inspirującej go subtelnej formy depresji. Islandia zaś, jak powszechnie wiadomo, może takie stany wywoływać bez najmniejszego problemu i w nieskończoność.

Wracając do Reykjavíku – przyznać należy, że miasto to ma w sobie wszystko, czegokolwiek się zapragnie, zarówno dla duszy, jak i dla ciała, a ponadto, co szczególnie raduje celebrytów, oferuje także bezpieczną intymność, wolną od natarczywości dziennikarzy i fanów. Gdy Islandczyk napotka którąś ze znanych osobistości ze świata filmu lub muzyki, nie przyjdzie mu do głowy zanudzanie jej prośbami o autograf. Po prostu niezobowiązująco spojrzy w jej stronę i bez entuzjazmu pójdzie dalej. Tarantino tak pokochał tę atmosferę, że z lubością wpadał do stolicy na weekendy i przeżył tam wiele szalonych przygód. W tym przypadku milczenie winno być złotem, jednakże uchylając rąbka tajemnicy, reżyser wspominał niegdyś, że nie ma lepszego miejsca na niemożliwie sowity napitek, a tu, jak wiadomo, nie da się upijać na smutno. Co to, to nie; to nie

nostalgiczny Paryż, tu raczej bryka się swawolnie bez cienia przygnębienia. Nie powinno się także za dużo rozprawiać o obserwacjach poczynionych przez Tarantino na pewnej imprezie sylwestrowej, kiedy to jeden z szacownych islandzkich ministrów ze sporą dozą fantazji oddawał mocz na samiuśkim środku pokoju. Pozostali uczestnicy, prócz Quentina, nie zwracali nawet uwagi na tego typu błahostki, dalej w najlepsze się bawiąc.

Zgodnie z danymi przytaczanymi przez Bank Światowy, przeciętny Islandczyk zużywa najwięcej energii na świecie. Przykładem tego jest Reykjavík, który skrzy się masą kameralnych świateł. Właściwie to czego jak czego, ale energii w Islandii nie brakuje. Głównymi jej źródłami są elektrownie wodne i geotermalne, pracujące zresztą na zwolnionych obrotach, gdyż według szacunków Islandia wykorzystuje zaledwie trzydzieści pięć procent swego potencjału. Na ulicach nie widać rozpiętych nad głowami przechodniów kabli elektrycznych, a pod niektórymi z chodników są zamontowane systemy podgrzewające, które skutecznie zastępują serwis odśnieżający. W domostwie każdego przyzwoitego Islandczyka musi znaleźć się przynajmniej kilka żarówek bez wyłącznika, ażeby w okresie zimowym, a niekiedy i w weekend żaden zbłąkany gość czy domownik nie miał problemu z odnalezieniem drogi do swego pokoju.

Księżycowe konie



Po Islandii jeździ się zazwyczaj wkoło. Czasem, jeśli zaistnieje taka potrzeba i najdzie ochota, wjeżdża się, nadrabiając drogi, w ślepo zakończone fiordy, gdzie ze sporym prawdopodobieństwem nie spotkamy zupełnie nikogo. Można by jeszcze zdecydować się na krok bardziej odważny i zaplanować na przykład przejażdżkę po samym sercu Islandii. Tam czai się bowiem coś niesamowicie dzikiego, podobno najbardziej nieokiełznany ze wszystkich nieposkromionych terenów w Europie, choć pozbawiony zupełnie tropów zwierząt. Obszar ten jest bezdyskusyjnie z podobnych połaci największy, a zwą go Interior. Rozciąga się na nim pustynia; melancholijna, nieprzenikniona, wyjątkowo ponura i wcale nie piaszczysta, a kamienista. Niezwykle trudno tam kogoś spotkać; zdecydowanie trudniej niż w owych prowadzących donikąd fiordach, nawet gdyby szukało się nadzwyczaj gorliwie. Podążając przez enigmatyczne, pustynne rewiry, staje się w pewnym momencie oko w oko z tajemniczą drogą zwaną *Kjölur*, znaną także pod bardziej pospolicie brzmiącą nazwą F35. To właśnie nią podążając, bez przeszkód uda nam się przeciąć Interior dokładnie pomiędzy dwoma lodowcami, Langjökull oraz Hofsjökull, odpowiednio drugim i trzecim co do wielkości lodowcami Islandii.

Kjölur to odpowiednik słowa „kil”, a sama droga swym rodowodem sięga zamierzchłych czasów, kiedy po Islandii hasali wikingowie. Wyrazem tym określali oni kadłub okrętu, a dolina tak bardzo im go przypominała, że wkrótce nie mówiono już na nią inaczej. *Kjölur* jest najbardziej przejezdną drogą w Interiorze, a także najkrótszym sposobem na dotarcie z południa na północ i odwrotnie. Z tegoż powodu *Kjölur* znana była jako szlak na Althing, a także jako trasa, którą prowadzono wielkie stada owiec; zwierząt tych nie dałoby się bowiem upilnować, krocząc z nimi przez setki gór i pagórków. Szlak do

dziś wyznaczają usypane z kamieni stosiki, które zapewne muszą pamiętać dotyk układających je setki lat temu dłoni, gdyż od wieków nikt nie zdecydował się na żadne w nich modyfikacje.

Prócz podobnych zastosowań, *Kjörlur* od wieków cieszyła oko swą niezwykłością, gdyż pomimo zatrważającej surowości widok z niej rozciąga się naprawdę szczególny, swym urokiem mamiący umysł i spojrzenie. Większa część drogi pozostaje płaska, a wiedzie wśród dosyć jałowo, aczkolwiek wyjątkowo dumnie prezentujących się równin. Co więcej, są one obramowane niewiarygodnej urody górskimi szczytami. W niektórych miejscach bezroślinne równiny wynagradzają podróznemu swą monotonię i zupełnie niespodziewanie zaczynają nabierać oszałamiających, tęczyowych barw. Są to kolory nie byle jakie, ponieważ kojarzą się z nieznanymi obszarami jakiejś obcej planety. Gdy nad *Kjörlur* budzi się niegospodzące nad nią zbyt często słońce, barwne, rdzawoczerwone doliny zdają się przypominać przerażającą, wojenną pożogę, przez co zresztą przed stuleciami napawały Islandczyków wielkim lękiem.

W XVIII wieku *Kjörlur* popadła w niełaskę, i to na całe sto lat, gdyż raptem przestano z jej obszaru korzystać. Stało się tak za sprawą niefortunnych wypadków i licznych ofiar śmiertelnych na trasie podczas burz śnieżnych. Z tego powodu droga uznana za zwodniczą została skazana na odosobnienie. Po dziś dzień wierzy się, iż działają tam przedziwne moce, które w konfrontacji z niechcianym w tej przestrzeni człowiekiem pozbawiają go zmysłów. Wielu wędrowców podczas pokonywania trasy narzekało na uporczywe bóle głowy, a była to przypadłość i tak bardzo łagodna, biorąc pod uwagę inne uczynki straszydeł zamieszkujących *Kjörlur*.

Niektórzy wędrowcy prócz ataku bólu głowy zupełnie zapominali, w którą to stronę powinni się udać. W wyniku tegoż umysłowego mętliku po prostu zastygali w miejscu, nie będąc w stanie podjąć decyzji o wyborze kierunku. Można domyślać się konsekwencji takiego zachowania przy charakterystycznej pogodowej aurze, jaką *Kjörlur* potrafiła zaserwować. Byli więc tacy podróżni, którzy albo z drogi nie wracali, albo wracali w opłakanym stanie – wychudli mniej więcej o połowę, całkowicie pozbawieni owłosienia na głowie, które sami sobie wyrwali, oraz o szaleńczym wzroku, który ani na chwilę nie mógł spokojnie skupić się na jednej rzeczy. Ci nieszczęśnicy nie pamiętali,

kim są, i niestety nie byli więc w stanie przekazać, co dokładnie im się na trasie przytrafiło. Islandczycy przestraszeni podobnymi konsekwencjami wymyślili swego czasu pewien sposób na przemknięcie przez *Kjödur* praktycznie niezauważonymi.

Należało mianowicie pokonać ją w odzieniu doskonale odwzorowującym przybierane przez nią tony. Gdy maszerowało się przez rdzawe podłoża, czym prędzej trzeba było nałożyć na siebie element garderoby w rudym kolorze. Gdy zaczynało się wkraczać na granitowe skały, jak najszybciej należało z tobołka wyjąć ciemnoszary dziergany szal i owinać się nim. W ten sposób malało ryzyko, iż owe niezbyt przychylne dla ludzi moce będą w stanie zauważyć wędrowca. Do tego dochodziła cała masa opiekuńczych talizmanów, jakie powinno się na czas wędrówki nałożyć na pierś.

W złych urokach z pewnością maczała palce żyjąca kiedyś w okolicznych górach trollica o imieniu Hallgerður. Posiadała ona niezbyt sympatyczne usposobienie, a błąkający się wokół Islandczycy szczególnie psuli jej humor. Pewnego dnia wpadła na pomysł, by się ich ze szlaku pozbyć. Kosztowało ją to mnóstwo wysiłku i przeciwienia wielorakich magicznych sztuczek, co trwało dobrych kilka lat. W końcu jednak znalazła sposób na rzucenie na wędrowców efektownej klątwy, a nie mogąc się zdecydować, co też w jej wyniku powinno się z nimi dziać, wymyśliła, iż zacnie dopadać ich szaleństwo.

Wkrótce potem *Kjödur* zaczęła stawać się grobowcem, z którego trollica czerpała składniki potrzebne jej do tworzenia eliksirów. Droga ta była ludziom potrzebna, latami głowili się więc, jak zdjąć okrutną klątwę i pozbyć się jej nieobliczalnej twórczyni. Zasiękali rad u przeróżnych czarowników, lecz wszystko szło na marne. Swego czasu znalazł się jednak śmiałek, który postanowił skonfrontować się z Hallgerður bez względu na konsekwencje. Wyposażony w serię runicznych amuletów, zaczął zmierzać ku *Kjödur*, wykrzykując donośnie imię trollicy i oczekując, iż ta wyjdzie mu w końcu na spotkanie. Ku zdziwieniu zarówno jego, jak i wszystkich mieszkańców wyspy, klątwa nagle została zdjęta. Trollica, która sądziła, iż w wyniku zadanej przez nią trwogi nikt nie będzie śmiał wymówić jej imienia, nie przewidziała, że powinna zabezpieczyć swą misterną klątwę przed podobną okazją. Nie dość, że została odczarowana cała trasa, to

jeszcze i sama Hallgerður. Ni z tego, ni z owego przeistoczyła się bowiem w wielkiej urody elficę o niezwykle szlachetnej naturze, a odważny młodzieniec Ólafur wkrótce potem ją poślubił.

Choć klątwa została zdjęta, z miejscem wiąże się nadal sporo przesądów, a wielu ludzi odczuwa przed trasą wielki respekt. Ruch na szlaku znanym już z sag został wznowiony dopiero w XIX wieku. Choć istniały plany wyasfaltowania drogi, co byłoby rozwiązaniem świetnym i ułatwiającym jej przejezdność, to jednak ostatecznie wycofano się z nich, aby nie naruszać prastarej, mitycznej równowagi. Sam środek Islandii to niesamowita kraina, ziemia praktycznie niczyja, gdyż obszary te nastrajają tak, że nigdy nie zamieszkał tam nikt prócz wspomnianej przebiegłej trollicy. Prócz chmurnej natury, przestrzeń ta pozostaje niezasiedlona jeszcze z innych powodów, począwszy od naznaczającej ją niezwykle wilgotnością wysokości nad poziomem morza.

To właśnie przez wilgotność panuje tam wciąż przenikliwe i niedające się oswoić zimno, a aura pozostaje stała jedynie w swej nieprzewidywalności. Śnieg może pojawić się w każdej porze roku i zacząć obficie sypać nawet w środku lata, co zresztą dzieje się bardzo często. W okolicach *Kjölur* można doświadczyć niespodziewanie zjawiska dla Islandii praktycznie niewystępującego, a mianowicie burzy. Pewnego razu grupa turystów podróżujących w okolicach wygasłego wulkanu Kerlingarfjöll doświadczyła przedziwnej sytuacji, kiedy to powietrze tak niebywale się naelektryzowało, że w pewnym momencie włosy dosłownie zaczęły im stawać dęba. Te niezbyt przychylne warunki skłoniły właśnie pierwszych osadników do zejścia ze środka i osiedlenia się jak najbliżej linii brzegowej, a w wiekach późniejszych skoncentrowania życia wokół wybrzeża. Co więcej, mimo że Islandia pozostaje krainą wód, to w Interiorze wody brak niemal zupełnie.

Gdy więc jeździ się tak dookoła Islandii i intensywnie szabruje bezdroża, można napotkać przeróżne rzeczy. Prócz trolli i trollic natkniemy się na przykład na konie. Stworzenia te, podobnie jak i owce, przywieźli ze sobą w IX wieku osadnicy z Norwegii. Przybysze nordyscy jako pierwsi zaczęli je czcić jako symbole płodności i bóstwa. Konie były także uważane za najcenniejsze dobro, jakie może posiadać Islandczyk, traktowano je więc z niezwykle szacunkiem. Od

początków osadnictwa były nie tylko środkami transportu, lecz także najwierniejszymi druhami. O koniach nieustannie rozpisywały się również sagi: mówiły o ich brawurowej odwadze oraz wyjątkowej więzi łączącej je z ludźmi.

W dawnych czasach koń należący do wojownika zawsze był grzebany tuż przy grobie swego właściciela, a gdy ginął przed nim, w domostwie panowała żałoba. Gdy pragnie się nawiązać jakąś przyjemną konwersację z Islandczykiem, a tym bardziej przyjaźń polsko-islandzką, to zapamiętać należy, aby nigdy, przenigdy, nie nazwać islandzkiego konia kucem, choć... w każdym calu islandzki koń go przypomina. Islandczycy są na punkcie kuca islandzkiego bardziej niż przeculeni. Mówi się także, iż lepiej prosto w oczy zelżyć czyjąś rodzinę, niż obrazić dosiadane przez Islandczyka zwierzę. W języku islandzkim hasło „kuc” nawet nie występuje, tak wielka jest to zdaniem wyspiarzy dla koni ujma. W słowniku można jednak znaleźć ponad sto określeń na końskie umaszczenie i gatunki. Zwierzęta te posiadają rozmaite kolory sierści: od tarantów przez kasztany po siwe, przy czym barwa grzywy oraz ogona najczęściej różni się od barwy sierści.

Konie islandzkie, *hestar*, charakteryzują się tym, że są stosunkowo małe, osiągają jednak większe rozmiary niż tradycyjnej wielkości kuce. Większość rejestrów ras klasyfikuje je więc właśnie jako konie. Może i nie są tak arystokratycznie zbudowane jak ich więksi bracia; pozostają raczej grubokościste i nawet odrobinę atletyczne. Nie mają może dystygowanego wyglądu swych kuzynów z innych części świata, nie można im jednak odmówić wielkiej urody. Ponadto, chociaż prezentują się nadzwyczaj urokliwie, a w porównaniu z innymi końmi raczej infantylnie, w rzeczywistości są prawdziwymi siłaczami. Stworzenia te wykazują się niespotykaną odwagą i wytrzymałością; są także wyjątkowo długowieczne. Jako gatunek przeszły już niejedno; przez ponad tysiąc lat życia na wyspie nieustannie napotykały wielkie śniegi, dzikie i najdziksze nawałnice, a do obrony miały tylko gęste grzywy i narosłe w okresie zimowym dodatkowe i uroczo prezentujące się futerko. Wyspa tak je zahartowała, iż dziś potrafią przepłynąć nawet rzekę lodowcową i wybierać się na przebieżki w najdzikszych i najchłodniejszych wyspiarskich peryferiach. Przez kolejne tysiąclecie na wyspę nie trafiały żadne inne rumaki, gdyż Althing zakazał w 982

roku jakiegokolwiek importu tych zwierząt. Stąd islandzkie wierzchowce są uznawane za jeden z gatunków najczystszej krwi na świecie. Do spółki z owcami, należą do kluczowych żywych elementów islandzkiego krajobrazu, przy czym – zważywszy na ich bardziej indywidualne i jeszcze mniej pokorne niż owcze charaktery – gnają gdzieś ze zmierzwionymi grzywami, tyle że zazwyczaj za ogrodzeniem.

Islandzkie konie przemieszczają się bardzo specyficznym chodem, którego konie innych gatunków nie są w stanie naśladować. Chód ów zwie się *tölt* i jest ruchem pośrednim pomiędzy kłusem a galopem. Nie ma w nim fazy zawieszenia, a w jednym momencie o ziemię opiera się tylko jedno końskie kopyto. Jazda tym stylem wydaje się obserwatorowi niezwykle lekka i tak niebywale płynna, że bardziej niż jazdę przypomina unoszenie się w powietrzu. Dziś konie spotkać można na niemalże wszystkich islandzkich farmach. Nie pomagają już ludziom w pracy, hoduje się je jedynie dla przyjemności obcowania z nimi i uprawiania jeździectwa. Podczas podróży po wyspie można ich więc napotkać bez liku. Wiele farm oferuje również wycieczki jeździeckie: to doskonała okazja, by dosiąść szlachetnej maści islandzkiego rumaka. A jedną z najbardziej niezwykłych rzeczy, jakie mogą się przydarzyć tylko podczas wizyty na Islandii, jest ujrzanie stada koni pędzących z potarganymi grzywami przez tutejsze księżycowe krajobrazy.

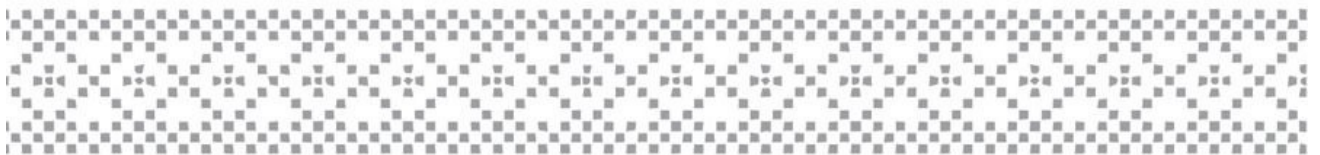
Kiedy Amerykanie przygotowywali się do lądowania na dalekim Księżycu, wpadli na pomysł, że warto byłoby wcześniej pewne księżycowe manewry gdzieś porządnie przećwiczyć. Wtedy też na myśl przyszła im Islandia, gdyż jak chyba żaden inny obszar na świecie przypominała tereny pozaziemskie. Nadszedł więc moment, gdy zaopatrzeni w nowiutkie i odpowiednio skrojone skafandry kosmonauci z NASA pojawili się w rejonach wulkanu Askja. Dziś wulkan nie ma już stożka, a jego kaldera jest tak pojemna, że pomieściłaby nawet dwa najokazalsze islandzkie jeziora. O jednym z nich mówi się, że jest najgłębsze nie tylko w najbliższej okolicy, lecz także w całym kraju, o drugim zaś, że przypomina piekielne odmęty. Ten ostatni nosi nadzwyczaj pogodną nazwę: Viti, czyli z islandzkiego właśnie „królestwo ciemności”, wszelkich udręk i powszechnej gehenny. Manewry na Askji szły Amerykanom znakomicie. Oprócz astronautów na wyspie przebywali również inni ich pobratymcy.

Któregoś dnia w 1973 roku znaleźli się nie na Askji, a na pokładzie samolotu wojskowego. Był to Douglas C-117, zwany Dakotą.

Niefortunnie samolot przelatywał w bardzo złych warunkach pogodowych. Nad wybrzeżem w okolicach Víku piloci niezbyt trafnie ocenili stan paliwa i byli zmuszeni awaryjnie lądować. Manewr udał się nadspodziewanie dobrze. Żaden z pasażerów nie zginął, jednakże samolot ucierpiał podczas przygody na tyle znacznie, żeby ta podróż stała się jego ostatnią. Po Amerykanów przybyła pomoc, a samą maszyną nikt nie zaprzętał sobie głowy. Po pewnym czasie wrak spoczywający w pobliżu wsi Skógar (co zresztą oznacza las, choć lasu tam od stuleci nie widziano) ogołocono z przydatnego sprzętu i pozostawiono z niewiadomej przyczyny samemu sobie pośród czarnej pustyni.

Od momentu katastrofy wrak samolotu był więc zdany na łaskę niszczycielskich sił przyrody, co dodało mu wyjątkowo tajemniczego charakteru. Aż nagle, po czterdziestu trzech latach od katastrofy, zaczęło się tu dziać coś zupełnie niewiarygodnego. Z miesiąca na miesiąc wrak zaczął osiągać zdumiewającą popularność wśród zwiedzających. W końcu zjawisko przybrało znamiona obsesji, gdyż z zapomnianej sterty złomu samolot stał się jedną z największych atrakcji turystycznych. Sunąc przez ustronia czarne jak węgiel, zaczęły więc pielgrzymować do Dakoty setki osób pragnących zażyć niesamowitej przygody. Nie przeszkadzają im w tym nawet ostatnie doniesienia o powrocie kilku nadzwyczaj nieprzyjemnych trolli, które ponoć coraz głośniej zaczynają się uskarżać na ludzką obecność i obmyślają już nowe, zmyślne klątwy, by się ich pozbyć.

Pragnienie drugiej strony



Placek dość płaski, niekiedy porośnięty zielenią traw, czasem zagarniany przez śnieżny puch, oblepiający go wówczas jak idealnie wyważona, lukrowa polewa. Ot, wysepka, i to niewielka, pośród bezkresnych mórz. Mimo że Grímsey, bo o niej mowa, nie oszałamia swą raczej banalną aparycją, to mimo wszystko stanowi prawdziwy obiekt pożądania. Grímsey jest usytuowana czterdzieści kilometrów na północ od głównego terytorium Islandii i pozostaje najdalej położoną z zamieszkanymi islandzkimi wyspami. Sekret jej atrakcyjności tkwi jednak nie tylko w okolicznościach jej bezdennej położenia. Czynnikiem dodatkowo nadającym wysepce niewypowiedzianego wdzięku pozostaje fakt, iż leży ona dokładnie na kole podbiegunowym, które jest obiektem zainteresowania wielu przybyszów.

W takich warunkach aż chce się zostać odkrywcą i choć przez chwilę zaznać typowo arktycznych wrażeń. Choć sama Islandia to strony dalekie i wysunięte na północ, chciałoby się dotrzeć jeszcze wyżej, choć ociupinkę. W umysłach podróżnych rodzi się więc pragnienie znalezienia się po tej innej, drugiej stronie i zakosztowania adrenaliny związanej z przekroczeniem słynnego bieguna. A nie da się go przecież pominąć, będąc już tak blisko. Wtedy myśli zawsze przestawiają się na tryb przygodowy, a spragniony wrażeń wędrowiec zaczyna traktować kresczkę określającą bieguna jak początek nowego świata. Mimo że po drugiej stronie wszystko wygląda dokładnie tak samo jak tuż przed, to po przekroczeniu granicy nie sposób nie pławić się w chwale zdobywcy. Podróżny skacze więc z nadzieją za koło podbiegunowe; tymczasem czeka tam jedynie kontynuacja niewartkiego islandzkiego życia, tyle że w swoim bezruchu jeszcze zwielokrotniona.

Spotkanie z Grímsey przypomina pobyt na krańcu świata, jaki znamy z własnych wyobrażeń. Trawa wymieszana z lodem, a do kompletu woda i wichry wiodą tu żywot intensywny, bez chwili

wytchnienia. Zamieszkuje tu około setki równie nieugiętych Islandczyków i jakieś kilka milionów ptaków. Pierwszym osiedleńcem wyspy był dzielny wiking o imieniu Grímur, od którego brzmienia właśnie wzięła się nazwa. Choć w świecie było mnóstwo lądów do zdobycia, Grímur postanowił oddać się na wietrzną chłostę wyspy. Teren pozostaje zupełnie odizolowany, a ci, którzy zdecydowali się na nim pozostać, fascynują podróżnych na równi ze skokiem ku biegunowi. Latem królują tu ptasie stada, a zielony placek bieleje od tysięcy skrzydeł. Podczas letnich przechadzek po Grímsey można bowiem zaobserwować takie oto scenki.

Dokoła przyjemna głusza, która syci zmysły. Dziś na szczęście pogoda dopisuje, a wędrówka jak zwykle nie ma sobie równych; lekki niepokój zasiewa tylko niedaleki morski brzeg z grzmiącymi jakby ostrzegawczo falami. Po kilku minutach rozkoszowania się przestrzenią niepokój zaczyna w nas narastać, gdyż nad głową zaczynają skrzeczeć złowrogo coraz liczniej zlatujące się ptaszyska. Błyskają białawe pióra, kilka z nich nawet zlatuje na głowy. W myślach jawią się sceny rodem z *Ptaków* Alfreda Hitchcocka, ale tym razem to nie filmowa produkcja, a dość upiorna rzeczywistość. Wachlujące ze złością skrzydła trzepoczą coraz niżej, a ptaki w ogóle nie zważają na konsekwencje, czyli na postawione do pionu kijki trekkingowe. Podobny sprzęt, prócz właściwego zastosowania na szlaku, ma na Islandii funkcję dodatkową, mianowicie może posłużyć do odganiania nachalnych skrzydlatych mieszkańców wybrzeży.

Biało-szary ptaszek z czarnym łebkiem, który nieustraszenie wiruje nad głową, tylko z pozoru wygląda niewinnie. Przy lepszym, bo prawdziwszym i bliższym spotkaniu zaczyna prezentować swój ostro zakończony i wyjątkowo złowrogi dziób. Co więcej, dziobek ten był już zapewne sprawcą niejednego wypadku na plaży, kiedy to pikował ze sporą prędkością, prosto na czyjąś nieobeznaną w islandzkich realiach głowę. Ptaszek ten to właśnie *Kría*, czyli z islandzkiego „rybitwa”. Prócz walecznego charakteru i nieobłąskawionej natury, *Kría* dysponuje jeszcze kondycją maratończyka ze światowej czołówki. Co roku ten niewielki ptak, odrywając się od uprzykrzenia życia spacerowiczom, udaje się na dalekie wyprawy. Islandia to jego romantyczne środowisko lęgowe; pod koniec lata podejmuje się jednak pokonania szaleńczego dystansu trzydziestu dwóch tysięcy kilometrów i odlatuje

na Antarktydę. Piorunujące osiągnięcia na tle pozostałych zawodników przez lata doprowadziły tego ptaka do najlepszego na świecie wyniku, gdyż podobnej odległości nie przebywało nigdy żadne inne zwierzę, nawet ptak.

Choć bardzo rzadko zdarza się, by ktoś niegodziwie chciał gniazdom rybitw zaszkodzić, to niestety stworzenia te już dawno wpadły w przedziwną manię prześladowczą i ostro musztrują nawet pokojowo przybyłych. W ramach najczęściej niepotrzebnej obrony, zastępy rybitw wysyłają na podniebny patrol całą gromadę zwiadowców, którzy podnoszą niezwykle jazgotliwy alarm na widok kogokolwiek innego niż sama *Kría*. Zbliżające się „zagrożenie” staje się w mgnieniu oka celem ataku skrzydlatych eskadr, które ustawiają się w przemyślane formacje bojowe i na przemian falami nurkują w kierunku domniemanego wroga. Są one również altruistyczne; bronią dostępu nie tylko do gniazd swoich, lecz także osad ptaków zupełnie innych gatunków. Głowę, jak zresztą pozostałe części ciała, należy przed *Krią* bezdyskusyjnie chronić i trzymać ją możliwie jak najniżej. Na naszą korzyść działa jedynie to, że *Kría* zazwyczaj poprzedza swój atak wrzaskliwym ostrzeżeniem, w porę można więc wziąć nogi za pas. Islandczycy mają do rybitw zupełnie inny stosunek niż złąknieni przyjezdni i pozostają ich wielkimi sympatykami. Na wyspie nie uważa się ich za napastliwe, lecz szanuje za solidarność oraz wielkie zaangażowanie w obronę piskląt innych ptaków. W wyniku tejże sympatii rybitwy cieszą się dużą popularnością, a ich wizerunki pojawiają się na kolekcjonowanych na wyspie znaczkach pocztowych.

Zanim na wysepkę przyłeci jakikolwiek samolot, po pasie startowym kilkakrotnie musi przejechać samochód, aby wypłoszyć tysiące zasiadających tam w najlepsze ptaków. Mieszkańcy do podobnego tumultu już się przyzwyczaili, ale turystom pojawiającym się w pobliżu lotniska doradza się noszenie czapek ze wzmocnionymi denkami bądź wypożyczenie plastikowych lasek do obrony przed ptasimi natarciami. Aż do 1920 roku statek z Akureyri przypląwał na wysepkę jedynie dwa razy do roku; pozostawała więc ona niemal zupełnie odcięta od świata. Pierwszy telefon założono tu dopiero w roku 1931, a elektryczność została doprowadzona czternaście lat później. Dziś statek przypląwa dwa razy w tygodniu w okresie letnim, a awionetki kursują pomiędzy Grímsey a główną wyspą codziennie, dzięki czemu turyści mogą już

tego samego dnia powrócić na ląd.

Pod koniec XIX wieku zamożny Amerykanin Daniel Willard Fiske, z zamiłowaniem badacz dziejów Islandii, utrzymujący przyjacielskie relacje z Jónem Sigurdssonem^[1] oraz pisarzem Markiem Twainem, a jednocześnie mistrz szachowy USA z 1857 roku, postanowił zaopiekować się wysepką. Ujęło go nic innego jak zupełnie niespotykana miłość mieszkańców Grímsey do szachów, z islandzkiego *skák*. Islandczycy z Grímsey byli tak szaleńczo zakochani w szachach, że niekiedy traktowali je nawet zbyt poważnie, a według legend niejeden z nich po przegranej partii rzucił się z okolicznych klifów w przepaść. Prócz powodowania ponurych wypadków szachy stanowią do dziś o tożsamości wysepki.

Fiske tak polubił mieszkańców wyspy, że postanowił im pomagać. Wysyłał więc wyspiarzom przeróżne potrzebne rzeczy, a pewnego razu także i dwanaście szachownic wykonanych z włoskiego marmuru. Z jego inicjatywy na wyspę dotarł także statek z ładunkiem drewna, tak bardzo na wysepce potrzebnego. W kolejnych miesiącach Fiske sfinansował również budowę szkoły oraz biblioteki, którą wypełnił okazałymi zbiorami. Kiedy zmarł w 1904 roku, pozostawił legat w wysokości dwunastu tysięcy dolarów, co w tamtych czasach było największą darowizną, jaka kiedykolwiek została przekazana mieszkańcom Islandii przez prywatnego fundatora. Fiske żyje w pamięci zamieszkujących wyspę do dziś. W dniu jego urodzin, czyli 11 listopada każdego roku, mieszkańcy wysepki zbierają się, by uczcić jego pamięć. W sali zebrań prócz jego portretu wisi także jedna ze słynnych marmurowych szachownic.

Kolejnym wyspiarskim celem podróży znajdującym się w obrębie kraju jest Vestmannaeyjar – malutki archipelag złożony z czternastu wysp, zlokalizowany dziewięć kilometrów na południe od Islandii. To także nazwa miasta położonego na Heimaey, największej wyspie archipelagu, której ziemie są odporne na mierzwienie fal. Koniec końców, miasteczko nosi dwie nazwy stosowane naprzemiennie: Vestmannaeyjar i Heimaey, pozostając równocześnie największym portem rybackim w kraju. Pozostałe wysepki są niezamieszkałe, nie licząc myśliwych, którzy osiadają tam raz na jakiś czas w swych łowieckich chatkach. Heimaey zamieszkuje całorocznie cztery tysiące pięćset osób, a latem dołącza do nich mniej więcej osiem milionów

maskonurów, co jak na niewielką wyspę stanowi całkiem słuszny wynik. Towarzysząca im pogoda zazwyczaj bywa nie najlepsza (to najbardziej deszczowy obszar Islandii), choć może to kwestia upodobań. W skromnych początkach września na Heimaey oczom ukazuje się widok dość niecodzienny: psy są wyprowadzane w samochodach. Podczas zaledwie jednej przechadzki można doświadczyć istnego zatrzęsienia takich „spacerowiczów”. Trzeba przyznać, że atmosfera robi się osobliwa: hula wiatr, pies co krok, auto co zaułek, a w samochodach ludzie w szlafrokach.

Okręg ten historię ma raczej szaloną, a tak się składa, że wszyscy, którzy tu spędzili choć odrobinę czasu, sami ociupinę też jakby zwariowali; szaleństwo to przybyło zaś przebrane za mróz. Jako pierwsi zamieszkali na Heimaey niewolnicy-uciekinierzy z Irlandii, którzy na wyspach postanowili osiąść i zacząć nowy rozdział. Nazywano ich właśnie „ludźmi z Zachodu”, stąd też nazwa całego archipelagu określanego jako Wyspy Ludzi z Zachodu. Po ich wytropieniu i bezwzględny zgładzeniu wszystkie wysepki zajęli norwescy wikingowie. Następnie w 1413 roku pewien biskup islandzki wpadł na pomysł oddania archipelagu królowi Norwegii w zamian za spłatę gigantycznych długów, której sam dokonać aktualnie nie mógł, a nie spodziewał się tego uczynić też w latach kolejnych. Niestety transakcja ostatecznie nie doszła do skutku. W następnych stuleciach Heimaey zamieszkiwali między innymi angielscy korsarze, a po nich zainteresowali się nią duńscy kupcy. W XVII wieku najechali ją algierscy piraci, na dodatek pod wodzą wcale nie Algierczyka, a Holendra. W tym właśnie okresie krążyły po Islandii historie o zimowych atakach tajemniczego obłędu dopadającego Heimaeyczyków. Zima trwała tu tak długo, iż sezonowa choroba północna z nią związana zaczęła przynosić szaleńcze objawy. Chodziły słuchy, iż wyspiarzy nawiedzało uporczywe pragnienie wydostania się z wysepki, tak silne, iż o mało co nie wskakiwali oni do przeraźliwie zimnej wody, wykrzykując, że dadzą radę dopłynąć wpływ do innego lądu.

Heimaey spotkał swego czasu pewien nad wyraz niespodziewany wulkaniczny psikus. Pewnej nocy w 1973 roku przebudził się zniecierpliwiony po zbyt długiej drzemce wulkan Eldfell. Potężne potoki lawy zniszczyły dużą część wyspy i zagroziły zatoce, w której

mieścił się port. Strachu najedli się wszyscy, gdyż to właśnie rybołówstwo było głównym źródłem dochodu okolicznych mieszkańców. Aby nie dopuścić do gospodarczej tragedii, postanowiono odwrócić bieg lawy poprzez jej schładzanie. Dzielni islandzcy strażacy-ochotnicy przez całą dobę nieustrudzenie wylewali na wrzące potoki lawy wodę i na szczęście skutecznie udawało się hamować jej przepływ; strażacy nie byli jednak na tyle skuteczni, by ugasić rozprzestrzeniający się ogień. Po wielu zabiegach dyplomatycznych udało się nakłonić Korpus Inżynieryjny Stanów Zjednoczonych do wypożyczenia Islandczykom potężnych pomp, które mogłyby stawić czoła rozjuszonym płomieniom.

Walka z żywiołem trwała kilka miesięcy; w tym czasie do rozpasanego wulkanu wpompowano ponad sześć milionów litrów wody morskiej, której na szczęście było pod dostatkiem. Port udało się uratować, a gdy akcja ratunkowa dobiegła końca, mieszkańcy świętowali przez wiele beztrudnych dni. Po zakończeniu erupcji przystąpiono do odbudowy osady; wyspiarze wykorzystali energię z powoli dogorywającej lawy do ogrzewania wody oraz generowania elektryczności. Prócz oczywistych szkód i utraty równowagi przez niecny wulkan, z całego zamieszania wyszło coś niespodziewanie ciekawego, mianowicie do wyspy „dokleił się” całkiem zgrabny, nowy kawałek lądu. Dziś można tu podziwiać piękne rozległe pola lawowe i bielące się wśród nich w rzadkie słoneczne dni kości, gdyż lawa nabrała swego czasu również apetytu na baraninę. Na wyspie utworzono także niezwykle interesujące muzeum, gdzie można zobaczyć zniszczony przez lawę okazałych rozmiarów dom oraz sporo innych poerupcyjnych pamiątek. Obejrzymy też film ukazujący samą spektakularną erupcję.

Jednym z elementów kultury archipelagu Vestmannaeyjar jest trzymający w napięciu sport. Jego ekstremalny charakter polega na tym, aby uniknąć upadku w przepaść. *Sprangan*, bo tak właśnie się ów sport nazywa, został wymyślony przez zbieraczy jajek, którzy w okresie wiosennym opuszczali się w brawurowy sposób na długich linach wzdłuż stromych ścian klifów i wisząc nad upiornymi przepaściami, przechwytywali zawartości ptasich gniazd. Najbardziej wykwalifikowani zbieracze konkurowali ze sobą w zgarnianiu jak największej liczby łupów. Poza tym prześcigali się także w coraz to

nowszych i bardziej efektownych sztuczkach w ich zdobywaniu. Z biegiem czasu zaczęto organizować konkursy dla najzręczniejszych i najsukuteczniejszych zbieraczy, które przekształciły się w zwyczaj corocznego festiwalu. Podczas pokazu maestrii nie zakłada się pasów bezpieczeństwa, a utrzymuje na linie, korzystając jedynie z siły własnych rąk. Sekret tkwi w wykonywaniu specyficznych skrętów, zawodnicy obracają się więc i odbijają od fasad klifów, a nawet przeskakują z jednej liny na drugą. *Sprangan* jest uprawiany na wszystkich wysepkach w tym rejonie, ptactwo może być jednak spokojne o swoje jajka, gdyż dziś robi się to wyłącznie dla frajdy, a jajka pozostają nietknięte. Dzieci z wysp od najmłodszych lat ćwiczą się w tym widowiskowym sporcie, a trenują z linami zawieszonymi na małych, najwyżej trzymetrowych skałkach. Islandia obfituje w liny do wspinaczek, jednakże nie uświadczy się na niej kolei; plany jej pociągnięcia nieustannie się zarzuca.

Prócz nieustraszonych pogromców wulkanów wyspę zamieszkują również i inni odważni tubylcy, tyle że obdarzeni parą skrzydeł. Z archipelagiem nieodłącznie wiąże się bowiem obecność ptaka legendy, czyli maskonura, z islandzkiego *Lundi*. To jeden z symboli Islandii, przez jednych zwany pingwinem Arktyki, przez innych papugą polarną. Czasem, ze względu na swój charakterystyczny, mnisi wygląd, obdarza się go mianem „braciszka z Północy” (czemu odpowiada jego łacińska nazwa *Fratercula arctica*), a niekiedy nawet „morskiego klauna”. Na Islandii w pewnym okresie w roku zjawia się około ośmiu milionów maskonurów, co tłumaczy, dlaczego uważa się je za symbol tego kraju. Na Vestmannaeyjar, gdzie w okresie letnim przesiaduje ich najbardziej liczebna kolonia, uczyniono z maskonurów prawdziwą maskotkę, a ich wizerunek pojawia się nieustannie na szyldach czy na wszelkiego rodzaju miejskich oznakowaniach. Ptaki te są tak charakterystyczne, iż nie sposób pomylić ich z innymi; mają czarne skrzydła, równie smoliste szyje i jakby kapturki, a do tego białe pękate brzuszki i podobnie jasne policzki. Ich smutne, nad wyraz melancholijne oczy sprawiają wrażenie trójkątnych, a typowo papuzie dzioby w okresie letnim z zimowej szarości nabierają intensywnych odcieni czerwieni i błękitu z żółtawymi przebłyskami.

Ptaki te są nieodłącznie związane z kulturą i gospodarką całego kraju. Islandczycy uwielbiają maskonurze mięso, i choć świat od lat

skłania ich do zaprzestania polowań na te urokliwe i rzadkie stworzenia, to niestety nie potrafią z ich konsumpcji zrezygnować. Islandczycy za zmianami bowiem nie przepadają, a zwłaszcza tymi dotyczącymi ich jadłospisu. Na szczęście polowań jest coraz mniej i są one dodatkowo opatrzone wieloma przepisami. Jedna z zasad głosi, że można łapać jedynie młode ptaki w okresie od początku lipca do połowy sierpnia. Z polowaniami na maskonury najbardziej za pan brat są właśnie mieszkańcy archipelagu Vestmannaeyjar, którzy pomimo wielkiej doń sympatii polować na nie wprost uwielbiają. Na wysepkach istnieje kilkanaście klubów myśliwskich, których członkowie odtwarzają mający setki lat i legendarny już rytuał chwytania ptaków w sieci, korzystając z metod *sprangan*. Istnieje dla tych poczynań także przeciwwaga, gdyż na wyspie Heimaey znajduje się oficjalna siedziba Patrolu Maskonurów. W połowie sierpnia, czyli pod koniec okresu rozrodczego, kilkaset tysięcy małych maskonurów wędruje od klifów, gdzie się wykluły, do morza. Niewprawione w omijaniu przeszkód, niezdarne i zdezorientowane światłami miasteczka, czasem zamiast na brzeg oceanu kierują się na ulice. Wedle wieloletniej tradycji maskonurze potomstwo z opresji ratują dzieci, które wypatrują zagubionych ptasich wyrostków i przenoszą je w bezpieczne miejsca. Jest to jedyna sytuacja, w której prócz bycia legitymowanym myśliwym można w legalny sposób wchodzić w tak bliski kontakt z tymi ptakami. W innych przypadkach nie można ich dotykać ani też ingerować w ich żywot.

Maskonury to niezwykle ptaki, nic więc dziwnego, że Islandczycy darzą je wielkim szacunkiem. Ptaki nie potrafią szybować i latają na nietoperzą modłę, uderzając skrzydełkami ponad sto razy na minutę, a przy tym są doskonałymi pływakami oraz wręcz wyśmienitymi nurkami. Tworzą również niezwykle gniazda. Lokują je w głębokich, wykopanych najczęściej samodzielnie norach, mierzących ponad dwa metry głębokości. Prócz tego każdy maskonur jest wielkiego ducha romantykiem i nieprzejednanym monogamistą, gdyż łączy się w pary już w młodości i spędza ze swą wybranką całe życie. Co więcej, wyspiarze uważają te ptaki za pośmiertne wcielenia żeglarzy oraz rybaków, którzy wyzionęli ducha w okołoarktycznych bezdennych głębinach.

Porywistego 14 listopada 1963 roku o godzinie siódmej piętnaście

kucharz ze statku wycieczkowego Ísleifur II odpływającego z Vestmannaeyjar zauważył na południowy zachód od okrętu coś przedziwnego. Nie przypominało to zupełnie nic, do czego zwykle był przyzwyczajony, na przykład nadlatującej kolonii ptaków; zaczęło raczej przyjmować formy dymnych kolumn. Kapitan zdecydował o zbadaniu dziwnego zjawiska, sądząc, że najprawdopodobniej jest to dym z płonącej łodzi. Zamiast tego natknął się, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, na erupcję wulkaniczną, z minuty na minutę coraz to silniejszą i wydzielającą już solidne słupy czarnego popiołu. Oznaczało to jedno: pod powierzchnią morza rozpoczęła się aktywność sejsmiczna. Mało tego, wkrótce potem okazało się, że pośrodku praktycznie niczego postanowiła wyrosnąć pewna wyspa, którą nazwano Surtsey.

Z islandzkiego jej nazwa brzmi raczej jak Surtra, co dumnie nawiązuje do imienia boga ognia z mitologii nordyckiej. Surtra okazała się najmłodszą wyspą na świecie, a jej młodziej koleżanki nie znajdzie się nawet wokół i tak młodziutkiej Islandii. Gwoli ścisłości, Surtra jest wyspą wulkaniczną, która „zaplanowała” swój pobyt u islandzkich południowych wybrzeży. Ze względu na ciekawe położenie geograficzne uznaje się ją za najdalej na południe wysuniętą część kraju. Proces zdomawiania się w nowych pieleszach Surtra zakończyła co najmniej cztery lata później. Urządzała się przy tym trochę wariacko, w zbyt gęstych, pyszniących się nonszalancko dymach, a jej lokum osiągnęło powierzchnię naprawdę sporą, czyli prawie trzy kilometry kwadratowe.

Od tamtego czasu niewiele się zmieniło, tyle że wysepka odrobinę spokorniała, ponieważ wpływy fal oraz zbytnia porywistość wiatru dały jej się we znaki i erozja stale zmniejsza jej apetyt na dalszą ekspansję. W 1965 roku wyspa została objęta ochroną w formie rezerwatu przyrody, jeszcze zanim ustały na jej terenie pożegnalne erupcje. Na lądowanie na wyspie zezwala się jedynie nielicznym naukowcom, pozostali zaś mają możliwość kontaktu z Surtrą poprzez obserwację z powietrza, najczęściej z pokładu awionetki. Powolutku na wysepce zaczęły osiedlać się organizmy żywe. Jednymi z pierwszych były zaobserwowane już w 1965 roku mchy oraz porosty, które coraz odważniej zaczęły pokrywać coraz większe jej połacie. Podczas pierwszych dwudziestu lat życia Surtry zaobserwowano pojawienie się kolejnych dwudziestu gatunków roślin, ale na stałe zdomowiło się

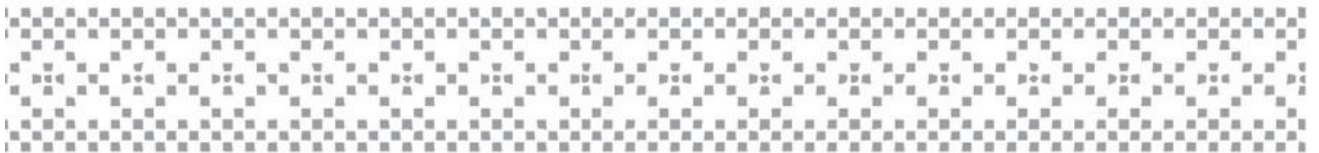
jedynie dziesięć, które były zdolne do przetrwania w bardzo ubogiej w związki organiczne glebie wulkanicznej.

W miarę stopniowego zasiedlania Surtry przez ptaki zasobność gleby zaczęła nagle wzrastać, co umożliwiło przeżycie jeszcze większej liczbie różnych gatunków roślin. W 1998 roku zaobserwowano pojawienie się pierwszych krzewów, a były to osiagające zazwyczaj po cztery metry wysokości wierzby z gatunku *Salix phylicifolia*. Ogółem na wyspie odnotowano ostatecznie co najmniej sześćdziesiąt gatunków roślin, z których około połowa zaaklimatyzowała się na stałe. Mało tego, kolejne rośliny wciąż napływają, z częstotliwością od dwóch do pięciu gatunków rocznie. Pierwsza kolonia mew zainteresowała się Surtrą w 1986 roku, chociaż ptaki te widywano sporadycznie na jej brzegach już zaledwie kilka tygodni po jej wynurzeniu się z oceanu. Kolonia ta była niezwykle istotna w procesie rozwoju życia roślinnego wyspy: mewy wywarły na nie znacznie większy wpływ niż pozostałe gniazdujące tam gatunki, głównie ze względu na ich wielką liczebność.

Wkrótce po ostatecznym uformowaniu się wyspy wokół jej wybrzeży zaobserwowano również ssaki z rodziny fokowatych. Foki zaczęły gromadnie przybywać na wyspę i nieśmiało wygrzewać się na jej wybrzeżach, zwłaszcza na powstałej w wyniku erozji mierzei w północnej części Surtsey. Wkrótce jednak postanowiły zamieszkać tam na stałe. Obecność fok zwabiła orki, które są bardzo często widywane w wodach wokół archipelagu Vestmannaeyjar i coraz częściej także wokół Surtry. Także i podmorska partia wyspy stała się domem dla wielu gatunków zwierząt morskich. Występują tam rozgwiazdy, jeżowce i wiele rodzajów ślimaków. Podwodne stoki wulkanu po całym tym wyspiarskim zamieszaniu pokryły się wręcz pedantycznie glonami i wodorostami, tworzącymi doskonale kamuflujący kostium roślinny. Na Surtrze pojawia się coraz więcej życia, a ona mimo wszystko bezsprzecznie się zmniejsza, choć paradoksalnie wcale nie pragnie powrotu do arktycznych wód.

[1] Jón Sigurdsson (1811–1879) był działaczem na rzecz autonomii Islandii i filologiem, znawcą literatury staronordyckiej. Jest uznawany za islandzkiego bohatera.

O dźwięku,
który kruszył trawy



Stöðvarfjörður otaczają góry. Przed laty w ich pobliżu mieszkała babcia Petra, która nie była jednak babcią od zawsze. Nad życie kochała góry oraz wszystko, co się wśród nich kryje, i od bardzo wczesnych lat ciekawiły ją wszelkiego rodzaju kamienie. Potem, gdy Petra znacznie podrosła, stała się posiadaczką ogrodu, który wydawał jej się jakiś pusty i nudny; powzięła więc zamiar odmienienia go. Każdego ranka, sama lub ze swymi pociechami oraz jeszcze kilkorgiem innych dzieci, udawała się na poszukiwania skarbów ukrytych w okolicznych górach. Pod płaszczykiem szarych skał chowały się bowiem magiczne ciała krystaliczne, a bywało ich naprawdę mnóstwo, i to w przeróżnych odcieniach. Odkrywanie i kolekcjonowanie struktur ukształtowanych w toku procesów geologicznych nabrało rozmachu i stało się wkrótce największą pasją życia Petry, oczywiście prócz typowo islandzkiego robienia na drutach. Tak więc Petra, zaopatrzona w kolekcje dłutek oraz solidny kilof, przemierzała nieustrudzenie okoliczne tereny niezależnie od kapryśnej pogody, a z każdej wyprawy przynosiła cenny łup, jeśli nie kilka. Wszystkie minerały, jakie udało się jej odnaleźć, składała do swej ogrodowej kolekcji, która rozrastała się lepiej aniżeli wszelka zasadzana tam od lat roślinność.

Każdego późnego wieczoru Petra zasypiała z głową na wygodnej poduszce wypchanej kaczym pierzem. Wyobrażała sobie, że następnego dnia przemierza góry, i wizja ta nawiedzała ją przed snem przez całe życie. Sąsiedzi pukali się w głowy i uporczywie nakłaniali nierozsądną sąsiadkę, by zajęła się w końcu czymś pożytecznym. Robili, co mogli, podtykając jej na zachętę pod nos nasiona pietruszki zwyczajnej, a nawet i kędzierzawej, ażeby tylko zmienić jej nastawienie do ogrodnictwa. Wszystko na próżno. Wkrótce wieści o dziwnym ogrodzie pełnym minerałów doszły również do mieszkańców okolicznych wiosek i każdy miał Petrę za niespełna rozumu. Było to

oskarżenie niesłuszne i zupełnie nieprawdziwe, gdyż kobieta cechowała się konsekwencją, pragmatyzmem i pozostawała przy jak najzdrowszych zmysłach.

Mimo niezrozumienia ze strony co niektórych życie upłynęło Petrze bardzo szczęśliwie, ponieważ najczęściej satysfakcji przynosiły jej mineralne obchody. W końcu pasjonatka kamieni została babcią. Zbiór, który tymczasem sięgnął już wielu tysięcy eksponatów, określano jako największą prywatną kolekcję minerałów na świecie. Dowiedziała się o nim także islandzka pani prezydent Victis Finnbogadóttir; postanowiła odwiedzić Petrę, obejrzeć jej liczne eksponaty oraz uhonorować ją za zasługi dla kraju. Po tej wizycie żaden z sąsiadów ani mieszkańców okolicznych wiosek nie miał już Petry za osobę niespełna rozumu.

Imię Petry z greki oznacza „kamień”. Petra María Sveinsdóttir urodziła się w Wigilię w 1922 roku na farmie Bæjarstaðir w domu usytuowanym na złowrogim, urwistym klifie i przeżyła dziewięćdziesiąt szczęśliwych lat w Stöðvarfjörður, który nadal otaczają obfite w geologiczne skarby góry. Dziś osada rozrosła się i prezentuje nieco inaczej niż ta, jaką miała w pamięci Petra, gdyż zamieszkuje tu już sto siedemdziesiąt osób. Dom Petry zyskał swego czasu miano muzeum i przy okazji oglądania niesamowitej mineralnej kolekcji można na chwilę wkroczyć z ciekawskim spojrzeniem we wszelkie zakamarki jej niezwykłego życia.

Przypadek Petry doskonale obrazuje ogromne zamiłowanie Islandczyków do zbieractwa, a przy tym do kolekcjonowania rzeczy zupełnie nietypowych. Poza tym ludzie żyjący na Islandii cierpią na dosyć dziwną przypadłość porzucania przeróżnych przedmiotów w najmniej oczekiwanych miejscach. Przejeżdżając przez wyspę i zagłębiając się w jej zakamarki, można odkryć na przykład mnóstwo przedziwnych obiektów zupełnie niepasujących do otoczenia, w jakim się znalazły. Na samym środku łąki bądź na plaży można tym samym znaleźć w nieznaczej odległości od siebie dziurawe już niestety kalosze, dwa nadpsute traktory, pralkę, metalowy wieszak stojący, piłkę oraz kilka obiektów technicznej proveniencji, które trudno sklasyfikować. Na idyllicznej łące, pośród pięknego kwiecia pojawi się zadaszona altanka, a w niej starodawny dziecięcy wózek z kilkoma zabawkami oraz haftowaną poduszką. I tak przybyszy co i rusz

zadziwiają kolejne i czasem dosyć niepokojące wizualnie niespodzianki.

Co więcej, na Islandii stoi mnóstwo opuszczonych farm, które z niewiadomych przyczyn zostały z całym dobytkiem w środku. Islandczycy nazywają je *eyðibýli*. Na pozór wszystko wygląda normalnie. Obdrapane ściany, wybite okna, a w środku niekiedy nawet ład z oznakami życia. Wydaje się, że domownicy wybyli gdzieś na moment i niebawem wrócą, tyle że na późną kolację. Nie było tu w tym czasie ani wojen, ani też wulkanicznych wypadków czy innych nieszczęść. Mimo to samotne farmie sieroty, których jest na wyspie około trzech tysięcy, najczęściej odwiedza już tylko gęsta mgła. Zwykle są to ledwie malownicze ułamki rzeczywistości, ale zdarzają się i całe kompleksy. Dreszczyku dodaje fakt, że wyludnione posesje są położone często w niesamowitych i niebywale działających na wyobraźnię miejscach. Tak więc na opuszczoną farmę natknąć się można u podnóża klifu nad mrocznym fiordem albo przy diabelsko czarnej plaży. Kolejną ujrzymy gdzieś nad mrozącym krew w żyłach urwiskiem. Do tego dołożymy typowe islandzkie warunki pogodowe, czyli zachmurzone niebo albo gęstą mgłę, i scenariusz na film grozy gotowy.

Można by się głowić nad tym, dlaczego na islandzkiej ziemi stoi aż tyle *eyðibýli*. Otóż od setek lat z islandzkimi farmami związani są nie tylko ludzie, lecz także elfy. Islandczycy zaś na cały świat słyną ze swego stosunku do tych stworzeń. Gdy ktoś mieszka na odludziu i nabiera ochoty, aby opuścić swą siedzibę, najczęściej zostawia wszystko na swoim miejscu. A jeżeli zamarzy mu się całkiem nowy dom, stawia go niedaleko, pozostawiając dotychczasowy na pastwę islandzkich wichur. Nie może być inaczej, bo co, jeśli zburzyłby elfi spokój? Co, jeśli elfy stracą dom? Na to pozwolić nie można. *Eyðibýli* nierozzerwalnie łączą się z islandzką przestrzenią i są dla Islandczyków czymś zupełnie naturalnym. Dla odwiedzających wyspę stanowią z kolei nie lada atrakcję. Na wspomnienie wizyt w niektórych opuszczonych posiadłościach, chcąc nie chcąc, ciało zaczyna przeszywać wyjątkowo uporczywy dreszcz. I to już na sam widok samotnego kalosza.

Nie wszyscy Islandczycy żegnają się jednak z nieprzydatnymi rzeczami. Niektórych bowiem bez reszty pochłania pasja do zbieractwa

pozornych rupieci, dajmy na to pojazdów w skrajnych stanach i starych gruchotów. Gdy natchnieni kolekcjonerzy motoryzacyjnych cudeniek posłyszą, że w okolicy, a nawet i w innej części Islandii, ktoś zamierza oddać na stracenie jakikolwiek samochód, natychmiast rzucają mu się na ratunek. Mnóstwo podobnych przedziwnych i nie tylko związanych z motoryzacją kolekcji eksponowanych na wolnym powietrzu zobaczyć można na Fiordach Zachodnich. Jest to region Islandii, który dla samych Islandczyków bywa bardzo egzotyczny, a wielu z nich nawet nie miało okazji go odwiedzić. Fiordy Zachodnie, Vestfirðir, to najbardziej wysunięty z islandzkich półwyspów i przestrzeń najbardziej oddalona od jej głównej osi komunikacyjnej. Choć z mapy wynika, że od stolicy wyspy półwysep na dobrą sprawę dzieli niewiele kilometrów, to krótki wypad raczej nie wchodzi tu w grę. Ziemia to nadzwyczaj osobliwa i trudno się do niej dostać, a jeżeli człowiek już się w jej obrębie znajdzie, to szybko jej nie opuści, gdyż prędkość przemieszczania się należy tutaj do najmniejszych na całej Islandii, nie licząc oczywiście odludnego wnętrza wyspy, gdzie nieustannie trzeba się mierzyć z przekraczaniem głębokich brodów rzecznych.

Ów półwysep jest znany z niezwykle finezyjnie ukształtowanej linii brzegowej. Średniowieczni kartografowie przyrównywali kształt Zachodnich Fiordów do głowy groźnego smoka. Ba, na podstawie kształtu półwyspu wyrobili sobie nawet zdanie o zamieszkujących go ludziach. Któż bowiem mógłby tam mieszkać? Z pewnością lud równie diaboliczny i przerażający co ów smok. Przerażające mogą się wydawać z pewnością niektóre rewiry na wspomnianych Fiordach. Teren obfituje w mordercze przepaści, od których nieco wrażliwszym przybyszom może zakręcić się w głowie.

Fiordy Zachodnie zajmują mniej niż dziesięć procent powierzchni kraju i pod względem geologicznym stanowią najstarszą część Islandii. Choć mają dość leciwą proveniencję, to w gruncie rzeczy rozciąga się tu jeden z najmłodszych krajobrazów na wyspie. Lód zniknął z powierzchni tej ziemi dopiero kilka tysięcy lat temu. To niewielki teren, ma jednak do zaoferowania jedno z najbardziej spektakularnych widoków na wyspie i nie jest to tylko kuszący turystyczny slogan. Przed wizytą w tym regionie miałam okazję odwiedzić mnóstwo czarownych islandzkich zakątków. Dotychczas spędziłam na Islandii

już ponad półtora roku, myślałam więc, że znam ją niemalże na wylot, a mimo to każdy dzień podróży zaskakiwał mnie coraz bardziej. Bez cienia przesady trzeba również stwierdzić, iż pomimo niezbyt dużej przestrzeni, na półwyspie można spędzić mnóstwo czasu i w ogóle się nie nudzić. Do oglądania jest naprawdę sporo i nawet po dwóch tygodniach pobytu żal jest stąd wyjeżdżać.

Islandia słynie z tajemniczej i jakby mistycznej atmosfery, lecz to właśnie Vestfirðir stanowią uosobienie islandzkiego mistycyzmu. To niebywale zagadkowe i niemalże całkowicie puste przestrzenie. Na dodatek są tu krajobrazy, jakich dotąd nie widzieliśmy. Są one tak zjawiskowe, iż można uznać je za nierealne. Fiordy są piękne w zatrważający sposób. Nie dość, że onieśmielają wielką urodą, to napawają przy tym przedziwnym niepokojem. Dramatyczny, a momentami nawet i złowieszczy teren można porównać jedynie do miejsc rodem z baśni. Majestatyczne góry o niesamowitych tonach sąsiadują tu z morzem, tworząc przedziwną scenerię.

Fiordy z resztą Islandii łączy tylko wąski przesmyk, w związku z czym mieszkańcy tego regionu czują się więc trochę tak, jakby żyli na osobnej wyspie. Większości z nich owa izolacja wcale nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, tubylcy są przekonani o tym, że to nadaje ich życiu niepowtarzalny charakter. Ludzie zamieszkujący Fiordy są jednymi z najbardziej zahartowanych Islandczyków, jeżeli chodzi o znoszenie zarówno kaprysów pogody, jak i trudów życia. Mieszka tu zaledwie dwa i pół procent populacji, czyli około siedmiu i pół tysiąca osób, które parają się najczęściej hodowlą owiec. Jeśli komuś marzy się zamieszkanie na przysłowiowym końcu świata, to śmiało może osiedlić się właśnie na Fiordach Zachodnich. Jak powtarzają ich dumni mieszkańcy, w tym kraju nie znajdzie się lepszego zakątka na rozkoszowanie się ciszą. Islandczycy od wieków wiedzieli, że Fiordy Zachodnie to oaza czarowników. Rzekomo trudniący się czarami mieszkańcy Vestfirðir byli w tej dziedzinie podobno najbardziej twórczy oraz niepospolicie uzdolnieni na tle całego kraju. Najbardziej zręczni i najbieglejsi w sztuce magii zamieszkiwali podobno okolice Hornstrandir. Hornstrandir to haczykowany niczym nos typowego islandzkiego czarownika półwysp umiejscowiony na północnym krańcu Fiordów. Nic dziwnego, że teren ten napawał Islandczyków niemałym strachem.

Jeśli chodzi o tematy magiczne, to na Islandii sprawa miała się zupełnie inaczej aniżeli na innych europejskich terenach. Czary kojarzono przede wszystkim z nieprzeciętną inteligencją, która w średniowieczu oraz w czasach nowożytnych była w islandzkiej opinii społecznej przypisywana raczej mężczyznom niż kobietom. W konsekwencji doszło do tego, iż na Islandii większość osób oskarżonych o paranie się czarami stanowili właśnie mężczyźni. Tym sposobem na stosie skończyła znacznie większa liczba rzekomych czarowników, *galdramaður*, a nie jak w innych państwach – czarownic.

Czarownicy często dla samej tylko magicznej wprawki i rozrywki wywoływali mgły tak gęste, że gubiono się w nich i znikano na zawsze. Dla żartów nakłaniali też lisy, by te porywały i mordowały owce, a najbardziej mocarne z nich wywoływały epidemie, które docierały także do innych rejonów Islandii. Zwierzęta podkraδαły ludziom zapasy masła i świec, a dzieciom zabawki. Magowie stroili sobie także żarty i z samych lisów. Jak przystało na lisy arktyczne, w lecie cieszyły się one futerkiem w odcieniu czarnym, a zimą zaś białym, tyle że *galdramaður* rzucali niekiedy zaklęcia, w wyniku których stworzenia te paradowały w czarnej szacie zimą. Snuły się głodne, gdyż nie były w stanie przechytrzyć swych przyszłych ptasich obiadów, które dostrzegały oprawców już z daleka. Jeżeli jednak darzyło się czarowników odpowiednim szacunkiem oraz dysponowało woreczkiem wypełnionym ciężkimi dukatami, to ich zaklęcia potrafiły dopomóc na przykład w zdobyciu czyjegoś serca czy też pozbyciu się niewygodnego małżonka, który był poważną przeszkodą na drodze do nowej miłości. *Nornir* i *galdramaður* – czarownicy i czarownice – najchętniej urządzali całonocne sabaty na najsurowiej prezentującym się klifie zwanym Strandir. Mieszkańcy Fiordów rozproszeni po okolicach i żyjący najczęściej na samotnych farmach próbowali opędzić się od ich złych uroków, stawiając w oknach jeszcze przed zmrokiem zapalone świece, a potem także lampy. Ich nikły blask nie robił jednak na czarownikach najmniejszego wrażenia; tak czy inaczej, czynili oni w domostwach niemałe zamieszanie.

Swego czasu zaczęło znikać sporo zapasów masła i świec, a białe lisy letnią porą stały się dla niektórych Islandczyków koszmarnym fatum, któremu zaczęto przypisywać wszelkie nieszczęścia. Jednym słowem, miarka się przebrała. W ten sposób rozpoczął się *Brennuöld*, czyli „era

stosów”. Oliwy do ognia dołał fakt, iż w 1654 roku Kościół wraz z władzami duńskimi wydały „ustawę o przyzwoitości”. Islandzkie duchowieństwo zobowiązało się wówczas do wytropienia wszystkich przejawów pogaństwa, w tym oczywiście osób parających się magią. W wieku XVII Hornstrandir stał się epicentrum polowań na czarowników.

Region był tak słynny na cały kraj, że wystarczył najmniejszy sygnał ze strony mieszkańców, aby skazać kogoś na śmierć za rzekome nieczne uprawianie czarów. Za szczególnie istotne dowody uważano relacje przekazywane przez dzieci, które uważano za istoty niewinne, a więc za świadków idealnych, a ich słowa za absolutnie niepodważalne. Aby oczyścić się z zarzutów, należało znaleźć dwanaście osób, które zaświadczyłyby o niewinności, co było rzeczą niezmiernie trudną, gdyż obszar ten pozostawał niezbyt gęsto zaludniony, a większość diabelskich współbraci i współsióstr w obawie przed egzekucjami skryła się w dzikich zakamarkach Fiordów. Jeżeli oskarżonemu nie udało się znaleźć sprzymierzeńców, to nadchodzący koniec czarciwego życia był już niestety pewny. Gorzej, jeśli wszystko okazywało się pomówieniem i na stos trafiał człowiek niemający nawet pojęcia, jak zapanować nad przygotowaniem posiłku, a co dopiero magicznych eliksirów o potężnej mocy. Osoba oskarżona o uprawianie czarów ginęła na stosie ułożonym z drogocennego drewna, które to na miejsce egzekucji winno przywlec dwanaście koni. Użycie drewna miało znaczenie, gdyż według Islandczyków to właśnie w nie najlepiej wnikały złe moce zaklęte w duszach diabelskich rodaków. Jeśliby drewna nie użyć, mogłyby one wpełznąć w jakąś niewinną istotę i wkrótce potem rozpocząłby się zapewne kolejny proces o czary. Jako że w wyniku pamiętnej epidemii choroby drzew od dawna na Islandii był deficyt tego surowca, burzono dom skazanego, a za podpałkę służyły wszystkie jego drewniane elementy. Sam oskarżyciel otrzymywał najcenniejsze dobra spośród pozostałego dobytku uśmierconego już czarownika i tym sposobem niektórzy dorobili się sporych włości.

O czarownicach i czarownikach snuto mnóstwo opowieści, które dziś można uznać za legendy. Pomimo upiornego nastroju i gróźb śmierci na Islandii odbyło się tak naprawdę niewiele procesów o czary – odnotowano ich mniej niż dwieście, z czego skazano tylko dwadzieścia

osób. Był to ewenement na skalę światową, a co więcej, wśród owych dwudziestu jeden osób była zaledwie jedna kobieta. Głównym powodem tego stanu rzeczy była struktura społeczna wyspy, zupełnie odmienna niż w pozostałych częściach Europy. Na Islandii trudno było znaleźć spore skupiska ludzi, dlatego kobiety mieszkające samotnie stanowiły normę, a nie wyjątek, jak w większości innych krajów, w których samotniczy tryb życia pań był jednym z zasadniczych powodów podejrzeń o uprawianie przez nie praktyk magicznych. Jeżeli chodzi o samą magię, to nie przez wszystkich była ona tępiona. Niektórym białe lisy latem w ogóle nie przeszkadzały; postrzegali oni czary jako wielką moc, marząc skrycie, by takową posiadać. Wiedzę na temat tajników magii utożsamiano zarówno ze szczęściem, jak i oczywiście z dostatkiem materialnym. Każdy przecież pragnął posiadać jak najwięcej owiec, koni, wspaniałą farmę oraz pozbyć się wszelkich trapiących go problemów.

Nową posesję zdołał zyskać pewien Jón Magnússon, pastor w parafii w Kirkjuból (dzisiejszy Ísafjörður), naturalnie na Fiordach Zachodnich. Jego osoba jest związana z głośnym procesem o czary, który to odbył się w 1656 roku. Zanim do niego doszło, duchowny od ponad dwóch lat uskarżał się na pogarszający się stan zdrowia, a na domiar złego nikt i nic nie potrafiło mu w zwalczeniu dolegliwości dopomóc. Gdy zmęczyło go już dociekanie, co też może mu doskwierać, doszedł do wniosku, iż muszą w tym maczać upiorne paluchy jakieś wyjątkowo nikczemne demony. Stwierdził, że jego choroba, a także to, co opisywał jako diabelskie sztuczki, które obserwował zarówno na farmie, jak i w jej okolicy, musiały zostać spowodowane zaklęciami. A uroków tych nie mógł rzucić na niego nikt inny, jak tylko któryś z parafian. Ostatecznie za niegodziwe Boże owieczki zostali uznani ojciec i syn o tym samym imieniu i nazwisku – Jón Jónsson. Obaj byli członkami kościelnego chóru i zdawali się w pobożnych śpiewach wchodzić na nutę wyjątkowo fałszywą. Wielebny Jón opierał się tylko na przecuciach, ale był święcie przekonany o ich słuszności, jako że tematem magii interesował się szczególnie. Swoje przemyślenia spisał nawet w książce zatytułowanej *Píslarsaga*, czyli „Męka” lub „Pasja”. Obecnie jest ona uznawana za unikatowe dzieło, w którym został opisany stosunek do czarnej magii w XVII-wiecznej Islandii.

Pewnego razu wielebny po zakończonym nabożeństwie napotkał

schodzącego właśnie z chóru Jóna seniora, który – jak nakazywał zwyczaj – pośpieszył z podaniem duchownemu ręki. Owe kurtuazje nie były jednak podobno aktem uprzejmości. Wielebny momentalnie poczuł na ręce okrutne swędzenie, co oczywiście zdało mu się nadzwyczaj osobliwe; uznał więc, iż musiała to być jakaś czarcia sztuczka. Spiesząc na ratunek swej nieszczęsnej dłoni, czym prędzej zaczął pocierać nią o kościelne deski, lecz pomogło to dosłownie na chwilę. Zaledwie parę dni później zaczął podobno odczuwać niemoc w okolicy nadgarstka tej samej prawej ręki. Na tym się jednak nie skończyło, ponieważ z czasem upiorny ból zaczął wędrować w górę ramienia. Sprawa była poważna, do tego stopnia, iż kapłan musiał spożywać posiłki lewą ręką. Modlił się gorliwie, dlatego ostatecznie niedomaganie ustąpiło.

Wkrótce potem padły słowa oskarżenia. W trakcie procesu Jón senior przyznał się do posiadania ksiąg na temat magii, a także do użycia czarów przeciw Jónowi Magnussonowi. Okazało się też, że do spółki z tatusiem choróbsko u wielebnego wywołał Jón junior. Obaj stosowali także magiczne techniki wobec pewnej miejscowej dziewczyny, której syn nie darzył sympatią. Razem rzucili na nią podobno klątwę zwaną *Fretrúnir*, która miała prowadzić do przewlekłych dolegliwości brzusznych oraz ogólnej słabości. Na tej podstawie obaj zostali uznani za winnych praktykowania czarów, a w konsekwencji spalono ich na stosie. Tuż po egzekucji duchowny nagle ozdrowiał i do tego otrzymał wszystkie dobra materialne należące do skazanych czarownic. Nie był to jednakże koniec tej historii, gdyż – jak się później okazało – dolegliwości uderzyły w wielebnego ze zdwojoną siłą. I tym razem kapłan pomyślał, iż musi chodzić o przeklęty ród, z którym miał już tyle problemów. Tym razem oskarżył on o rzucanie uroków córkę skazanego Jónssona, Þuríður Jónsdóttir. Sprawa trafiła na posiedzenie Thingvellir, lecz ostatecznie ją oddalono, oskarżona zaś wyszła na wolność. Koniec końców, za niesłuszne pomówienia dotyczące jej osoby otrzymała od duchownego stosowną rekompensatę.

Na Islandii pilnowało się diatwy jak oka w głowie, lecz wcale nie z troski o to, by uroczej gromadce nie przyszła ochota na jakiś nieobliczalny pomysł skutkujący zagrożeniem ich życia. Nie obawiano się, iż pocięchy mogą się utopić w rwącym nurcie lodowatej rzeki czy

też zaginać w głębokim wąwozie, gdzie nie odnajdzie ich już nikt. Nie, tym akurat się nie przejmowano. Dzieci nie spuszczano z oka ze względu na największe i niewątpliwie czarcie zagrożenie – czarowników, czarownice, Lucyfera we własnej osobie oraz „ukrytych ludzi”. Jeśli chodzi o diabelskie poczynania, to zdaniem Islandczyków prowadziły one do pozyskania jak największej liczby dzieci, które bardzo łatwo można było zmienić w różnego rodzaju straszydła. Najpilniej należało oczywiście strzec niemowlaków tuż przed chrztem, jako że były one materiałem poddającym się modyfikacjom w najlepszy i najszybszy sposób. Wierzano, że dziecię przychodzi na świat plugawe i że dopiero chrzest odpędza z jego duszy wszelkie niegodziwości. Jeśli dziecię zmarło przed sakramentem, miało nigdy nie zaznać niebiańskiego szczęścia i nie zawitać do bram raju. Upiory służące w szatańskiej armii nie tylko nawiedzały samotnych wędrowców, lecz także straszyły całe domostwa. Na dzieci czyhali również „ukryci ludzie”.

Mówi się, że każdy Islandczyk ma szansę spotkać na swojej drodze istotę nadprzyrodzoną, a rzadko który ośmiela się podważyć wiarę w ich istnienie. Co więcej, historyjki o rzekomo zamieszkujących wyspę gromadach elfów nie zostały stworzone na potrzeby turystów. Figlarne i pobłażliwe traktowanie hasła „elf” przez przyjezdnych zupełnie nie przystaje do spostrzeżeń miejscowych. Pod barwnymi historyjkami o elfach, krasnoludach i trollach oraz innych fantastycznych stworzeniach im podobnych istnieje również drugie dno, z którym raczej niewielu turystów ma szansę się skonfrontować. Były te określa się wspólnym mianem „istot ukrytych”, czy też, jak kto woli, „małych ludzi”, *Huldufólk* bądź *Smáfolk*. Przez pojęcie „elf” Islandczycy rozumieją jednak coś innego niż reszta świata, elfy są bowiem dla wielu mieszkańców tej wietrznej wyspy po prostu duchami, a nie figlarnymi ludkami odzianymi w obuwie o spiczastych czubkach i czapeczki z dzwoneczkami. Wspominają o nich już sagi, a zatem świadomość ich obecności jest dla Islandczyków czymś wręcz oczywistym.

Elfy traktuje się tu nad wyraz poważnie. Duchy bowiem stanowią na Islandii normalną część życia; wiara w nie nie świadczy wcale o śmieszności, obłądzie czy też nadmiernej religijności. Istoty nadprzyrodzone nawiedzają od czasu do czasu wszystkich, którzy na

dłuższy czas mają szansę połączyć swe losy z wyspą. Islandzka widmologia i zagadkowość udzielają się tym samym niemal wszystkim. Na Islandii opowieści z krypty i niepokojące wypadki rodem z dreszczowców niekiedy stają się codziennością. Historii z duchami w rolach głównych można się nasłuchać od prawie każdego zaprzyjaźnionego Islandczyka. Nie są to bynajmniej głosy jednego pokolenia; będziemy mogli wysłuchać zarówno relacji osób sędziwych lub będących w kwiecie wieku, jak i doświadczeń młodych i najmłodszych.

Większość Islandczyków nie ujawni swojego stosunku do wiary w „ukrytych ludzi” podczas pierwszych miesięcy znajomości, wcześniej jednak niezwykle trudno jest od nich wyciągnąć bardzo kateryczne wyznanie niewiary. W tym przypadku wyspa dzieli się na dwa światy: ten odrobinę bardziej sceptyczny z Reykjavíku oraz ten osobny, daleki, peryferyjny, pozbawiony już cienia wątpliwości. Nie znajdzie się bowiem na wyspie farmy, na której by nie doszło do wydarzeń paranormalnych. Pośród opustoszałych przestrzeni, gdzie gęsta, niepokojąca atmosfera daje się we znaki, raz po raz coś pojawia się i znika, by mignąć nam przed oczami jeszcze nieraz. Drzwi skrzypią, choć nie otwiera ich właśnie nikt z domowników. Kinkiety są tuż po naprawie i z zasady powinny trzymać się mocno przy ścianie, a mimo to bezwölnie ulegają niestosownym zakrzywieniom – traf chce, że dzieje się to w najstarszej części domu. Coś gdzieś szepcze i nie przestaje, dlatego, jak doradzają Islandczycy, lepiej pokonywać dłuższe dystanse w sędziwych domach z niezawodnymi zestawami słuchawkowymi, aby zagłuszyć niepokojące dźwięki.

Na Islandii mieszkają media, które nie zajmują się jedynie organizowaniem seansów spirytystycznych, lecz prowadzą też pertraktacje z elfami. Uznać je więc można za swoiste pogotowie elfickie. Można do nich zadzwonić z przeróżnymi zapytaniami odnośnie do istot ukrytych w najbliższym otoczeniu człowieka. Najczęściej media są proszone o sprawdzenie, czy dana posesja jest wolna od elfiej obecności bądź jak można obłaskawić te istoty tak, aby przeniosły się w inne miejsce i zaprzestały podsywania napięcia. O porady prosi ich niekiedy nawet islandzki rząd, zazwyczaj gdy jest planowana jakaś spora inwestycja, budowa drogi bądź fabryki. Na Islandii utarła się opinia, że jeżeli ktoś nie bierze pod uwagę zdania elfów, to postępuje

naprawdę lekkomyślnie, gdyż mogą się one okazać wyjątkowo złośliwe i psotne. Niekiedy wzburzone elfy bywają tak niesforne, że nie dają spać ludziom, którzy postanowili bezmyślnie wybudować domy na ich siedliskach. Już nieraz zdarzały się też przypadki niszczenia w akcie zemsty kosztownego sprzętu na niepożądanych przez nie budowach. Poza tym wyjątkowo wściekłe elfy potrafią wydobywać z siebie przedziwny, niedający się opisać dźwięk, który powoduje w umyśle nieprawdopodobny mętlik oraz poczucie utraty przytomności. Dla tych, którzy elfów niczym nie zirytowali, pozostaje on niedosłyszalny, zaś osobom, które założyły im za skórę, zdevastuje słuch dosłownie w kilka minut. Ci, którzy mieli okazję doświadczyć tego zjawiska, powiadają, iż ma ono w sobie wielką moc, będącą w stanie skruszyć trawę w promieniu wielu kilometrów. Zdecydowanie więc nie warto z elfami zadzierać, o ile nie chcemy napytać sobie niepotrzebnej biedy i pragniemy każdego roku nasłuchiwać świergolenia siewki.

Chodziły również słuchy, że w 1982 roku grupa stu pięćdziesięciu Islandczyków wyruszyła do bazy NATO w Keflavíku, aby odnaleźć elfy, które mogłyby poczuć się zagrożone amerykańskimi samolotami. Z kolei w pobliżu miejscowości Bolungarvík rozzłoszczone hałasami nieznośnych mieszkańców elfy miały być odpowiedzialne za groźną lawinę kamieni, która w ramach kary spadła na jezdnię. Nie wspominając już o kwestii budowy drogi pomiędzy Reykjavík a Hafnarfjörður, trzecim co do wielkości miastem na wyspie i podobno elfią stolicą Islandii. Inwestycja została wstrzymana do czasu ogłoszenia wyroku sądowego, gdyż jak się okazało droga miałaby przecinać obszar zamieszkały przez elfy. Co więcej, elfy, jako szanowani mieszkańcy Hafnarfjörður, posiadają prawa i przywileje równe pozostałym członkom społeczności.

Najważniejszym z nich jest prawo weta, tak więc żadna inwestycja nie może zostać zrealizowana, dopóki się jej z elfami nie omówi. Mieszkańcy Hafnarfjörður wierzą, iż gdyby zaprzestano dyskusji z nimi w bieżących kwestiach, mogłoby się to skończyć wieloma problemami oraz przyszłą niepomyślnością miasta. Jeżeli jednak przez niezamierzoną nieuwagę dojdzie do takiego niewyjaśnionego incydentu, należy natychmiast zwrócić się z prośbą do jednego z mediów, aby czym prędzej pomogło konflikt załagodzić. Dlatego też, gdy podczas budowy drogi robotnicy natrafią na tak zwaną skałę

elfów, czyli głąz uważany za ich dom, raczej zmieniają plany budowy, aniżeli zdecydują się owej siedziby pozbyć, byleby niepotrzebnie elfów nie drażnić. W okolicach Hafnarfjörður wyznaczono także specjalne sektory ochrony elfich siedzib, na których nie ma prawa powstać żaden, nawet najmniejszy budynek. Takich spraw rozpatruje się tu masę, a każdego roku ekipy budowlane niszczą rzekomo niewidzialne domy, co spotyka się z wieloma protestami mieszkańców okolic; elfia sprawa dokucza więc często Administracji Dróg Publicznych.

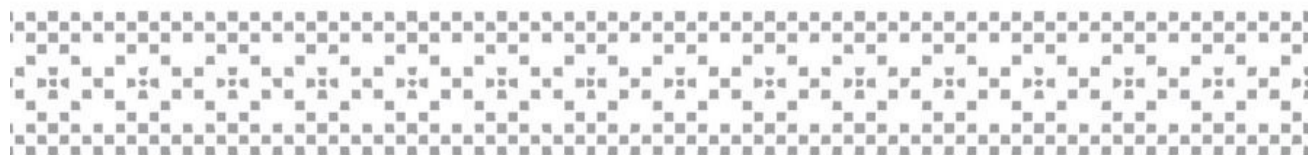
Gdy rozbudowywano słynną Błękitną Lagunę, rozeszła się wieść, jakoby zamieszkujące jej sąsiedztwo elfy niepokoiły się o rozmach przedsięwzięcia i w związku z tym o bezpieczeństwo swoich siedzib. Aby zapewnić je o nieszkodliwości inwestycji, zostały im udostępnione wszelkie plany oraz rysunki ukazujące efekt końcowy. Co więcej, zostały one zapisane w pamięci przenośnej USB, którą to złożono w specjalnym pudełku w okolicy ich siedlisk. Elfy podobno gruntownie zaznajomiły się z projektem, a nawet go zaakceptowały, zaś nad pertraktacjami czuwało oczywiście medium, które było w tym czasie bardzo częstym gościem Laguny. Na pamiątkę tej owocnej współpracy elfów i ludzi w dniu otwarcia unowocześnionego kąpieliska w 2007 roku wspomniany pendrive włożono pod kamień przytargany z głuszy specjalnie na tę okazję, a honory czynił sam prezydent Ólafur Ragnar Grímsson.

Według islandzkich podań elfy, zwane tu *Álfar*, są ściśle powiązane z chrześcijaństwem. Pewnego słonecznego niedzielnego popołudnia Bóg postanowił złożyć Ewie wizytę. Tak się złożyło, że zastał ją kąpiącą swe liczne potomstwo. Ewa zawstydziała się, że o tej porze dzieci nadal są niegotowe, a te jeszcze nieumyte schowała za plecami. Łgarstwo to nie umknęło bacznej uwadze Wszechwiedzącego, który postanowił, że wszystko, co zostało skryte przed nim, pozostanie w ukryciu także przed ludźmi. Od tego czasu chodzi po Ziemi lud ukryty. Istoty ukryte miały również same decydować, czy i kiedy mają ochotę ukazać się śmiertelnikom. Mówi się, że elfy są najczęściej wzrostu około metra pięćdziesięciu i mają upodobanie do eleganckich i nadzwyczaj wyszukanych strojów. Nikt jeszcze nie widział ich niechlujnych i w byle czym, elfickie szwalnie i domy mody muszą więc najwyraźniej nader dobrze prosperować. Oprócz tego istoty te bardzo dokładnie strzegą swojej prywatności i choć żyją czasem blisko ludzkich siedzib,

nie pokazują się byle komu. We wszystkich opowieściach kultura elfów przypomina w znaczący sposób kulturę islandzką. Elfy, podobnie jak i ludzie, mają swoje problemy, nawet natury finansowej. Przez stulecia, tak jak i samym Islandczykom, zdarzało im się cierpieć niedostatki związane na przykład z klęską głodu. Poza tym, jak przystało na mieszkańców Islandii, są bardzo muzykalne, uwielbiają śpiewać, nie tolerują natomiast hałasów w pobliżu swych domów.

Poza elfami na islandzkiej ziemi natrafić można na krasnoludy. Krasnoludy mają naturę bardziej markotną niż elfy i osiągają wzrost sześćoletniego dziecka. Trolle, czyli *tröll*, są fizycznie najpotężniejszymi ze wszystkich ukrytych istot i prowadzą żywoty pustelnicze, zamieszkując góry i lodowce. Noc świętego Jana, pierwszy dzień lata, Wigilia oraz Nowy Rok są dla nich datami niezwykle znaczącymi i może się wówczas wydarzyć naprawdę sporo. Jedno z podań mówi, że aby zdobyć pilnie strzeżony przez elfy niezwykle skarb, należy w wigilię Bożego Narodzenia udać się na rozstaje, a z tegoż punktu muszą być widoczne cztery kościoły. Jeżeli uda się takie miejsce odnaleźć w odpowiednim czasie, w nocy ze wszystkich kierunków nadejdą elfy i poproszą, aby pójść za nimi. To sytuacja nader ryzykowna i w końcu człowiekowi przychodzi do głowy rezolutna myśl o jak najszybszym wycofaniu się. Niestety, na poczwórnie kościelnych rozstajach nie ma już odwrotu. Jeśli propozycja przechadzki nie skutkuje, elfy zaczynają wabić śmiałka drogocennymi klejnotami i szczerym złotem w olbrzymich ilościach. Rzucają na swą ofiarę urok głodu oraz nieprawdopodobnego pragnienia, kusząc potem niezwykle aromatycznym jedzeniem i napitkami. Jeżeli i to nie skutkuje, przyjmują postać członka najbliższej rodziny nieszczęśnika, który dobrodusznie namawia do dalszej współpracy z elfami. Jeśli amatorowi mocnych wrażeń uda się nie ulec żadnej z pokus, musi czujnie oczekiwać nadejścia dnia. Gdy zacznie świtać, powinien jak najszybciej pozostawić elfie towarzystwo i wypowiedzieć formułę: „dzięki Bogu, teraz nastał dzień”. Wówczas wszystkie istoty nadprzyrodzone znikną, a wszelkie skarby, którymi człowiek był wcześniej kuszony, staną się jego własnością. Jeśli jednak którakolwiek z pokus wygra, delikwent po wsze czasy będzie już elfim sługą; postrada również zmysły i nigdy nie będzie sobą, a takie przypadki zdarzały się na wyspie już wielokrotnie.

Chętką na północ



Ostatnimi czasy o Islandii zaczyna marzyć coraz więcej osób. Przez bardzo długi okres pozostawała ona krajem rzadko odwiedzanym przez turystów. Jeszcze dziesięć lat temu mało kto się na nią wybierał, ale sytuacja nagle uległa całkowitej zmianie – Islandia zyskała sobie status wielkiej atrakcji. Islandczycy do tej pory nie mogą się nadziwić, cóż takiego się stało, że do ich kraju zaczęła napływać gigantyczna fala turystów. Prócz tematu finansowego krachu z 2008 roku mało było Islandii również w mediach.

20 marca 2010 roku wybuchła jednakże kolejna po kryzysie bankowym, tym razem ogólnoswiatowa awantura z udziałem wyspy. No i się zaczęło – tamtego dnia jej losem zaczęli się nagle interesować wszyscy. Była to afera bardzo pamiętna, gdyż związana z ogromną ilością pyłu wulkanicznego, który przekreślił możliwość sprawnej komunikacji lotniczej nad znaczną częścią Europy. Prowodzyrem tych jakże kokieteryjnych ekscesów był osławiony już wulkan o wdzięcznej nazwie Eyjafjallajökull, choć większość dotkniętych jego prześladowaniami, czyli turystów koczujących na lotniskach, nie była w stanie ku swej frustracji nawet w połowie poprawnie wymówić tego skomplikowanego miana. Zdradzę więc sekret zawichości związanych z fonetyką tego słowa. Nazwę Eyjafjallajökull da się wypowiedzieć niezmiernie łatwo, i to nawet w złości; wystarczy ją bowiem podzielić na trzy części: „eja – fjatla – jokutl”.

Byli i tacy, którzy po tym zajściu, a nawet poznavszy już tajniki wymowy, zupełnie struchleli. Nie kwapili się więcej do podróży na Islandię, w obawie, że zostaną tam po wsze czasy, grubo po terminie upragnionego urlopu, wywiedzeni w pole. Ostatecznie jednak nie oparli się pokusie doświadczenia zastrzyku adrenaliny w tych nietypowych okolicznościach. Lawa tryskała wówczas z krateru nadzwyczaj widowiskowo, wręcz z odrobiną diabelskim zacięciem,

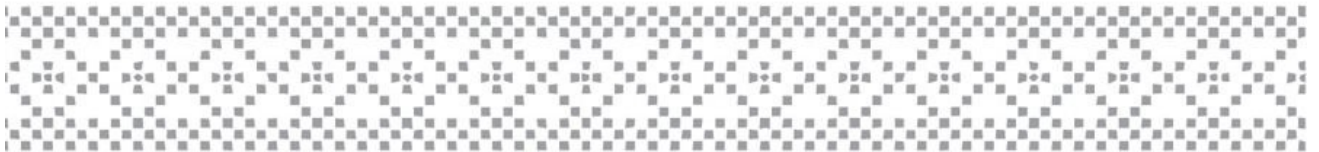
z wysokości dokładnie 1666 metrów nad poziomem morza. Owe oszałamiające wulkaniczne fajerwerki poprzedziło aż trzy tysiące nieśmiałych drgań zaniepokojonej planami wulkanu ziemi, o których donoszono skrupulatnie we wszystkich programach informacyjnych. Tak właśnie świat odkrył Islandię i zafascynował się nią do nieprawdopodobnego stopnia. Począwszy więc od sławetnego roku 2010, z każdym kolejnym rokiem Islandia staje się wyzwaniem dla coraz większej liczby turystów napływających na nią ochoczo z obu półkul.

Coraz więcej ludzi pragnie nie tylko Islandię zobaczyć, lecz także związać z nią swój los na stałe. Wielu z nich urzeka poczucie, że na tej wyspie czas zdaje się płynąć zupełnie inaczej. Kolejną nadzwyczajną cechą Islandii jest to, że natura nieustannie gra tu pierwsze skrzypce. To miejsce o wprost niebywałych właściwościach. Dziwnym trafem, sprawy istotne nagle zaczynają zdawać się odległymi błahostkami. Przyzwyczajenie do codziennej i raczej karkołomnej gonitwy ulega wygaśnięciu. Niezmiernie przyjemnie było mi zaprzestać wyścigu z nieubłaganym przecież czasem; po prostu zyskać kilkaset minut relaksu tygodniowo nawet w natłoku zajęć. Jak tu się od nich nie oderwać, chociażby na chwilę, mając tak czarowny widok za oknem? Na Islandii to możliwe. Mając sto pilnych rzeczy do załatwienia, po prostu nie sposób uniknąć typowo islandzkiego zwyczaju wyjścia przed dom, przystąpienia i zaczerpnięcia głębokiego oddechu. Jak dobrze, że tak bezceremonialnie można podziwiać tutejsze widoki dla zdrowej, czystej przyjemności.

Wyspę udało mi się przemierzyć na rozmaite sposoby: wzdłuż, kilkakrotnie wszerz, i znów od początku. Lecz niezależnie od tego, z jakiej perspektywy i po ilekroć mogłam ją ujrzeć, nieprzerwanie towarzyszyło mi coś na kształt cudownej niepewności. To niepojęte, że nie można jej poznać całkowicie i do końca. Wiem też doskonale, że równie nieprzewidywalny jest także charakter każdej kolejnej podróży. Za każdym razem zaczynam więc nową przygodę (choć wmawiam sobie, że Islandię już znam, to później, z wiadomych względów, okazuje się, że to tylko moje pobożne życzenia). Na całe szczęście! Tylko jedno pozostaje niezmiennie: podczas odkrywania na niej kolejnych zakątków Islandia wciąż tak samo obezwładnia i hipnotyzuje, a ja nie mogę już żyć inaczej, jak tylko pozostawszy z nią

w bardzo bliskim kontakcie. Nie potrafię już nie przebywać na niej i istnieć bez niej, bo tak się składa, że Islandia to nie tylko miejsce o oszałamiającej urodzie, lecz także stan umysłu. Bez zbędnej przesady, ostrożnie ważąc słowa i narażając się na wszelkiej maści konsekwencje, mogę rzec, iż jest to kraina magiczna. Jestem pewna, że już zawsze będę jej składała regularne wizyty. A gdyby tego wszystkiego było mało, Islandia posiada plantację mojego ulubionego owocu – bananów!

Podręczny słowniczek islandofila



Aflakló – pazur czapli (lub łapka czapli z dorodnym pazurem) chowany przez islandzkich rybaków do obuwia tuż przed wypłynięciem na połów; miał przynosić im szczęście.

Álagablettir – miejsca uznawane za zaklęte, których Islandczycy niezmiernie się obawiali. Krążyły po nich nie zawsze przychylnie ludziom moce.

Baðstofur – islandzkie kąpielowe salony, czyli bardzo specyficzne sauny. Swego czasu stały się centrum domów; gromadzili się tam wszyscy przemarznięci na wskroś lokatorzy.

Brennivín – wytwarzana od lat trzydziestych XX wieku ziemniaczana wódka o smaku kminku; stanowi nieodzowne połączenie z *Hákarl*. Trunek o smaku dość kontrowersyjnym.

Erfidrykkja – islandzka wersja stypy o charakterze wyraźnie bankietowym. Nader wystawne, pogrzebowe przyjęcie, podczas którego wspomina się życie zmarłego, ogląda fragmenty jego ulubionych filmów czy słucha muzyki, którą najbardziej lubił (oczywiście na cały regulator).

Eyðibýli – opuszczone budynki, najczęściej farmy.

Glíma – narodowy islandzki sport, znane od dawien dawne zapasy.

Hákarl – prawdziwy kąsek dla wszystkich żądnych przygód. Tradycyjna islandzka przekąska, czyli sfermentowany rekin pieszczący zarówno powonienie, jak i podniebienie wykwintnym smakiem i zapachem amoniaku.

Huldufólk – „ukryci ludzie”. Tymże terminem określa się na Islandii istoty nadprzyrodzone, których podobno na niej wielki dostatek.

Jólasveinar – „święteczni chłopcy”. Islandzki odpowiednik Świętego Mikołaja, czyli gromada niesfornych potomków trolli, którzy swego czasu złagodnieli i zaczęli grudniową porą rozdawać wszystkim podarki.

Kleinur – islandzka wersja faworków o kardamonowym posmaku, niegdyś przysmak bożonarodzeniowy, dziś nieodłączny komponent spotkań herbaciano-kawowych.

Kvöldvaka – wieczorne pobudzenie, czyli wszelakie działania dopomagające w utrzymaniu stanu ożywienia. Druty w ruch, sagi na głos i *vökustaurar* pod powieki – przepis na *kvöldvaka* gotowy.

Lopapeysa – tradycyjny islandzki sweter wykonany z owczej wełny lopi, odzienie niewiarygodnie ciepłe, a przy tym bardzo urodziwe.

Lundi – maskonur, bardzo urodziwy ptasi symbol kraju, ale i przekąska.

Norðurljós – ukochane przez cały naród zorze polarne.

Pylsur – inaczej hot dogi, czyli to, co Islandczycy kochają pochłaniać w niewyobrażalnych ilościach. Oczywiście popijając je litrami coca-coli.

Rúgbrauð – żytni, piernikowy, ciemny, lekko słodki i wilgotnawy chleb, pieczony przez dobę w konwulsyjnej wulkanicznej glebie w okolicach jeziora Mývatn. Prawdziwy islandzki rarytas często obficie posmarowany masłem i podawany ze słusznym rozmiarów kawałkiem wędzonej ryby.

Skata – kolejny islandzki przysmak, tym razem ochoczo pałaszowany w okresie bożonarodzeniowym. Jest to kuzynka *hákarl*, czyli sfermentowana płaszczka. Odurza aromatem amoniaku jak chyba nic innego na świecie.

Skjár – ekran, czyli otwór w dachu *baðstofa*, który prócz funkcji wentylatora pełnił jeszcze jedną: mianowicie ulatywała przezeń dusza zmarłego. Była to cienka membrana wykonana z krowiego worka owodniowego, który był suszony, rozciągany, a następnie przymocowywany do drewnianej obręczy, najczęściej pochodzącej z beczki.

Skyr – tradycyjny islandzki wyrób mleczarski wytwarzany już od IX wieku, dostępny w różnych smakach, do tego bardzo smakowity, podobny do serka homogenizowanego. Uwielbiana przez cały naród przekąska i składnik wielu deserów.

Sprangan – lokalny sport uprawiany na wyspie Heimaey, skoczne pokonywanie złowrogich klifów za pomocą lin.

Sundlaugar – baseny, czyli nie tylko przybytki rekreacyjne, lecz także prawdziwe salony towarzyskie Islandii.

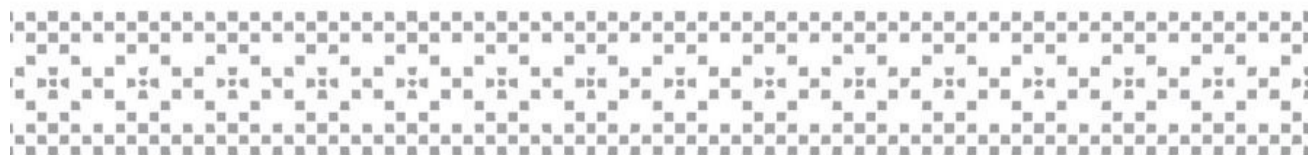
Svið – gotowany barani łeb, dla przeciętnego Islandczyka niebywały smakołyk i wręcz ogromna gratka, którą wyspiarze mogliby kosztować przy każdej nadarzającej się okazji.

Torfbærinn – niezwykle urokliwe islandzkie domy torfowe.

Vökustaurar – przypominające wykałaczkę patyczki wkładane pod powieki podczas kvöldvaka, czyli nieco drastyczny sposób na przebudzenie i wytrwanie do końca długiego wieczoru.

Þetta reddast – szalenie popularny na Islandii zwrot, który oznacza po prostu: „Będzie dobrze”. Jest to niezwykle lubiane na wyspie motto. Słyszy się je niemalże nieustannie.

Dla zainteresowanych



- Ásgeirsson Ásgeir Páll, *Being elves'where*, Reykjavík 2015.
- Björnsson Árni, *High days and holidays in Iceland*, Reykjavík 2008.
- Booth Michael, *The Almost Nearly Perfect People: Behind the Myth of the Scandinavian Utopia*, London 2015.
- Byock L. Jesse, *Viking Age Iceland*, London 2002.
- Flowers E. Stephen, *Icelandic Magic: Practical Secrets of the Northern Grimoires*, Rochester, Vermont 2016.
- Hastrup Kirsten, *Culture and History in Medieval Iceland: An Anthropological Analysis of Structure and Change*, Oxford 1985.
- Islandia. Wprowadzenie do wiedzy o społeczeństwie i kulturze*, red. R. Chymkowski, W. Pessel, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2009.
- Kajsa Kinsella, *Nordicana: 100 Icons of Nordic Cool & Scandi Style*, London 2015.
- Kane Njord, *The Vikings: The Story of a People*, Jersey City USA 2015.
- Karlsson Gunnar, *The History of Iceland*, Minneapolis 2000.
- Moss Sarah, *Names for the Sea: Strangers in Iceland*, London 2012.
- News from Other Worlds. Studies in Nordic Folklore, Mythology and Culture*, ed. Merrill Kaplan, Timothy R. Tangherlini, Los Angeles 2012.
- Partanen Anu, *The Nordic Theory of Everything: In Search of a Better Life*, New York 2016.
- Rognvaldardóttir Nanna, *Icelandic Food and Cookery*, Reykjavík 2016.
- Sale Richard, *Poradnik ksenofoba. Islandczycy*, Warszawa 2002.
- Short R. William, *Icelanders in the Viking Age: The People of the Sagas*, Jefferson, North Carolina 2010.
- Sigmundsdóttir Alda, *The little book of the Icelanders*, Reykjavík 2012.
- Sigmundsdóttir Alda, *The little book of the Icelanders in the old days*, Reykjavík 2014.
- Sigmundsdóttir Alda, *The Little Book of Icelandic*, Reykjavík 2016.

Artykuły

Glíma, the Martial Arts System used by the Vikings, Njord Kane

<http://spangenhelm.com/glima-martial-arts-system-vikings/>

Iceland's Other Inhabitants, Eygló Svala Arnarsdóttir

<http://icelandreview.com/magazine/2013/02/19/icelands-other-inhabitants>

The Icelandic Kvöldvaka: Cultural Phenomenon in the Twilight Hours,
Alda Sigmundsdóttir

<http://www.ancient-origins.net/opinion-guest-authors/icelandic-kvldvaka-cultural-phenomenon-twilight-hours-005922>

Vísir *föstudagur* *20.* *September* *1974*

http://timarit.is/view_page_init.jsp?pageId=3257173

Vilmundur Hansen, *Vökustaurar notaðir til að halda fólki að vinnu*

<http://www.bbl.is/frettir/fraedsluhornid/vokustaurar-notadir-til-ad-halda-folki-ad-vinnu/15064/>

Podziękowania

Praca nad książką była niebywałą przyjemnością, która nie dość, że ugruntowała wiedzę na temat mojego ulubionego kraju, to jeszcze rozbudziła drzemiące we mnie od dawna ciągoty do przelewania myśli na papier. Była to zasługa wielu osób, w związku z czym pragnę gorąco podziękować:

- wszystkim Islandczykom za niezwykle inspirujące rozmowy prowadzone w blasku dni polarnych i za dzielenie się intrygującymi anegdotami o swej rodzinnej wyspie,
- Annie Sigurdardóttir za pomoc w tłumaczeniu islandzkich fragmentów,
- Rodzinie i Przyjaciołom za motywujące wsparcie i obojętne wysłuchiwanie niekończących się islandzkich opowieści,
- czytelnikom bloga Bite of Iceland, dzięki którym uświadomiłam sobie, że istnieje wręcz ogromna rzesza islandofilów, wciąż mających chrapkę na zagłębianie się w wyspiarskie tajemnice.



Marta Biernat – rocznik '87, historyczka sztuki opętana odbywaniem wszelakich podróży. Prócz wojaży równie silnie zajmuje ją literatura, którą uznaje za swoją największą pasję. Do niedawna na okrągło czytała, teraz na okrągło pisze. Miłośniczka sztuki, kina, kulinariów, mgły i targów staroci. Jej ulubionym krajem niezmiennie pozostaje Islandia, na której każdego roku spędza sześć miesięcy. Swoje wrażenia o tej niesamowitej wyspie opisuje na blogu www.biteoficeland.com, który prowadzi wraz z mężem Adamem.



Adam Biernat (ur. 1985) – fotograf zafascynowany daleką Północą. Studiował architekturę oraz historię sztuki. W swoich pracach koncentruje się na pozornie nieznaczących, marginalnych chwilach, obiektach i miejscach. Intryguje go cisza. Mieszka i pracuje w Trójmieście oraz na Islandii.

Strona autora: www.adambiernatphoto.com